

Krzyżanowski Anatol

OGNIWA

Powieść Społeczna

ROZDZIAŁ I.

Słońce, chylące się ku zachodowi, siało dokoła złote blaski.
Powietrze,
przepojone nimi, a nieporuszone najłżejszym powiewem, roztaczało
atmosferę
półsenną, dyszącą jeszcze żarem minionego południowego upału.
Liście drzew
odwiecznych nie śmiały dotąd szeptać poufnie, lecz, obezwładnione
gorącem,
tuliły się do siebie w milczeniu, jakby omdlałe od bezlitosnego
skwaru, po
którym, stopniowo dopiero, przychodziły do siebie. Słońce bowiem,
nie piekąc już
ogniem, całowało je z lekka tylko i, w powolnej swej ku zachodowi
wędrowce,
słało na ziemię całą gamę barw i tonów.
Korzystając z tej ulgi chwilowej, przyroda oddychała głęboko, a z
każdym jej
tchnieniem nie tylko promieniował żar, jakim była przepojona, lecz i
roztaczał
się w przestworzu cały subtelny obłok woni, cały odurzający

czar zapachów, płynący z kielichów kwiatowych, które teraz dopiero,
rozchylając
swe usta różnobarwne, chciwie piły powietrze. Rosa nie orzeźwiła ich
jeszcze; a
jednak podniósłszy dumnie korony, zdawały się słońcu, wzamian za
siłę
życiodajną, ślać hymn dziękczynny.
W przyrodzie głęboka panowała cisza. Na lekki poszept układającej
się do snu
natury za wcześnie było jeszcze. Ptaki nawet nie śmiały się trzepotać;
ludzie
zaś i zwierzęta domowe zatrzymywała w polu poobiednia robota.
Zresztą ani gwar
uznojonych żniwiarzy, ani ryk trzód pędzonych, lub pomruk
ludzkiego mrowiska,
nie byłby doszedł do tej części borowskiego parku, którą gęste
szpalery lip
stuletnich zdawały się odoinad od zwykłej prozy życiowej.
Staroszlachecka, na
pańską stopę urządzona siedziba stanowiła istną oazę zieleni wśród
pól, skwarem
spieczonych, a dojrzałymi falujących kłosami.
U końca szpalerów chłodnych, zacienionych, tchnących świeżością i
ciszą, ładny w
tej chwili rysował się obrazek. Na foteliku wśród dwóch potężnych lip
zawieszonym, a stanowiącym zazwyczaj huśtawkę, odcinającą się
żywo od tła
ciemnej zieleni, przykuwała oko ślicznymi kształtami gibka postać
niewieścia.
Nad poziom trochę wzniesiona i jakby

zawisała w powietrzu, mogła, w bujnej wyobraźni, wydawać się
zdaleka zaczarowaną
królowną, czy boginią, spływającą po promieniu słonecznym na
ziemię.

Zbliżka pierzchało złudzenie legendowego zjawiska, lecz w zamian pozostawała
lepszą nad nie rzeczywistość, przybrana w kształty ślicznej kobiety.
Strojna w jasną, skromną sukienkę, z pękiem szkarłatnych
gwoździków u paska,
odrzuciła w tył główkę, ciemnymi splotami uwieńczoną i oczy
głębokie, rozmarzone
w przestrzeń utkwiła. Jakaś myśl wewnętrzna zajmowała ją widać
żywo, szafir
bowiem zrenic tych skrzył się i błyskał tak silnie, że aż go pod długie
ukryła
rzęsy, usta w prześlicznym rozchylając uśmiechu.
U stóp jej słońce, przedzierające przez boczne, rzadsze lip konary,
rzucało na
ziemię całe pęki ruchomych, świetlanych arabesek.
Wzrok kobiety, spocząwszy na nich, spoważniał natychmiast.
— To obraz życia — wyszeptała. — Światła i cienie, walczące z sobą
na przemian.
Co w moim zwycięży, czy światło?
Półuśmiech zniknął, pozostawiając tylko wyraz słodczy na
różowych, delikatnie
zarysowanych ustach; oczy znów głębokie i poważne, w ciemnej
oprawie, a pod
silnie zaryso-

wanym łukiem brwi czarnych, czyniły ją starszą, niż była w
rzeczywistości.
Młodzieńcza wysmukłość postaci i delikatny owal twarzy, o rysach
niezmiernie
regularnych, jakby dłonią Stwórcy wypieszczonych, mówiły o
pierwszej wiosnie
życia; wskazywały ją również: czoło niskie z alabastru wykute i cera u
lilji
zapożyczona. Wielka za to powaga oczu, świadcząc o myśli nad wiek
rozwinętej,
nadawała dziewczęcej tej twarzyczce cechę dojrzałej kobiety.

Raz jeszcze podniosła oczy w przestrzeń i, chcąc snąć oderwać się siłą
woli od
pytania, co w jej życiu zwycięży: czy światło? podjęła tomik, złożony
przedtem
na kolanach. Słowa przeczytane dziwnie się zdawały zgadzać z
chwilowym nastrojem
jej ducha.

O Bożo, czegoż do pieśni trzeba?
Tak mało!
Spójrz tylko na kwiat i w stronę nieba,
By się twe Serce zaśmiało!
Spójrz w twe wnętrze, by ci boleśniej
Załkało, łkało i łkało,
By się na rubin ścięła krew pieśni —
Tak mało ()

— Tak mało! chciała powtórzyć, gdy w tem dwie silne ręce
przysłoniły jej oczy

() Jarosław Vrchlicky, przekład Grabowskiego.

i przechyliwszy w tył główkę, oparły ją o ramię poważnego,
niemłodego mężczyzny,
który z tkliwością ucałował jej czoło.
— Wuj Tadeusz — zabrzmiał radośnie i serdecznie głos dziewczęcia.
Przybyły odsłonił jej powieki.
— A, widzisz, maleńka, wuj Tadeusz, który umyślnie zaszedł od tyłu,
by
zaskoczywszy znenacka marzycielkę, wziąć ją w niewolę i w jasyr
zagnać.
Dziewczę chciało rękę jego, z powiek swych zdjętą, do ust przycisnąć.
Mężczyzna
wszakże cofnął dłoń szybko, a w zamian całą kibić jej serdecznie do
piersi
przygarnął.

Wysoki i silnie zbudowany, równał się on, stojąc za fotelikiem huśtawki, z ramionami siedzącej na nim kobiety. Przechyliwszy też bardziej jeszcze w tył główkę, przytuliła ją do kłapy jego surduta a patrząc z wdzięcznością w oczy, siwemi brwiami ocienione, wyrzekła słodko:
— Dziękuję, wujaszku
— Za co?
— Za pieśczętę i dobroć twą dla mnie. Wtem lica jej nagła oblała purpura. W tył bowiem przechylona, podniósłszy oczy, spostrzegła dopiero, iż za panem Tadeuszem Boreckim, cofnięty o kilka kroków, stał wykwintnie ubrany młody mężczyzna.

— A zarumieniliśmy się — żartował Borecki — zostaliśmy bowiem złapani na gorącym uczynku marzeń o niebieskich migdałach i gonieniu chmur po niebie. Na szczęście chmur tych niema — dodał — a żniwa wzywają mnie w pole. Przyprawiam ci też, Iro, twego dobrego znajomego, pana Henryka Korskiego, z prośbą, abyś jako wicegospodyni zechciała mu czasu trochę poświęcić. Żona moja zajęta, a córki przy lekcjach jeszcze. Zostawiam więc miłego naszego gościa pod twą wyłączną opieką, w nadziei, że mu się nudzić nie pozwolisz.
— Zlecenie bardzo pochlebne, wujaszku, ale czy je potrafię wypełnić? Młody człowiek odpowiedział jej spojrzeniem tylko, było ono jednak tak wymowne, iż pan Tadeusz Borecki, kryjąc uśmiech znaczący pod bujnymi wąsami, pogroził jej lekko:

— Ej, hipokrytko, bo powiem, co myślę.

— Wujaszku...

— Powiem, ale innym razem, teraz bowiem czekają mnie u żniwa. Do widzenia!

I uniósłszy kapelusza, w boczną skręcił aleję.

Ira zwróciła oczy na młodego człowieka.

Stał zapatrzony w nią, z wyrazem nieukrywanego podziwu i gorącego uwielbienia.

Wysoki, zręczny, ubrany z całym wykwintem wielkomiejskiego światowca, tworzył na tle

zieleni elegancką i pociągającą sylwetkę. Jasny kapelusz przykrywał krótko

przystrzyżone blond włosy, takiż zarost a la Henri IV otaczał owal o regularnym

zarysie. Pogoda usposobienia, bijąca z dorodnego oblicza, oraz proste, szczere

spojrzenie, pociągały mimowoli; wargi wydatne, ponsowe, rozchylające się nad

szeregiem zębów białych, znamionowały wyraźnie pewną żądzę życia i użycia.

Z całej też postaci Korskiego biły: młodość, zdrowie i radość z istnienia, które

zdawał się pełną pić piersią.

Ira nie studjowała go zresztą w tej chwili; nie rozbierała cech znamiennych

fiziognomii, w której temperament młodości i siła, najwydatniejsze stanowiły

rysy, lecz wskazując mu obok ustawioną ławeczkę, zaprosiła uprzejmie.

— Może pan raczy spocząć.

Objął jednym spojrzeniem postać jej, malowniczo zawieszoną w powietrzu, szpaler

rozległy, zakończony w oddali wodotryskiem i skrawek nieba, błyskający nad nimi,

jak gdyby chciał obrazek ten, w najdrobniejszych szczegółach na
zawsze zachować
w pamięci, poczem, zdjawszy kapelusz, położył go na ławeczce, sam
zaś zajął obok
wskazane sobie miejsce.
Z odkrytą głową, siedział w tej chwili u stóp jej nieledwie. Pozwalało
mu to tem

lepiej podziwiać całą jej postać, od czubka miniaturowego pantofelka,
aż do
kibici, w tył nieco podanej, a uwydatniającej w ten sposób niezwykłą
gibkość
młodzieńczą, do szyi śnieżnej, uwieńczonej drobną główką, o bardzo
regularnym
greckim profilu.
Korski, który dotąd lubił kobiety o gorącym, południowym kolorycie,
o wargach
purpurowych i oczach jak węgle rozżarzonych, czuł się trochę
onieśmielonym wobec
panny Iry Halińskiej. Jej matowo blade, a delikatnie rzeźbione rysy,
wydawały mu
się za doskonałe, za bardzo uduchowione; spokój ich z chłodem
graniczył na
pozór. Ciemno oprawne, szafirowe oczy patrzyły na świat tak, jak
gdyby widziały
przed sobą nie ziemię, życiem kipiącą, lecz skrawek nieba, od którego
zapożyczyły barwy. Nawet blade ślicznie zarysowane jej usta zdawały
się nie znać
całej gamy śmiechu, lecz lekko rozchylane, mówiły poniekąd, iż myśl
jej błąkała
się równocześnie gdzieindziej. To skoncentrowanie w sobie, ten
spokój,
pierzchający tylko wobec wuja Boreckiego, dziwił go u tak młodej
istoty.
Miljonowy pan Henryk Korski nie przywykł, by go w ten sposób
traktowano i dla

tego może właśnie, powściągliwość i chłód Iry, tem silniej go pociągały. Licując bowiem, zarówno z powierzchownością jej, jak całym pańskim oto-

czeniu, stanowiły w jego przekonaniu cechę iście arystokratyczną, zgodną z

wykwintem i subtelną pięknnością Iry.

Dziewczę, nieświadome wszystkich tych refleksji, nawiązało tymczasem obojętną rozmowę:

— Taka głęboka cisza wiejska musi nużyć pana?

— Nużyć? Nie, pani. Piękno rzeczywiste ma własność oddziaływania na najmniej nawet wrażliwe natury.

— Czy pan, doprawdy, do tak mało wrażliwych należy?

W głosie jej brzmiało niedowierzanie, w spojrzeniu zrenic błękitnych, jakim

obrzuciła młodzieńczą, dorodną jego postać, przebijało się pewne życzliwe zaciekawienie.

Korskiego ośmieliło to natychmiast.

— Wrażliwość moja zależną jest od pobudzających ją czynników — odparł. Czem

oporniejsza jednak, z tem większą wybucha siłą. Piękno przyrody zaś, uwieńczone

nieśmiertelnym czarem niewieścim, to jedna z potęg, której silniejsi odemnie

oprzeć się nie umieli.

Dziewczę zdawało się nierozumieć. W ślicznej jego twarzyczce nie drgnął ani

jeden mięsień nawet.

— Więc Borów tak bardzo podoba się panu?

— Może nie sam Borów, ale...

— W takim razie transakcja panów przyjdzie pewno do skutku?

— Niestety, wątpię bardzo. Wuj pani, pan Tadeusz Borecki, chce wyłączyć od sprzedaży folwark główny, wraz z rezydencją, a mnie o tę ostatnią chodziło

przedewszystkiem. Dziś — dodał z naciskiem, tem silniejszą, do niej przywiązuję

wagę. Sam ten szpaler wart więcej dla mnie, w tej chwili, od całej złotodajnej

gleby Borowa.

Spojrzenie Iry nie skarciło go zimno, lecz marzycielskie, wdał pobieгло.

— Wieś — ciągnął dalej — nie może być dla mnie celem spekulacji, ani warsztatem,

służącym do mnożenia majątku. Od tego są nasze fabryki — dodał wzgardliwie i,

jakby uderzony nową myślą, pochylił się, a patrząc jej w oczy mówił z prostotą:

— Szczerłość jest podstawą mojej natury, przyznaję też chętnie, iż, poszukując

piękne rezydencji, chcę znaleźć w niej to, czego mi nie mogą dać wielkie zakłady

przemysłowe mego ojca; pragnę zyskać: piękno, spokój, feodalne nieco, pańskie

otoczenie i to szersze, swobodniejsze tchnienie, jakie wieś tylko zapewnić

zdoła. Niech mi wolno będzie choć czasem, oderwać się od ciasnej atmosfery

miasta.

— A jednak — zarzuciła — cały ruch umysłowy, cały rozkwit cywilizacji w stolicy

koncentruje się głównie.

Błysk radości rozjaśnił rysy Korskiego.

— Dziękuję. Pani raczyła — jak widzę, zauważyć i zapamiętać moje zdanie. Tak

miasta, jego ruchu i skoncentrowanej siły życiowej nic zastąpić nie może. Nie

mam też bynajmniej zamiaru opuszczać na stałe Warszawy; chciałbym jednak zdobyć

podstawę i prawo do wejścia w sferę ziemiańską, a zarazem do wyrobienia sobie

wśród niej należnego stanowiska.

Ira patrzyła na niego ciekawie i badawczo.

Dziwi panią, moja otwartość. Tak, nie ukrywam tego, jestem ambitny... Nie

wystarczają mi pieniądze mego ojca. Młody, dumny, a silny, pragnąłbym iść wyżej

i... i sięgnąć wyżej.

Zmięszana gorącym jego spojrzeniem, Ira opuściła długie rzęsy i, bezwiednie

prawie, ujęła złożoną obok siebie robótkę.

Korski, świadomy słów wyrzeczonych, a podniecony niemi poniekąd, patrzył z

nieukrywanym podziwem na delikatną jej twarzyczkę, która z przysłonietami

powiekami i długim cieniem, przez rzęsy na lica rzucanym, nabierała cech

posągowego piękna. By-

ło w niej coś dziwnie dziewiczego i poważnego zarazem, jakieś tchnienie

idealizmu, połączone z rasowym, arystokratycznym wdziękiem. Znad w niej było

dziecię długiego szeregu pokoleń, przywykłych do wyższej kultury umysłowej, do

panowania nad sobą i nad innymi, do całej dziedziny uczuć wykwinnych i wrażeń

podniosłych, a szlachetnych.

Korski wiedział, że pojęła doskonale ukrytą doniosłość słów jego, a jednak nie

dostrzegł w szafirowych jej źrenicach ani jednego błysku zalotności,
ani
przelotnej choćby iskry tryumfu. Gdyby nie poruszenie szkarłatnych
gwoździków,
podnoszonych w miarę rytmicznego falowania piersi, mógłby sądzić,
że śmiałość
jego przebrzmiała napróżno, nie zwróciwszy nawet jej uwagi.
Od wiązanki kwiatów purpurowych i główki klasycznej w zarysach,
którą kapryśny
promień słońca, przedarłszy się przez gęstwinę, otaczał w tej chwili
snopem
blasków zmiennych, wzrok Korskiego przeszedł do delikatnych,
białych jej
paluszków, zwięzających się i zaróżowionych u paznokci, a
haftujących w tej
chwili minjaturową, batystową chusteczkę. Tak, Ira, z tą swoją
królewską urodą i
arystokratycznym spokojem, była uosobieniem tych wszystkich cech
rasowych,
jakich nie spotykał u panien swego świata.

Cisza stawała się kłopotliwą tymczasem.

— Czy wolno wiedzieć — przerwał milczenie Korski, co oznacza ten
powikłany

hieroglif, tak misternie uwieczniany rączkami pani?

— Herb nasz rodowy, Bończę — brzmiała uprzejma odpowiedź.

— Niestety, nie znam go; heraldyka polska jest dla mnie wogóle
językiem umarłym.

— Szkoda; tyle ona nieraz pięknych mówi rzeczy.

I, wyciągając delikatny płatek batystu, podała go grzecznie
Korskiemu.

Młody człowiek pochylił się nad nim uważnie.

— Wszak to korona hrabiowska?

— Tak. Bończa — Halińscy stale jej używają. Opuszczamy od
jakiegoś czasu tytuł

hrabiowski przy nazwisku, lecz na dowód praw do niego, nie odrzucamy korony.

W oczach mężczyzny zapaliły się jakieś dziwne błyski; przez lica jego fala krwi

przebiegła. Znać było, że do pytania, jakie zadaje, nadzwyczajną przywiązuje wagę.

— Panno Ireno — wyrzekł wreszcie głosem stłumionym — czy herb jest dla pani

naprawdę bożyszczem?

Spojrzała mu prosto i szczerze w oczy.

— Nie. Cenię go jednak, jako widomy

znak tradycyi, która zasługuje na to, aby być kultem i religją zarazem. Rozumieli oboje, że było to poniekąd wyznanie wiary, mogące ich zbliżyć na

przyszłość. W oczach Korskiego zabłysła radość, źrenice panny Ireny Halińskiej

rozjaśniły się zapałem.

— Herb nie daje, według mnie, żadnych prerogatyw — ciągnęła.

— A jednak wtrącił — jest on walorem na giełdzie świata.

— Nie znam się na tem. Wiem tylko, że w mojem przekonaniu nakłada on jedynie

obowiązki. Kto bowiem pojmuje dostojęństwo odziedziczonej tradycyi, ten, zamiast

szukać częściej chwały w zasługach przodków, będzie się starał dorównać im tylko

według miary własnej i możliwości. Jak zakonnikowi memento mori przypomina

bezprzestannie służbę. Bożą i znikomość rzeczy ziemskiej, tak dla szlachcica

herb powinien być znakiem widowym, stawiającym mu ciągle na oczy nie poczucie

honoru, bo o tem się nie zapomina, lecz obowiązki służby publicznej i społecznej, która jest rodzajem służby Bożej także.

Lica jej zaróżowiły się, w oczach błyszczał zapal, połączony z odrobiną młodzieńczej egzaltacji.

— Boże — ciągnęła, wadząc palcem po odebranej od Korskiego chusteczce. A cóżby mię mogła obchodzić ta korona? Siedm, czy dziewięć pereł, czyż to nie wszystko jedno? Jeżeli też zachowuję właściwą, ich liczbę, to jedynie dla tego, że tytuł hrabiowski nadany został pradziadowi memu, przed dwustu laty, przez cesarza austriackiego, pod murami Wiednia, za bohaterską ich obronę. Obcego tytułu nie potrzebował szlachcic i wojewoda polski; do herbu jednak, zdobytego niegdyś zasługą, dodał koronę hrabiowską, jako dowód nowych laurów, krwią własną stwierdzonych I odtąd krew ta, z pokolenia w pokolenie przelewana, cementowała prawa każdej nowej generacji do ziemi, za którą walczyli, dla której żyli i pracowali. Czyż tradycja taka nie jest dostojeństwem, której znak widomy, jako przypomnienie obowiązku, uszanować należy. Korski ze czcią pochylił głowę. Rozumiem panią — wyrzekł, bo gorączka ta polska ogarniała i nas przybyszów, w miarę jak w siebie soki tutejsze czerpiemy. Dziad mój nazywał się po prostu Korz, a przybył do Polski piechotą, jako ubogi kolonista. Ojciec odziedziczoną po nim sporą fortunę, pomnożył dziesięćkrotnie, a jednak, będąc możliwym już przemysłowcem, nie pomyślał sobie o kupieniu niemieckiego tytułu, i, chociaż

"baron

von Korz" szumnie by brzmiało, wolał postarać się o przywilej,
pozwalający mu
spolszczyć nazwisko swe na "Korski". Na tej ziemi wyrosliśmy —
mówił, niech więc
moje dzieci pod polskiem służą jej mianem.
Dziewczę słuchało, ze wzrastającym zajęciem, szczerzej tej spowiedzi.
Korski, widząc, iż nadzwyczajną otwartością kupuje prawo do
sympatii jej i
szacunku własnymi rozgrzewał się słowami:
— Rozumiem więc dumę pani — ciągnął gorąco, bo wielką ambicją
mego życia jest
świeże i nowe imię postawić mocą zasługi obok tych, przed którymi
świat zwykł
chylić głowę.
Gdy kończył ostatnie wyrazy, Ira Halińska stała już przed nim, z
życzliwie
wyciągniętą dłonią. Królowna, porwana wymową upokarzającego się
przed nią
wasala, zstąpiła z wyżyn i, wysmukła, z łuną rumieńca na twarzy, a
iskrą
wzruszenia w źrenic szafirze podawała mu dłoń bratnią, wołając:
— Brawo! Tylko zacny człowiek mówić tak może. Gdybym była u
steru władzy, za
same te słowa jużbym panu dała polski indygenat.
On paluszki te ujął, a zatrzymawszy je w gorącej swej dłoni, pochylił
się i,
patrząc

w jej oczy prześliczne — odparł stłumionym głosem:
— Jesteś pani u steru władzy... O herb więc, przez nią nadany, gotów
jestem
starać się gorąco, ale pod jednym warunkiem.

— Nie rozumiem.

— Pod warunkiem, że w polu, jak niebo błękitnem, będzie widniała ręka pani...

Stali wprost siebie, oboje młodzi, piękni, dorodni, oboje wzruszeni mimowoli.

Ona nierozumiejąca jasno o co chodzi, on, gotów grę wyrazów cofnąć i unicestwić,

w razie gdyby jednym wyniosłem spojrzeniem skarciła jego śmiałość.

W miarę jednak przychodzącej świadomości, w królewnie, w arystokratycznej,

panującej nad sobą kobiecie, budziło się dziecko-dziewica. Ira pobladła i,

zalekniona, z firanką rzęs długich, opadających na oczy, stała przed nim,

niezdolna, w czarownem tem pomieszeniu, słowa znaleźć na razie.

Korski, czując, że zwycięża — rączkę jej do ust podniósł.

— Ja o nic nie proszę i żadnej nie żądam odpowiedzi — mówił głosem wzruszonym.

Rozumiem, że nie mam do tego jeszcze prawa, że zbyt obcym jestem pani, jej

sferze, jej pojęciom i rodzinie całej.

— Nie mara rodziny — przerwała z żalem bezwiednym. Prócz wuja Tadeusza, nikt na

szerokim świecie nie troszczy się o mnie.

Zrozumiał, że to jeden atut więcej w jego ręku.

— A więc tem bardziej, może mi będzie danem zastąpić ją pani.

Proszę tylko na

razie, aby mi wolno było powrócić tutaj w charakterze gościa, i starać się o

pozyskanie przychyłnej opinii pani. Panno Iro, przysięgam, że nie będę kładł

żadnego na panią naciska, że jednym słówkiem odprawisz mnie lub zatrzymasz. Czy

zgoda?

Wyciągnął dłoń ku niej.

Słowa były proste i nie wyszukane, w głosie jednak była szczerść, w męskim, dorodnym obliczu jaśniał zapał, w oczach błyszczała prośba gorąca. Ira, opanowując zaleknienie, patrzyła, na niego długo, głęboko i, jakby wymową tych jasnych a otwartych rysów przekonana, rączkę swą ze wzruszeniem w dłoni jego złożyła.
Korski ponownie do ust ją podniósł:
— Dziękuję — wyszeptał i przysięgam, że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy by dłoń tę na zawsze dla siebie zatrzymać.
U stóp Iry liście ruchome rzuciły w tej chwili snop blasków. Cofnęła się przypominając sobie własne swe słowa:

"Cienie i światła, walczące z sobą na przemian to obraz życia. Co w mojem zwycięży, czy światło?"
Spojrzała na Korskiego i uśmiechnęła się z ufnością. Tak; teraz była pewną, że światło.
I szli obok siebie, długim, cienistym szpalerem, jakby po zaczarowanych błędząc krainach. Jeżeli jego zachwycała arystokratyczna uroda Iry, tak dobrze licująca z całym otoczeniem pańskiej tej rezydencji, jeżeli w połączeniu z nią widział pozyskanie jednego czynnika, jakiego jemu, wnukowi ubogiego kolonisty, brakowało dotąd, jeżeli zbliżenie do tego wymarzonego świata wzruszało go i czyniło niezwykle wymownym, to i w niej nawzajem jawny podziw Korskiego budził jakieś miękkie rozrzewnienie, któremu nie próbowała bronić się nawet.

Młody człowiek, szczerzy z natury, widząc, iż drogą tą zwycięża, szedł nią

śmiało, a logicznie naprzód.

— Nie spotkałem w życiu kobiety — mówił z zapalem, któraby wcieliła tak

wszystkie me marzenia o ideale niewieścim, jak pani.

Chciała zaprzeczyć, powiedzieć, że nie zna jej charakteru, jej ducha, lecz

Henryk Korski ciągnął dalej, z niezwykłym u niego ogniem.

— Otoczony od urodzenia dostatkami, nie przywiązuję wagi do rubla.

Przeciwnie;

złoto,

nagromadzone zgrubiałemi od pracy rękami mego dziada i ojca, lekceważenie we

ranie budzi. Tam, gdzie oni widzieli cel istnienia i jego bożyszczę, ja dostrzegam tylko konieczną podstawę, ale nie czar życia. Kołom bogatego

przemysłu brak takich właśnie, jak pani, kobiet. Przy twojej pomocy też, stanę na

wyżynie, przed którą świat zawsze chyli głowy.

Spostrzegłszy zaś, że ambitne te plany mogą jej się wydać zbyt

egoistycznymi,

dodał miękko:

— Nie znając pani, śniłem już o niej; marzyłem o takiej świetlanej istocie,

wzrosłej w innem, niż ja, otoczeniu, w czystej atmosferze wiejskiego dworu, jego

tradycji praw i obyczajów. Piękność twa panno Iro, dokonała reszty: podbiła mnie

i na zawsze w niewolę zabrała.

— Nie uprzedzajmy przyszłości — przerwała miękko. Wszystko to tak nagle spada

na mnie... Pozostaw mi pan, proszę, trochę czasu do namysłu, do zrozumienia

własnych wrażeń i uczuć.

— Wszak ja nie proszę o odpowiedź, lecz tylko o słówko nadziei.
Ira spojrzała mu prosto w oczy. Jeżeli w wyrazach jego brzmiała
niekiedy nuta
pospolitej ambicji, ładne męskie rysy jaśniały za to rzeczywistym
zachwytem.

Drobne jej usta śliczny rozchylił uśmiech.

— A więc — odparła, miejmy ją oboje i wierzmy, że przyszłość
szczęście nam
przy. niesie.

Było to prawie zezwolenie, dane bezwiednie może, pod wrażeniem
chwili, ale nie
mniej obowiązujące. Równocześnie stanęli u skraju szpaleru, a słońce
które

posunęło się dalej ku zachodowi, łuną złocistą oblało postać Iry.

Zaróżowiona od

poprzedniej rozmowy, z iskrą wzruszenia w pociemniałym szafirze
źrenic i z lekko

rozchylonemi ustami, traciła w blaskach tych eteryczno-
arystokratyczne swe

piętno, lecz nabierała wzamian cech tryskającej życiem młodości i
piękna.

Henryk Korski patrzył na nią w niemym zachwycie.

Złoto zamieniało się na zachodzie w fiolety i szkarłaty. Ira zapatrzona
w tę grę

barw, wskazała ją Korskiemu.

— Patrz pan, to dobra wróżba — mówiła. — Może blaski takie i
naszą uścielą
drogę.

— Obym równą im królewską purpurę mógł rzucić pod stopy pani —
odparł z
zapalem.

ROZDZIAŁ II.

— Czy wolno, co?

Panna Halińska powstała szybko od biureczka,

— Ależ proszę, proszę, wuju drogi. Wiesz, że przychodząc tutaj, robisz mi zawsze

najwyższą przyjemność.

Pan Tadeusz Borecki przestąpił próg, a zamykając drzwi za sobą, rozejrzał się po

panieńskim pokoiku swej siostrzenicy i pupilki zarazem.

— Jak tu ładnie! Znać w uroczem tera gniazdku artystyczne upodobania i smak

wykwintnej kobiety.

— Jeżeli ci się, wujaszku, podoba ten zakątek, dla czego nie przychodzisz tu

częściej?

Przez otwarte, jasne rysy Boreckiego przykry cień przebiegł.

— Wiesz, że wujenka tego nie lubi — odparł ze smutkiem.

Ira śliczną swą twarzyczkę przytuliła z pieszczotą do jego ramienia.

— Wiem — wyszeptała z żalem — wiem, ale przecież...

— Dajmy temu pokój — przerwał Borecki — głaszcząc z tkliwością jej główkę. — I

cóż Iro, jakkolwiek gniazdko twe urocze, jednakże podobno je wkrótce opuścisz?

Spłoniona, spojrzała na niego lękliwie i badawczo.

— Wiesz już, mój wuju?

— Tak, Iro. Pan Henryk Korski prosił mnie dzisiaj o pozwolenie bywania tutaj, w

roli twego zdeklarowanego konkurenta. Mówił mi, że działa po porozumieniu się z

tobą.

— A ty, mój wuju?

— Odmawiać prośbie jego nie miałem żadnego powodu. Przychodzę jednak aby się

dowiedzieć, co myślisz uczynić, co się dzieje w sercu i głowie mego dziecka?

W miarę słów jego, Ira odzyskiwała spokój i panowanie nad sobą.
Uwolniona od
gorących spojrzeń Korskiego, zapatrywała się snąc na całą sprawę z
większym
krytycyzmem pociągnawszy bowiem Boreckiego ku maleńkiej,
różowej kanapce, zajęła
obok niego miejsce i mówiła, ze zwykłą sobie, trochę smutną,
powagą:
— Twoja Ira biedną jest, mój wuju. Stała na rozdrożu i teraz sama
nie wie, co
robić. Tak to wszystko na mnie nagle spadło.
— Dla mnie jasnym było, co prawda, iż przybywszy tu, w celu
kupienia majątku,
pan Henryk Korski powracał następnie kilkakrotnie, dla innych
zupełnie pobudek.
Nie zwracałem ci jednak uwagi, Iro, aby nie spłoszyć twej
wrażliwości
dziewczęcej. Dziś gdy kwe-

stya tak uczciwie i poważnie przez Korskiego postawioną została,
przychodzę,
moję dziecię, pomówić z tobą poufnie. Jako zastępujący ci rodziców,
mam prawo
zapytać, jaką masz zamiar dać odpowiedź?
— Nie wiem jeszcze, wuju drogi.
— Czy ty go kochasz Iro?
— Nie sędzę. Tak mało znam go dotąd. Wydaje mi się jednak
pociągającym i
sympatycznym.
— Dzięki Bogu.
— Dla czego, wuju?
— Bo małżeństwo to uważam dla ciebie za świetną partyę, za istne
zrządzenie
Opatrzności. Korscy, to dziś potęga. Do nich lub do im podobnych
świat cały a

może i przyszłość narodu należy. My, giniemy stopniowo, idziemy na marne...

Wyrazista twarz jogo, o podniesionej do góry, jakby podgołonej czuprynie, kształtnym nosie i sumiastych, siwiejących wąsach, posmutniała, w ciemnych oczach wyraz żalu się odbił.

— Idziemy na marno — powtórzył, bo jesteśmy pod wielu względami sferą przeżyta mohikanami przeszłości, która egzaltuje w nas dużo pięknych i szlachetnych uczuć, lecz nie daje warunków, niezbędnie potrzebnych do życia w dzisiejszej atmosferze. Nie nam

kupczyć, nie nam łokciami wybijać się naprzód, za mało mamy na to żywotności, a za wiele dumy.

Wyprostował muskularną postać i podniósł głowę, jak człowiek przywykły do rozkazywania. W obliczu zaś jego dwa sprzeczne ścierały się uczucia: jakaś harda nieugiętość, z głębokim walczącym smutkiem.

— Tacy Korscy tymczasem, idąc po szczeblach, opanowują najwpierw rynek pieniężny, a potem... nas. Skupują nasze ojcowizny, zamieszkują pałace i stają się rządem w rządzie, naroślą obcą, a jednak w samo serce organizacji społecznej wtłoczoną.

Ira. dla której słowa Boreckiego były zawsze wyrocznią, słuchała ich tym razem z nieukrywanym zdumieniem.

I, wobec podobnych zapatrywań, ty, wuju mój, twierdzisz, że małżeństwo z panem

Korskim uważałyś za szczęście, za "istne zrządzenie Opatrzności"?

Pan Tadeusz Borecki posmutniał bardziej jeszcze.

— Tak, Iro. Bo choć kocham cię, jak własne swe dziecko, jednakże czuję, że źle spełniłbym przyrzeczenie, dane umierającej twej matce, że postąpiłbym wbrew twemu dobru i twemu szczęściu na przyszłość, gdybym chciał zatrzymać cię dłużej przy sobie. Znasz

stosunki nasze rodzinne, wiesz — mówił zwolna, jakby mu słowa z trudnością przechodziły przez gardło — że pomimo przywiązania do mych córek, ty jedna, jako dorosła, a więc, umiejąca myśli moje i uczucia zrozumieć, byłaś mi, w tym domu, chłodnym nieco, jedynym jasnym promykiem... W głosie Boreckiego czuć było, że dotyka jakiejś rany bolesnej a piekającej.

— Pozwólże mi promykiem tym pozostać, mój wuju, wszak niczego innego nie pragnę.

Wstrząsnął smutnie głową.

— Nie, Iro. Dom to ojczyzna i królestwo kobiety; ten jest więc podwójną własnością mej żony...

Pojęła myśl rzuconą. Po licach jej, matowo znów bladych, dwie grube łzy ściekły.

— Aaa! Wujenka nie życzy sobie, abym dłużej pod dachem jej przebywała.

Boreckiemu łzy te zarzewiem na duszę padały. Dla złagodzenia też bólu jej, dla

własnego honoru, próbował wywołane wrażenie złagodzić:

— Nie krzywdźmy jej — mówił, ujmując dłoń dziewczęcia. Jest chłodna trochę z

natury, ale przecież na swój sposób cię kocha. Tylko widzisz, to zachwianie

fortuny, w chwili gdy dwie córki dorastają, rozgorycza ją poniekąd.
Pociechą jej
też będzie, iż dzięki pię-

kności twej i wdziękowi, tak świetny los przed tobą się otwiera.
Ira rozumiała półsłówka. Ach, ta piękność, przeciwstawiania
pospolitej urodzie
jej kuzynek; więc znów wujenka jako zarzut ją podnosiła. Ale że on,
on
szlachetny obrońca jej i opiekun, podobne rzeczy powtarzał, że przez
usta mu
przeszły...

Z oczów dziewczęcia dwie przeczyste stoczyły się znów perły.
Szczęście jej i
przyszłość kładziono na szalę z tak błahymi powodami.
Spojrzała w te rysy, rozumne, a uczciwe i obie ku niemu wyciągnęła
ręce:

— Wuju, to nie ty chyba powiedziałeś. To nie twoje zacne serce
mówiło.

Ujął dłonie jej i, przyciągając dziewczę, najwpierw ucałował je w
zbladłe
policzki, a następnie bliżej siebie posadził.

Wyraziste jego oblicze, nacechowane dotąd walką uczuć sprzecznych,
rozjaśniło
się nagle.

Tak, dziecko drogie, masz rację: to nie moje serce mówiło, a nawet
nie moje
przekonanie. Niemniej, głosowi rozsądku, który mi słowa te podsunął,
muszę

przyznać słusność. Ja sam, Iro. nie widzę przyszłości tu dla ciebie;
nie znam

nikogo w okolicy, który byłby godnym mojej pięknej i rozumnej
dziewczyny.

— Czyż koniecznie mam iść zamaż?

— Moja Iro, bądźmy rozsądni. Dalekim jestem od namawiania cię, ale przyszedłem po to, aby egzaltowanej twej główce przedstawić położenie we właściwym świetle.

Posag twój urósł wprawdzie, był jednak tak maleńki, że choć, w najcięższych chwilach, nietylko nie dotknąłem go, lecz procenta od niego kapitalizowałem jeszcze, nie mniej dosięga on zaledwie . rubli. Przy twojem świetnym, lecz zbyt kownem wychowaniu, przy twej piękności i hrabiowskim tytule, to nędza, Iro.

Za mało aby wyżyć, za dużo, aby z głodu umrzeć.

— Mogę pracować.

— Pracować? W jaki sposób? Za nauczycielkę nikt cię nie weźmie boś za młoda i

za piękna. Do sklepu lub magazynu nie pójdzie przecież świetna hrabianka Ira

Bończa-Halińska, gdyż grzech miałaby nawet zabierając, pomimo swej względnej

zamożności, miejsce tym, które chleba łakną. I dla tego to, dziecko drogie,

oświadczenie pana Korskigo uważam za wielką, wygraną dla siebie.

Dzięki

przymiotom osobistym, powinniście znaleźć szczęście nie każdemu dane

śmiertelnikowi. Pieniądz przytem, to potęga, to dźwignia, mocą której ileż

szlachetnych dzieł dokonać można. Kobieta z twojem wykształceniem i sercem zdoła

miljonową fortunę Korskich zamienić w istne błogosławieństwo dla kraju i

społeczeństwa.

Mówił teraz z głębokim przekonaniem i właściwym mu ciepłym serdecznym. Ira, przywykła wierzyć ślepo opiekunowi, słuchała z nateżoną uwagą. — Tytuł, który w ubóstwie i pracy byłby ci kulą u nogi, tam stanie się jednym atutem więcej; zapewni wpływ, tak bardzo dla ciebie i innych pożądany. — Wpływ? A niechże mnie Bóg broni od dążenia do jakiejś przewagi. — Nie rozumiałaś mnie, Iro. My, stara szlachta polska, idziemy na marne... Widzimy to sami, a jednak, najlepsza nas część, ta właśnie, która pojmując dostojeństwo tradycji i obowiązki przez szlachectwo nakładane, mogłaby się stać rdzeniem narodu i soki życiodajne w cały jego przelewać organizm, ta właśnie odcina się murem chińskim od miasta, od kupiectwa, przemysłu i finansów. Tu duch szlachetny, lecz zamierający, tam nerw życia i jego siła na przyszłość. Zbliżyć te dwa czynniki, tchnąć w sfery, obce nam pochodzeniem, a sfilistrzałe wskutek warunków bytu, poczucie obywatelskie, zespolić je z ideałami narodu i ze wsią, jako jego podwaliną odwieczną, to misja, godna rozumnej a szlachetnej kobiety, godna ciebie, Iro. Jako żona Korskiego możesz właśnie stać się takim łącznikiem, jednoczącym dwie sfery, dwa światy, ogniwem, któ-

re przeszłość z przyszłością, dla dobra kraju skojarzy. Zapal rozjaśnił piękne rysy Boreckiego. Wierzył głęboko w to, co mówił; wierzył, że dopóki finanse i wielki przemysł nie skoncentrują się w dłoniach na wskroś

polskich, dopóki pozostaną obce trosce o byt i dobro społeczeństwa,
dopóty to
ostatnie nie będzie wzrastać i rozwijać się normalnie.
— Jedna ziemia, przy dzisiejszych warunkach ekonomicznych, nie
zdoła nas
utrzymać — mawiał niejednokrotnie, a reszta — obca zupełnie.
Wielki przemysł —
niemiecki, finanse — żydowskie. Oba te wrogie pierwiastki wyssać
nas tylko
umieją; wycisnąć jak cytrynę, i odrzucić, by soki krwi polskiej
odebrane wywieść
za granicę, lub zużyć na tuczenie sobie pokrewnych, a nam znów
wrogich
zastępców... Gdy i karyera publiczna trudną, jest w obecnych czasach,
co tu
robić, co począć z siłami młodemi? Osadzić je na roli zadłużonej, aż
wyczerpane
walką bezowocną, dojdą, obok finansowego, do moralnego i
umysłowego bankructwa.
Ależ to przyszłość, przed którą, z rozpaczy samej, niejedną rękę
opuści...
Ira знаła zapatrywania podobne i dla tego zapał pana Tadeusza
Boreckiego nie
zdziwił jej wcale. Przeciwnie; w nim dopiero poczuła nutę szczeroci,
a w
rozjaśnionych ry-

sach wuja odnalazła wyraz prawdy i siły, który porywał ją, zawsze.
— Tak — ciągnął, własnymi zagrzany słowami, obowiązkiem jest
podjąć zadanie
obywatelskie, jakie Opatrzność w ręce twoje składa. Odrzucenie go
uważałbym za
tchórzostwo i małoduszność, za zdeptanie własnego szczęścia
przytem. Bo pomyśl,
z jednej strony młodzi oboje, piękni, wykształceni, bogaci, macie
wszystko, co w

warunkach podobnych pomyślność zapewnić może, wszystko, aż do miłości, ta bowiem, widniejąc z każdego spojrzenia Korskiego, twoją wzajemność z czasem zdobyć musi. Z drugiej strony, co za podniosła misja dla rozumnej i szlachetnej kobiety być ogniwem, łączącym w silny, a nierozzerwalny łańcuch, dwie obce sobie sfery społeczne, ogniwem, które je zbrata, zjednoczy.
— Zapominasz drogi wuju, że i kajdany z ogniw się składają. Ten wybuch ironji zdziwił go, lecz nie zbił z tropu.
— Składa się z nich każdy silny łańcuch. Bez ogniw, spojonych razem, żadna kotwica, ów symbol nadziei, nie zdołałby statku uchronić od zagłady. Czy rola ta nie uśmiecha ci się, Iro? Delikatne pukanie przerwało mu dalsze słowa.

Na progu stanęła kobieta wyniosła, o mocno rozwiniętych kształtach i wysokiej pretensjonalnej fryzurze. Znać piękna kiedyś, dziś pomimo lat pięćdziesięciu, imponującą jeszcze, była. Ciemna jej suknia szeleściła jedwabiami, w rysach przebijała się silna wola i ostry nieco wyraz dumy. Jednym spojrzeniem ogarnęła różowy salonik, dziewczęcę poważne, zasłuchane i męża rozplomionego własną wymową. Po wąskich jej wargach przebiegł szybko wyraz wzdorliwego lekceważenia, poczem ustąpił miejsca zdawkowo chłodnemu uśmiechowi. Panna Bończa Halińska wysunęła dłonie z rąk wuja i powstała żywo. Pani Borecka zbliżyła się ku niej, przybierając niezwykle łaskawy wyraz twarzy.
— Winszuję ci, moja Irenko, mówiła, tak świetnych widoków na przyszłość.

Jakkolwiek miło nam było mieć cię tutaj, to jednak cieszę się, że do własnego już przejdiesz domu.

— Dziękuję cioci, odparła, podnosząc rękę jej do ust.

Pani Borecka dotknęła zimno ustami pochylonego czoła dziewczęcia.

— Dla sieroty ubogiej prawie, los to niezwykły. Wuj, strzegąc tak zazdrośnie

twego posagu, nie przypuszczał, że on ci z czasem na szpilki ledwo starczy.

Ani jednego serdecznego słowa, ani pozornej choćby troski o uczucia jej i

szczęście na przyszłość. Ira stała smutna, do żywego dotknięta. I ta kobieta

miała zastępować jej matkę!...

Pani Borecka starała się tymczasem być łaskawą.

— Zaręczyny obchodzie będziemy zabawą, na której Żenią nasza wystąpi, po raz

pierwszy, jako panna dorosła. Wzamian proszę tylko, abyś całej historii nie

przewlekła zbyt długo. Byłoby to niestosownem, choćby ze względu na fakt, iż pan

Korski, mieszkając w Warszawie, a więc daleko, musiałby za każdą bytnością bawić

tu po dni kilka.

— Ależ, Emmo — przerwał Borecki, z prośbą w głosie.

Pani zmierzyła go zimnem spojrzeniem.

— Nie lękaj się, proszę, wiem, co się należy naszemu domowi i naszej bratance;

wszelkie więc decorum zachowane zostanie. Ale najpierw, zbyt długie a częste

przebywanie narzeczonych pod jednym dachem, wobec swobody, jakiej żądałeś dla

Ireny, uważam za niewłaściwe; powtóre zaś sądzę, że działałam w imię jej dobra

tylko, prosząc, aby ślub nie był zbyt odwołany.

— Przecież, ciociu, nic nie jest zdecydowanym, więc ślubie nie może być mowy.

— No, tak; wobec jednak oświadczenia się tobie i stanowczej rozmowy pana Korskiego z wujem, kwestya to już czczej formy tylko. Nie odrzuca się króla bawelny i nie wyrzeka związku z rodem hrabiów Bończa-Halińskich. Była to strzała zatruta, rzucona na pożegnanie, przypominająca i świeże pochodzenie Korskich i upadek materyalny Halińskich; strzała, wymierzona jednak z dobrotliwym i łaskawym na pozór uśmiechem. Pani Borecka raz jeszcze, w powietrzu, pocałowała Irę, poczem, pod pozorem pilnego interesu, zabrała męża, którego konferencyą sam na sam z bratanka drażniła ją widocznie. W różowym saloniku głęboka zapanowała cisza. Ze spienionemi rękami i wzrokiem, po przez drzewa parku, w dal błękitną utkwionym, stała Ira Halińska, w smutnej pograżona zadumie. Wczorajsze podniecenie gorącemi słowami Korskiego wywołane, zniknęło, pozostała zaś szara rzeczywistość, połączona z uczuciem gnębiącej niepewności. Cała jej przyszłość, całe życie rozgrywało się w tej chwili. I w takiej to, przełomowej godzinie, nikt jej przyjaźnie nie podał ręki, nikt nie przytulił do piersi, nie zapytał o uczucia i pragnienia, nie zatroszczył się o dolę jej i szczęście? Była, wśród tej pseudo-rodziny bardziej

opuszczoną, od najwięcej samotnej sieroty. Lata długie, spędzone w
tem gniazdku
rózowem, miękkim na pozór, lecz bardzo od ciepła rodzinnego
dalekiem, nauczyły
ją patrzeć trzeźwo i krytycznie na stosunek swój do wujostwa. Jeżeli
też, z
jednej strony, obcowanie z przyrodą, i książką, jako główną życia
mistrzynią,
wyrobiło w niej pewien idealizm poglądów i zasad, to z drugiej,
refleksyjność
charakteru, tą samą drogą zdobyta, pozwalała jej widzieć bardzo jasno
pobudki,
kierujące Boreckimi.
Przedstawiano jej korzyści małżeństwa z Korskim, nie dopuszczano
nawet wahania
pod tym względem, bo w interesie wujenki leżało, aby się jej pozbyć z
domu.
Słusznie, czy niesłusznie, uważała ją za piękniejszą od swych córek, i
nie
chciała razem z niemi w świat wprowadzać. Liczyła przytem może że
zamażpójście
Iry utworze i tamtym drogę do zrobienia "świetnej partyi". Zresztą była
Irze
całe życie niechętną, uważając wychowanie jej oraz pobyt pod swym
dachem za
niepotrzebny wydatek, obciążający i tak nadszarpniętą, fortunę
Boreckich.
Kobieta zimna, egoistyczna, żądna panowania, a mężowi duchem i
sercem obca,
znała w życiu tylko jedno namiętne uczucie: zazdrośną,
bałwochwalczą miłość dla
swych córek. Była to potęga ślepa, a tak da-

leceć wykluczająca wszelkie inne względy, iż pani Borecka bez
namysłu

poświęciłaby zawsze wszystkich lub wszystko, byle tem sobie lub swoim dzieciom dogodzić.

Oziębłość jej na wszelkich innych punktach a przytem charakter przykry, połączony z żądzą panowania, czyniły stosunek domowy Boreckich zimnym i często rozdrażnionym. Wobec tego, mąż jej, pochłonięty z jednej strony troską materialną, gwoli utrzymania fortuny i prowadzeniu domu na pańską stopę, z drugiej oddał się w chwilach wolnych od zajęć, sprawom społecznym, do których szlachetna a ofiarna natura pociągała go zawsze.

Był dobrym i rozumnym, lecz słabym, do walki absolutnie nie zdolnym. Raz tylko przeprowadził swą wolę, to wtenczas, gdy chodziło o wzięcie pod opiekę dziecka swej siostry. Kochał matkę Iry, więc sierotę jej pod dach swój przygarnął, dając jej staranne wykształcenie. Z reszty jednak wpływu zabdykował zupełnie, sądząc snadź, iż nie wart on był ciągłych utarczek podjazdowych i rozgoryczenia, jakie wywoływać musiały.

Człowiek dobry, lecz słaby... Czy więc mogła Ira wymagać od niego czegoś więcej, nad stwierdzenie woli żony, nadto bezwiedne posłuszeństwo narzuconym mu zapatrywaniom?

A jednak był to jedyny jej opiekun i jedyna dusza życzliwa na świecie.

Samotność sieroca zaciężyła jej więcej w tej chwili, niż kiedykolwiek. Zrozumiała, że może liczyć na Boga i na siebie tylko. W oczach jej, utkwionych w

szafir nieba, łyzy jasne zabłysły. Były one zarazem skargą, i modlitwą,
niemą;
modlitwą bez słów, słaną hen, hen, w głębie nieba, przed tron
Tajemnicy
przedwiecznej, która losami ludzkiemi kieruje.
I pod wpływem tej cichej, rozmodlonej zadumy, rysy dziewczęcia
wypogodziły się,
w oczach ufność i wiara zajęły miejsce smutku. Młodość, pełna
nadziei we
wszystkie obietnice życia, odzyskiwała swe prawa. Ira, rozplótłszy
smutnie
załamane dłonie, zbliżyła się do otwartych drzwi balkonowych. Z
wysokości
pierwszego piętra rozległy, a uroczy roztaczał się widok. Jasnym
słońcem oblane
klomby kwiatowe iskrzyły się wszystkimi barwami tęczy; a dalej,
poza
różnorodnym szmaragdem drzew i przecinającą je srebrzystą wstęgą
rzeki, śmiały
się pola i łąki, falowały bujne zboża, nęcił las, siniejący na skraju
widnokregu. Wszystko, w blaskach dnia lipcowego, zdawało się
dyszeć życiem,
rozkoszą, upojeniem. I wioski, rozrzucone wśród ogrodów, i wzgórza,
widniejące
za niemi, i błyszcząca

kopułka kościoła, nęciły Irę w tej chwili. Jeżeli tu, w tym quasi
pałacu,
wzniesionym na wyżynie, tak, aby panował okolicy, zimno jej było i
samotnie, to
wzamian tam, wśród nizin owych, na szerokim świecie, znajdzie
przecież dusze
bratnie, znajdzie zajęcie dla rąk bezczynnych i ducha gnuśniejącego,
tam stanie
się użyteczną, potrzebną, kochaną... Zostanie człowiekiem w całym
znaczeniu tego

słowa, z prawem do rozporządzania własnym życiem, do kierowania
niem dla dobra

innych, według upodobań swych i zasad.

Pogodniej już obejrzała się po otoczeniu Pańskim Borowa. Wzrosła
tu, a jednak

czuła się zawsze obcą, zawsze nie u siebie. Na myśl też, iż nareszcie
na własnym

stanie gruncie, piękne jej rysy opromienił uśmiech, jak błysk słońca
jasny.

A więc zejdzie z tych "pałaców, sterczących dumnie", zabierze swoje
lary i

penaty zabierze bogi swoje i tam im ołtarz wzniesie. Wiedziała, że,
obok

bogactwa materialnego, może znaleźć wśród nowej rodziny pewne
ubóstwo ducha. Ale

prostota jaką się musiała odznaczać starsza generacja, ta, która pracą
rąk

własnych niezależność zdobyła, pociągała ją w tej chwili; wydawała
jej się jakąś

cechą patryarchalną, godną wyższego szacunku, nad

życie, oparte na zasługach przodków, a zużywające bezcelowo ich
trud krwawy.

Wszak prostotę, w znaczeniu szlacheckim miał i pan Henryk Korski,
bo szczerść,

jaką, podbił ją. wczoraj, na tej uczciwości ducha była, tylko oparta. I
stał

przed wyobraźnią jej w tej chwili jak żywy, z twarzą piękną, krótkim
zarostem

otoczoną, rozmodlonemi oczyma, utkwionemi w nią, ze szczerym
zachwytem.

Zarumieniała się i, spłoniona, uśmiechnęła bezwiednie. Iść z nim przez
życie nie

będzie trudnym zadaniem; poda mu więc dziś jeszcze rękę, skracając
dla obojga

czas namysłu i niepewności.

Zwróciła się ku różowemu salonikowi. Ileż samotnych przemarzyła tu godzin, ile nocy spędziła z książką i własnymi myślami. Czy świetlane szlachetne zamiary, snute wówczas, potrafi dziś w czyn wprowadzić. Mała na biureczku umieszczona kopją Madonny Sykstyńskiej, patrzyła na mą swemi strwożonemi oczyma dziewiczemi. Ira pochyliła głowę. Wszak Ta, Święta, umiała na najskromniejszym stanowisku stać się ideałem kobiecości i poświęcenia.

ROZDZIAŁ III.

Willa pod miastem.

Czy można sobie wyobrazić wyższy szczyt marzeń przeciętnego kupca lub przemysłowca nad posiadanie własnej willi pod miastem? Dla jednych jest to kwestją mody, dla drugich — zdrowia; dla wszystkich warunkom komfortu i zbytku, stwierdzający stan zamożności, oraz pozycję, jaką się zajmuje w towarzystwie mieszczańskim.

Wskutek wszystkich połączonych tych względów podmiejskie okolice Warszawy, jakkolwiek najbrzydsze w kraju, roją się od pałacików, willi lub domków, należących do przedstawicieli miejscowego przemysłu i finansów. Nosząc na sobie cechę tymczasowości, letnie te rezydencje, mało monumentalne, nie odznaczają się zazwyczaj ani wykwintnym smakiem, ani malowniczością. Grunt płaski, piaszczysty, o dziwnie ubogiej roślinności, nie dodaje im również uroku. A jednak, większość

tych ludzi, zamkniętych przez życie całe w kantorze, albo w fabryce,
odczuwszy
tu dopiero, pod własnym dachem, wrodzone każdemu zamięłowanie do
posiadania
kawałka ziemi, więcej się raduje tym marnym, na piasku założonym
ogrodem, niż
akcyami, spoczywającymi w kasach wertheimowskich lub potężny-

rai kominami fabryk, których rozrost miliony im niesie.
Dla takich willa pod miastem nie jest już kwestją, szyku, lecz
miejscem
rzeczywistego wypoczynku i niewyczerpanych, cichych rozkoszy.
Natura odzyskuje
tu swe prawa. Wraca do instynktów pierwotnych i bierze
zadośćuczynienie za
długie lata, spędzone w twardej pracy lub w odmęcie ciągłej pogoni za
złotem. Do
tych ostatnich należał pan Wilhelm, założyciel i pierwszy dynasta
rodu Korskich.
Słońce lipcowe, rozrzucające czerwone efekty kolorystyczne wśród
kłąbów
kwiatowych i szpalerów malowniczych parku borowskiego, padało w
snopach suchych
a jaskrawych, na letnią, rezydencję Korskich. Niepowstrzymane
młodymi, w zarodku
zaś skarłałymi krzewami świeżo założonego ogrodu, paliło żarem
piekielnym lotny
piasek, w którym wątłe rośliny, pomimo starannego podlewania,
omdlewały
poprostu. Piasek ten gorący, rozprażony od upału i brak rzeczywistego
cienia,
czyniły pobyt w ładnym, lecz zbyt młodym ogrodzie wprost
nieznośnym; żar,
ziejący z blachy cynkowej, jaką pokryto pałacyk o pretensjonalnych
wieżyczkach i

balkonach, uniemożliwiał przesiadywanie w pokojach. Werendy więc
tylko, ładną
terra-cotą wyłożo-

ne, a oplecione elematisem, mogły ratować mieszkańców.
Nie wszyscy jednak ratunku tego zdawali się pożądać.
Wdzięcznie zarysowanym, lecz do wysokości człowieka nie
dosięgającym jeszcze
szpalerem, prażony przez podzwrotnikowe pociski słońca, a gorącym
tem
rozpromieniony tylko, szedł pan Wilhelm Korski. Ubrany w prosty i
niezbyt świeży
kitel z szarego płótna, w takichże luźnych, szerokich spodniach, bez
kamizelki i
krawata, w kapeluszu słomkowym, mocno sfatygowanym od
kilkoletniej służby, nie
przypominał niczem pana milionowej, choćby nawet świeżo powstałej
fortuny. Twarz
jego pełna, od kilku dni niegolona, śmiała się zadowoleniem, oczy
jasne
dobrodusznie na świat patrzyły. Przedziurawione, widać przez gałąź,
rondo
kapelusza, jeden ostry błysk słońca na oczy mu rzucało. Nie mógł
jednak
zrozumieć na razie, z kąd to pochodzi i, jak natrętną muchę ciągle go
ręką
odganiał. Pojawszy wreszcie własną pomyłkę, zdjął kapelusz, obejrzał
go i
roześmiewszy się szczerze, nie przypuścił nawet, aby go można
zamienić na nowy,
lecz zdecydował półgłosem:
— Przedarł się! Szkoda... Trzeba teraz dziurę kłaść od tyłu.
Odwrócił ją do pleców, obtarł z rześnastego potu czoło i krótki,
czerwony kark
apoplekty-

ka, poczem obcinał dalej wielkimi nożycami wystające gałązki
drzewek grabowych.
Z dobroduszných jego oczów biło zadowolenie. Przystawał, oglądał
każdy liść
nieledwie, przyczem znalazioną, liszkę lub załazek robaka, rozgniatął
w palcach
z taką rozkoszą, jak gdyby rozcierał na nich drogocenny a wonny
olejek.

— Dobrze, że Dora nie widzi. — mruknął raz bezwiednie. —
Dopiero to wołałaby:

"Fi, fi! fi!" i kręciła arystokratycznie nosem.

Był tak komiczny, naśladowując owe fi, fi arystokratyczne, jak aktor
scenki

prowinjonalnej, szarżujący niedostępną dla siebie rolę. Pełne,
pocziwe jego

rysy wykrzywiły się, zażywną postać, w szarym rozpiętym kitlu,
przechylił w tył
pretensjonalnie.

W tem, na końcu młodocianego szpaleru, tuż przed domem, dojrzał na
kłąbie świeżo

rozkwitłą różę. Te kilkanaście krzaków róż sztamowych, pod które
prawie własnymi

rękami nawiózł ziemi żyźniejszej, to była jego chluba najwyższa.

Jak z procy wyrzucony, poskoczył do krzaka i rzeczywistości nie
wierzył. Wczoraj

był pęk tylko a dzisiaj — "Maréchal Niel".

Oczy mu się śmiały, zadowolenie i duma były ze spoconego oblicza.

Nachylił się

nad różą z taką tkliwością, jak gdyby tu szło o ży-

wą, istotę. Upewniony wreszcie, że to nie złudzenie zmysłów, lecz
prawdziwa,

żółta "Maréchal Niel", odstąpił o krok jeden i zapatrzonej z rozkoszą w
ów kwiat

rachityczny, huknął głosem tubalnym:

— Berta! Berta!

Cisza była jedyną odpowiedzią. Turkot maszyny do szycia grzmiał tylko gdzieś, w głębi willi.

Naiwna radość w rysach Korskiego ustąpiła z niecierpliwością

— Mutter! — zawołał jeszcze donośniej. Na progu werendy ukazała się kobieta

wysoka, sucha, koścista, w popielatej sukni wełnianej i czarnych mitenkach na

rękach. Ciemno blond włosy, o brudnym niewyraźnym odcieniu, gładko nad czołem

zaczესane i w twardym warkoczku na czubku głowy upięte, uwydatniły ostrość rysów,

nadając im oschły i zimny charakter.

Korski, ujrzawszy żonę, rozpromienił się cały.

— Berta, chodź-że prędzej — wołał.

— W takie słońce — po co?

— No, matka, nie roztopisz się przecież — prosił dobrodusznie. — Patrz tylko

co za róża! Czy widziałaś kiedy wspanialszą?

— Zapytaj się lepiej, ile cię też ona kosztuje? Pewno wypadnie pączek po ruble!

Wilhelm Korski zasepił się na chwilę.

— Ha, trudno, — zdecydował, odzyskując jednak humor. — To jedyny mój zbytek; a

ty, matka, mogłabyś też każdej przyjemności tak na ruble zaraz nie obliczać...

Tych rubli nie brak nam przecież.

Pochylił się nad kwiatem, a czerwone, spocone jego rysy najczystszy wyrażały

zachwyt.

— Co za zapach! Jak Boga kocham, jeszcze nigdy podobnego nie spotkałem!...

Dora! Gdzie Dora? Musi przecie różę zobaczyć!

— Na werendzie zatrzepotało coś, zaszeleściało jedwabiami, stukną fotel na

biegunach, odsunięty ruchem gwałtownym i, pod ponsową parasolką, po drodze

roztwieraną, sfrunęło na kłęb istne zjawisko.

Zjawiskiem przynajmniej wydawała się panna Dora Korska swoim własnym rodzicom.

Zapomniawszy bowiem, o owej, na palącym piasku wyhodowanej róży, oboje tylko na

nią oczy zwrócili.

Cała w jasnych muślinach i koronkach była ona, od czubka pantofelka, aż do

niedbale na pozór, lecz sztucznie spiętrzonych ciemnych włosów, istnym wyrazem

mody, zbytku i szyku. Parasolka czerwona rzucała przytem gorące błyski na różowe

a puszyste, jak u brzoskwini lica, na nosek lekko zadarty,

karminowe wargi wydatne i oczy piwne, śmiejące się młodością i weselem.

— Róża? "Maréchal Niel"! No, na tej Saharze, to osobliwość.

Niechżeż ją

przynajmniej przypnę do stanika. — I wyciągnęła rękę po ów kwiat podziwiany.

Ruch ten zbudził Korskiego z zachwyty, w jaki go wprowadził widok strojnej córki.

— Dora, i ty byś miała sumienie zerwać? Spojrzała mu bystro w oczy i rozśmiała

ię głośno.

— No dobrze, kompromis... Ja nie dotknę Jej Królewskiej Mości róży, która przez

pomyłkę losu na piaskach tych wyrosła. Ale, jeżeli ja umiem uszanować upodobania

papy, proszę nawzajem moim gwałtu nie zadawać.

W głosie jej brzmiała słodka prośba, a śliczna główka pochyliła się tak, jak

gdyby ją chciała do ramienia ojca przytulić.

Pani Berta z Müllerów Korska uchwyciła córkę za ramię.

— Ostrożnie bo się pobrudzisz o ojca marynarke. Jak się ma na sobie prawdziwe

valencienneis'y, to trzeba przynajmniej na nie uważać-przestrzegała z wyrzutem.

Wilhelm Korski spojrział ze skruchą po swem płóciennem ubraniu zapyłnem.

— Prawda — przyznał — cały jestem kurzem pokryty. Ale wiesz co, Dora — dodał

z determinacyi, otwierając ramiona — chodź! O własnego ojca nikt się jeszcze nie

pobrudził. Zresztą niechby лихо porwało valenriennes'y, jeżeliby dla nich nie

mógł pocałować rodzzonego mego dziecka, gdy mam do tego ochotę. Mówił żartobliwie, lecz oczy mu zapalały. Uwaga żony dotknęła go widocznie.

Panna Dora wiedziała już, że sprawa z góry wygrana. Pomimo tego, z całą dobrą

wołą rozpieszczonego kociątka, dała się przygarnąć ojcowskim ramionom, opierając

aksamitną swą twarzyczkę o prosty, płócienny kitel Korskiego.

Pani Berta cofnęła się o krok w tył, z miną oschłą, mówiącą najwyraźniej:

— A marnujecie, marnujecie... Już mi się sprzykrzyło przyprowadzać was do upamiętania...

Stary Korski tymczasem zatopił usta w puszystych włosach córki.

— Uu! Jak twoje loczki pachną, aż dusi!

— Zawsze nie tak, jak róża. Cudna róża — chwaliła figlarnie. — Ale teraz, papo,

proszę na werendę, na sprawę, bo tu mnie słońce spali żywcem.

I pofrunęła naprzód uśmiechając się do obojga rodziców, pewna, iż
jak sateleci
podążą niewolniczo za nią, promiennym szlakiem,

stwarzanym przez czar młodości i dziewczęcego uroku.

— Cóż, Mutter, — mówił Korski, patrząc z rorzewnieniem za córką,
— udała nam

się szelmutka, co? No — dodał, klepiąc poufale kościste ramię żony
— co, prawda,

Berta, to dużo w tem twojej zasługi.

Na werendzie tymczasem, terra-cotą wyłożonej, lecz umeblowanej z
prostotą, panna

Dora zabierała się do dalszej kampanji. W tym celu, do swego fotelu
na biegunach

przysunęła krzesło ogrodowe dla ojca, a ująwszy go tą grzecznością,
przystąpiła

prosto do rzeczy.

— Mój papo — mówiła, — kto to przyrzekł mi tyle razy, że się
oduczy od tego

wołania Mutter, Mutter!

Dobroduszne rysy mężczyzny zasepiły się. Pan Wilhelm zmieszał się
jak żak,

złapany na gorącym uczynku.

— Masz rację — przyznał, — ale widzisz, przyzwyczajenie, to druga
natura.

Jeszcze ojciec mój tak zawsze na matkę wołał.

— Wiem — przerwała porywczo, — ale dziadek chodził w trepkach
drewnianych, nie

umiał po polsku, razem z psem, sam wózek ciągnął. Może więc i my
wrócimy do tego

stadyum.

— Cicho, bo bez niego nie nosiłabyś dziś koronek, — napominał
łagodnie pan

Wilhelm.

Kapitulując zaś natychmiast, wobec roziskrzonych oczów jedynaczki, dodał

pojednawczo:

— Zresztą masz rację. Gdy się jest polakiem, trzeba się wyzbyć starych nałogów.

Przyrzekam uważać już na siebie i zamiast po niemiecku, będę wołał po polsku: Matka!

Bieguny fotelu gniewnie stuknęły o podłogę. Panna Dora spróbowała jednak

zapanować nad sobą — Mój ojciec — mówiła z prośbą, — trzeba raz zrozumieć, czym

się jest i do czego się dąży. Takie gminne nazwanie, jak: matka. —

Tego było za wiele staremu fabrykantowi. Burakowy z oburzenia, zerwał się na

równe nogi.

— Tytuł matki, to najwyższa godność dla kobiety. I ty nią kiedyś będziesz!

— Bardzo być może, ale zaręczam z góry, że mój mąż nie będzie na mnie wołał:

matko. Zostawi to szewcom i stangretom, ludowi prostemu wreszcie.

Powtarzam:

trzeba wiedzieć, czym się jest i do czego się dąży. Co wolno

koloniście Korzowi,

tego nie ma prawa czynić milionowy baron Korski.

— Nie jestem baronem.

— Ale nim będziesz, ojciec; nie ty, to twój syn. Należy ci się tytuł, z prawa

zasługi, za pracę, za rozum, którym się wynieść nad innych umiałeś.

Wiesz, mój

ojciec, że cię kocham

i podziwiam, dlaczegóż więc nie dowierzasz mojej znajomości form towarzyskich i

nie chesz mi w drobiazgach ustąpić?

Ostatnie słowa znów słodkim, proszącym mówiła głosem. Nie wahała się nawet ująć spoconej, brudnej dłoni ojca i do ust jej podnieść. Wilhelm Korski rękę szybko usunął, lecz rozbrojony tkliwością, zupełną, przyznał jej słusność.

— Masz rację — mówił. — Wprawdzie "czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci", ale nie jest się przecie skorupą, lecz człowiekiem; można zatem stare przyzwyczajenie opanować. Widzisz, tu na wsi, jesteśmy sami, więc używam większej swobody, w mieście będę uważać na siebie. Nie na to daję wam duże fortuny, abyście się za rubaszość ojca wstydzili. Pełna, czerwona twarz jego, nacechowana dobrocią, zmieniła się nie do poznania; biła z niej powaga i silna wola, było poczucie własnej wartości i mocy. Dziewczę patrzyło na niego roziskrzonym wzrokiem. Ojciec i córka mieli jeden wspólny rys charakteru: on — na pozór prostak, ona lalka, strojna młodością i zbytkiem, kryli na dnie duszy nieugiętą wolę, obok ambicyi wyniesienia się i poczucia dumy.

Na progu, wiodącym do wnętrza willi, ukazała się w tej chwili surowa i uroczysta pani Berta Korska. Popielata, sztywna jej suknia, przysłonięta była czarnym fartuszkim; w rękę trzymała koszyk, w którym piętrzył się stos ciemnych pończoch.

— Wilhelm — mówiła — nie wychodź na ten upał; zostań trochę z nami. Ja też

siadam tutaj cerować twoje skarpetki. Cały koszyk podartych
wybrałam.

Bieguny fotelu stuknęły znów gniewnie o terracottę. Dora wstrząsnęła
się całą.

Ojciec zrozumiał jej uczucia.

— Berta — przemówił łagodnie, — po co ty się męczysz takimi
rzeczami? Mogłabyś

przecie bardziej zniszczone oddać ubogim, a mniejszą naprawkę
potrafi i

pokojówka zrobić.

Wyraz oburzenia pokrył ostre rysy pani Korskiej. Głowa jej,
uwieńczona twardo

splicionymi warkoczami, o brudnożółtej barwie, zakołysała się w
energicznym

zaprzeczeniu.

— Dopóki ja żyję, nic się u mnie marnować nie będzie, —
zawyrokowała stanowczo.

— Nie wzrosłam wśród pańskich fanaberyj. Wszystko, co kupujemy,
jest drogie i w

dobrych gatunkach, ale za to długo trwać musi.

Stanowczy ton nie dopuszczał odpowiedzi. Pani Berta nie zwykła
słów marnować;

gdy

więc mówiła z tak głębokim przekonaniem, najlepiej było nie
przeczyć jej wcale.

Na werendzie przykra zapanowała cisza.

— Berta, — zaczął po chwili Korski, z wyraźnym zakłopotaniem.

— Po polsku mówi się: Berto, — poprawiła z cicha córka.

Machnął niechętnie ręką i zamilkł. Ta drobna, lecz trywialnie i z
niemiecka

brzmiąca niedokładność gramatyczna, była także jednym z
przyzwyczajień młodości,

którego nie mógł się pozbyć. Sapał więc tylko, myśląc, że przecież
jemu nikt nie

dał takiego wychowania, o jakie on starał się dla swoich dzieci.

Otoczone

najtroskliwszą pieczołowitością i dostatkami, rosły na książątka, gdy on, w ich

wieku, srogą biedę nieraz cierpiał. I cóż tu się dziwić, że między dwoma

generacjami wytwarzał się niekiedy taki odskok, jak niegdyś między nim a jego

ojcem, który z trudnością oduczał się na starość od trepek

drewnianych i fajki

porcelanowej.

Pocziwe oblicze Korskiego zasepiło się; pani Berta, sztywna i uroczysta,

cerowała skarpetkę, z miną spartanki, spełniającej powinność

obywatelską. Dora,

strojna, wyciągnięta na lekko kołyszącym się fotelu, patrzyła na

rodziców z pod

przymrużonych powiek,

z drwiącym nieco uśmiechem. Miny ich rzetelnie bawiły ją, w tej chwili.

Cisza gnębiąca stawała się coraz uciążliwszą.

W bramie wjazdowej ukazał się w tej chwili służący, jak pan jego, ubrany w luźny

kitel płócienny. Szedł ciężko, niezręcznie, a brnąc w piasku, okrążał kłęb

główny, by ku werendzie się skierować.

Usta panny Dory wykrzywił ironiczny uśmieszek.

— Śliczny okaz lokaja; można papie powinszować szyku, z jakim umiał służbę do

tego otoczenia dopasować.

Korski drgnął, jak na sprężynach.

— Bój się Boga. Doro, czego ty chcesz od Józefa? Tyle lat sprzątał porządnie

magazyn, nogi od posyłek stracił.. Gdzie ja bym lepszego znalazł?

Lokaja...

lokaja... wiesz, co — tu spojrział z komicznym zakłopotaniem po swem ubraniu —
naniaby lokaj żenował, jabym się Przy nim wstydził mego płóciennego kitla.
To dobre dla hrabiów — wtrąciła "matka" sucho, podnosząc głowę od cerowania.
— Co? Kitel, czy lokaje?
Drwiąca uwaga Dory pozostała bez odpowiedzi; na stopniach bowiem werendy stanął
w Józef od "sprzątania magazynu i roznoszę-

nia paczek", a podając list swemu chlebobdawcy, objaśnił lakonicznie:

— Od panicza.

Korski rozpromienił się jak piwonia.

— Poczciwy chłopak, że pisze; pewno dobił targu o kupno

Borowa. Żona i córka,

wpatrzone w niego ciekawie, spostrzegły, iż w miarę czytania, ogorzała twarz

starego fabrykanta stopniowej ulega zmianie. Jakaś łuna wewnątrz rozjaśniała

coraz silniej jego rysy, zapalając w poczciwych oczach błyski radości i

rozzewnienia.

— Berta! — huknął wreszcie — Berta, Henryk się żenił...

— Cooo?

— Żeni się, — powtórzył tryumfalnie.

I, z blaskiem wilgotnym w oczach, z jakimś wewnętrznym skupieniem i

rozpromienieniem, w którym się dusza cała ujawniała, dodał głosem wzruszonym:

— Mój syn, mój drogi chłopak żeni się... Dajże mu Boże szczęście wielkie!...

— Z kim? — zabrzmiały razem dwa okrzyki.

— Żeni się z hrabianką Bończa - Halińską, — objaśnił spokojniejszym już głosem.

Skarpetka wypadła z podniesionych sztywno rąk starszej kobiety.

Równocześnie fotel odskoczył ruchem gwałtownym od podłogi. Przy Korskim stała

już Dora, a wyciągając przed siebie ramiona, jak ptak skrzydła do lotu,

wybuchnęła radośnie:

— Nareszcie!... Nareszcie odetchnę wśród nich całą piersią!...

— Goitt!... Weh!... Hrabianka... Ona wszystko zmarnuje i roztrwoni,
— jęknęły

skarga przerażone usta pani Berty z Müllerów Korskiej.

ROZDZIAŁ IV.

Na krańcach Leszna, poza ulicami Żelazną i Żytnią, a więc w stronie, dążącej już

ku okopom, wśród licznych w okolicy tej zakładów przemysłowych i fabryk, wznosił

się na znacznej przestrzeni wysoki parkan, zakończony jednopiętrową, niedużą

kamienicą Z poza okolenia, obejmującego widocznie obszerny dziedzieniec,

sterczały w głębi nagie, czerwone mury gmachów fabrycznych; brama jednak wiodąca

do nich, jakby w przeciwstawieniu do tego ogromu, nosiła u góry lakoniczny

napis:

"Wilhelm Korski i Syn". Ani słowa nad to; żadnych szczegółów, żadnych objaśnień.

Dla świata przemysłowe-

go firma ta wystarczała snąć najzupełniej i sama wszystko mówiła.

Brama wreszcie

starannie zamknięta, czyniła zarówno zabudowania, jak dziedzieniec niedostępnymi

dla oka przechodniów.

Dom nieduży, piętrowy, kończący ów prostokąt, był jeszcze dyskretniejszy.

Zielone żaluzje, zapuszczone latem, szyby błyszczące jak lustro w innej porze

roku, oto wszystko, co zwracało uwagę sąsiadów. Okna bowiem i balkon wązki,

ubrany nasturcyą, przez zamięłowanie porządku zapewne, zawsze szczelnie były

zamknięte. U drzwi wchodowych tylko, otwierających się wprost na ulicę,

widniały, przy dwóch dzwoneczkach, tabliczki metalowe z napisem:

"Kantor" i

"Wilhelm Korski, mieszkanie".

Parter więc domu mieścił zarząd zakładów przemysłowych, pierwsze piętro —

prywatną siedzibę ich właściciela.

Posesyą ta, na Lesznie, miała dla rodziny Korskich podwójne

znaczenie: W oczach

starszej generacji była ona zcentralizowaniem ich władzy, fortuny, wyniesienia

się, nadziei na przyszłość, racji bytu i stanowiska w świecie zarazem.

W

przekonaniu młodszego pokolenia złożonego z Henryka i panny Dory, stanowiła

istne piekło dantejskie, czarną plamę, przysłaniającą dla panny Dory szczegół-

niej całe słońca życia, całą pogodę i jasność egzystencji, jakiej zepsuta a

bogata jedynaczka używałaby w innych warunkach.

Mieszkanie wśród zakładów garbarskich z przenikliwą, a wstrętną, ich wonią, obok

browaru, ziejącego również wyziewami słodowymi, a naprzeciwko fabryki cykoryi, z

której dym i spalenizna, o specjalnym przykrym zapachu, wciskały się przez najdelikatniejsze szczeliny, równało się ciężkiemu upokorzeniu dla młodych Korskich, było nieustającą torturą ich życia. O przeniesieniu się zaś w inną dzielnicę miasta starzy ani słyszeć chcieli. Ta "cuchnąca" dla panny Dory garbarnia, to był ich byt, ich znaczenie w świecie, drabina o potężnej podstawie, po której się na dzisiejsze wyżyny wdrapali. Tu się Wilhelm Korski urodził, w niskiej, drewnianej ruderze i tu wzniosłszy później dla siebie ów dom wygodny, na stanowisku, strzegąc fabryki i dobra swych dzieci "na własnych śmieciach", jak mówił energicznie, umrzeć pragnął.

— Wy, młodzi postąpicie później według własnego uznania. Co do mnie nigdy się stąd nie ruszę, — kończył zawsze, jak opoka na punkcie tym niezłomny.

Więc trzeba było cierpieć do czasu, znosząc żelazną dłonią utrzymywany porządek Pani Berty z Müllerów, która ze względu na

kurz, podnoszony przez wozy robocze, a niszczący meble, nawet okien w dzień otwierać nie pozwalała.

Bo i po co mianoby je otwierać poza godzinami sprzątnania? Leszno, w żadnej swej części, zajmujące nie jest; tu zaś odrazę wprost w pannie Dorze budziło. Byłaby też chętnie okna, z ich "ohydny widokiem" na kadzie, stosy skór lub nędzną ulicę, przysłoniła miękką materią i storami koronkowemi, odcinając się w ten

sposób od otaczającego ją świata, gdyby matka mogła się pogodzić z tak
nowomodnymi zbytkami. Pani Bercie, jednak wystarczały dobrze
wykrochmalone, a
własną ręką wyprasowane firanki, które, rozdzielone na dwie połowy,
w sztywnych
fałdach, jak spódnice, ku ziemi spływały.
W swoich pokojach mogła Dora panować według własnego
upodobania, tu jednak, w
urzędowym salonie państwa Korskich, smak nowomodny, lekkość i
fantazja, były
wykluczone i wyklęte, jako nieczyste podszepty szatana; meble zaś,
wielkie,
ciężkie, w brzydocie zaskrzepłe, stały ustawione, jak Bóg przykazał,
symetrycznie, niby w rynsztunku bojowym, przyczem szereg krzeseł,
Utrechem
bordeau krytych, a uszykowanych rzędem pod ścianą, zdawał się
zawsze, na wzór
warty honorowej, gotów do wymarszu. Rachityczna

flora, złożonna z oleandrów i fikusów, oraz cały szereg patarafek
szydełkowych i
śmiesznych bibułkowych kwiatów na lampach, miały nadawać wdzięk
i miękkość temu
wspaniałemu przybytkowi.
Dla starych Korskich wszakże musiał to być ideał zamożności i szyku;
wzbogacony
bowiem fabrykant, dojeżdżający tu z letniego mieszkania co rano, od
rogu już
ulicy żelaznej obejmował posesyę swoją, jej czerwone mury, parkan i
białą
kamieniczkę, miłośnem, pełnem zadowolenia wejrzeniem.
Regularnego, jak chronometr, pryncypała czekał punkt o -ej zrana, u
drzwi
zakładu, szwajcar fabryczny.

— Jak się masz? — przemówił dobrodusznie Korski, wysiadając ze staroświeckiego

powozu. — Co słyhać w kantorze?

— Nic nowego, proszę pana.

— Czy wszyscy na swoich miejscach?

— Wszyscy, proszę pana.

— A w domu?

— Młodszy pan przyjechał dziś w nocy, ale śpi jeszcze.

Czerwona twarz Korskiego rozpromieniła się cała.

— To dobrze. Gdy wstanie proś do kantoru.

Uwiadomiony od dwóch dni o zaręczynach syna, oczekiwał go właśnie niecierpliwie.

Wstęp do kantoru stanowił pokój duży, wypełniony próbkami skór rozmaitych i

stanowiący zarazem skład najdroższych a najdelikatniejszych wyrobów garbarni i

farbierni. Korski, szcycący się, iż zakłady jego nie ustępują, w tych rzeczach

renomowanem fabrykom zagranicznym, przystanął i, rozszerzywszy nozdrza, z

lubością wciągał w piersi przenikliwy a wstrętny odor juchtu świeżego.

Ostra woń skór, budząca w innych niepokonaną odrazę, była mu miłsza nad zapach

najwykwintniejszych perfum.

Trzech urzędników, pracujących w następnym pokoju powstało na widok pryncypała.

Korski powitał ich uprzejmie i przeszedł do swego gabinetu.

Na biurku leżała przygotowana poczta poranna. Przyniosła ona tylko kilka mniej

ważnych listów, które stary przemysłowiec szybko przerzucił i na bok odsunął.

Myśli jego inna zajmowała sprawa.

Jeżeli miał w życiu dwie namiętności: fabrykę i miłość dla dzieci, to przyszła

chwila, w której był gotów pierwsze z tych uczuć poświęcić na ołtarzu drugiego.

Ubrany też nawet uroczyście, pomimo wczesnej godziny, w czarnym tużurku i sztyw-

nym czarnym krawacie, z powagą na obliczu i zadumą w niebieskich, dobrodusznym

oczach, czekał na syna.

Oczekiwanie było nie długie. Boczne drzwi rozwarły się z hałasem, na progu zaś

jasno ubrany, promieniejący, wesoły, stanął Henryk Korski.

Stary fabrykant powstał, szeroko otwierając ramiona.

Jakkolwiek zdumiony tem uroczystem przyjęciem, młody człowiek przybliżył się

jednak, witając serdecznie ojca.

— List odebrałem — przemówił pan Wilhelm namaszczonym głosem — i, dziecko

drogie, w tak ważnej chwili życia, błogosławię ci z całego serca.

Chochlik wesela zaigrał śmiechem, z trudnością wstrzymywanym, na ustach Henryka.

Ton ów wydał mu się tak komicznym, iż w błękitnych oczach snop iskier zapalał i

przygasł, poczuciem przyzwoitości powstrzymany

— Dziękuję. Rodzice nie gniewali się za to nagłe postanowienie?

— Nie. Co do mnie, zadowolony nawet jestem, że przyśpieszasz tak ważny krok w

życiu. Bałem się zawsze dla ciebie zbyt przedłużonych szaleństw młodości.

Mężczyzna mając dopiero własne ognisko domowe, własną żonę...

— No, cudza też czasem bywa nie do odrzucenia — wtrącił Henryk wesoło.

Korski udał, że nie słyszy tej lekkomyślnej uwagi.

— Mając własną żonę i dzieci — ciągnął — pojmuje dopiero naprawdę doniosłość swoich obowiązków i, spełniając je uczciwie, staje się rzeczywistą podporą kraju.

Henryk z coraz większą trudnością śmiech powstrzymywał. W takiej roli nie zwykł "starego" widywać.

— Dobrze zatem robię, że się żenię? — zapytał wesoło.

— Doskonale.

— A wiec, niech mnie ojciec uściska i po co te kazania! Nie znoszę patryarchalnego nastroju.

Ucałowali się serdecznie.

— Chciałem ci tylko powiedzied...

— No, no, mój ojczy, nie jesteś przecież kaznodzieją! Proszę zresztą, — dodał

serdecznie, choć" z udaną powagą — o względy szacunku, należnego współwłaścicielowi firmy "Wilhelm Korski i syn".

Rozśmieli się Obadwaj.

— Oto przyszła firmy tej władczyni — zakończył, wyjmując z pugilaresu i kładąc przed ojcem dużą fotografię gabinetową.

Korski pochwycił ją chciwie, podniósł do oczów i, odłożywszy napowrót na biurko,

zaczął rozpacznie szukać po kieszeniach.

— Henryś, nie widziałeś okularów? — pytał zaalterowany.

— I nastrój djabli wzięli — szepnął młody człowiek pod wąsem, a ubawiony

zakłopotaniem ojca, śmiał się już jawnie, bez cienia zresztą złośliwości, lecz z

poufałością, jaka widocznie między nim a ojcem istniała.

Okulary znalazły się tymczasem szczęśliwie.

— Ooo, piękna! Bardzo piękna!... — podziwiał pan Wilhelm. —

Znad, że wielka

pani w każdym calu... No, a jakżeż tam z posagiem?

— Korscy nie potrzebują chyba posagiem się reparować, — rzucił młody człowiek, z pewnym odcieniem dumy. — Zresztą, hrabianka Halińska ma tyle, że odemnie nigdy zależną nie będzie.

— To dobrze, bardzo dobrze, bo posiadając grosz własny, potrafi i twego nie marnować. Śliczna, prześliczna!.. Henryś, powiedz mi, czy to... czy to...

prawdziwe?

— Co?

— Niby... niby tytuł hrabiowski?

— Najautentyczniejszy, otrzymany przed dwustu z górą laty przez pradziada jej, woje-

wodę, od cesarza austriackiego, po odsiecz Wiednia.

Czerwone policzki fabrykanta pociemniały silniej jeszcze, a oczy dumą błysnęły.

— Henryk — zawołał z radosnym wybuchem, — jak myśmy w górę poszli!

— Psst... — syknął młody ostrożnie, wskazując wzrokiem na pokój sąsiedni, w którym pracowali podwładni ojca.

Stary Korski podniósł głowę do góry, z usprawiedliwioną a szlachetną dumą.

— Czy sądzisz, że mi to ubliża lub, że słowa podobne zmniejszą w ich oczach

moją powagę? Przeciwnie, ja się tem szczycę, że przechodząc twardą szkołę w

dzieciństwie, biegałem po tem samem podwórzu bosonóżnie, bo w trepkach

drewnianych na gołych nogach. Jeżeli zakłady nasze dają dziś utrzymanie kilkuset

rodzinom, to fakt ten przejmuję mnie dumą, nie każe jednak zapominać o

przeszłości.

— Zresztą — dodał Korski, z właściwym mu zdrowym rozsądkiem byłbym śmiesznym, ukrywając rzeczy podobne. Wszak oni, — tu wskazał na pokój sąsiedni i tak dobrze o tem wiedzą. Przejdźmy jednak do rzeczy, żywotniejszych dziś dla mnie... Wiem, że Borowa nie kupiłeś; zeniąc się jednak w sferach arystokratycznych i ziemiańskich, zechcesz za-

pewne, dla postawienia się na równej z niemi stopie, nabyć majątek i na wsi zamieszkać? Henryk zbyt dobrze znał ojca, aby w głosie jego, spokojnym na pozór, nie odczuć niepokoju i obawy.

— Jeżeli ty, ojcze, masz wysoce rozwiniętą dumę i ambycję, niechże i mnie wolno będzie jej się nie wyrzekać. Na podwalinach pomyślności naszej, przez ciebie założonych, powinny młodsze ręce budować dziś dalej. Jakkolwiek bogaci, jesteśmy w kraju obcy, nieznani i bez moralnego znaczenia. Moją więc rzeczą będzie nie tylko pomnażać fortunę, lecz dźwignąć Korskich na poziom rodów wpływowych, przodujących ogółowi.

Czerwone policzki starego fabrykanta pałały jeszcze silniej; zdawał się słuchać syna, jak objawienia.

— Tam, na wsi kupiwszy nawet rozległy majątek, będę uważany wśród starych rodów ziemiańskich za przybysza, za homo novus, a brak przeszłości szlacheckiej i antenatów, każe mi zawsze podrzędną odgrywać rolę. Tu pozostawszy na gruncie, z

którego wyrosłem, moją pracą, umiejętnym użyciem fortuny i inicjatywą, stanąć na czele przemysłu i finansów, stać się jednym z tych, przed którymi wszystkie chylą się głowy.

— Moja krew, moja krew, — szeptał stary Korski.
— Do pioruna, masz rację! — huknął wreszcie, porwany wymową syna, który trafiał dowodzeniami swemi w najszlubszą stronę jego ducha.
— W planach tych, — ciągnął Henryk — narzeczona moja, której o nich z góry mówiłem, najdzielniejszą będzie mi pomocą. Do wszelkiej działalności na szerszą skalę, do wszelkich wpływów i godności potrzebne są przede wszystkim stosunki i sprzymierzeńcy. Otóż, jeżeli nasza liczba majątkowa daje mi wstęp do niektórych wybitniejszych domów, to uroda i nazwisko przyszłej mej żony, oraz stosunki jej rodzinne, otworzą przed nami podwoje najwybitniejszych towarzystw stolicy. Wobec tego dzieciństwem byłoby opuszczać pole działania, w połowie już zdobyte.
— A zatem, zostajesz z nami i tutaj przywozisz swą żonę?
— Stanowczo.
— Czy pamiętasz jednak, że współudział twój w firmie był dotąd synekurą, której ciężar na mnie spadał wyłącznie?
— Wiem o tem. Z chwilą też ożenienia się pragnę zaproponować ojcu podział pracy.

— Zgoda, — mówił Korski, śledząc coś niespokojnym wzrokiem przez okno, na dziedziniec wychodzące.

— Zgoda; zamieszkacie tu, z nami.

Zanim syn jednak zdążył dać odpowiedź, z oczów Korskiego iskry trysnęły, na ustach zaś wybiegło z pasya:

— A szelma, kundel, psubrat jeden!...

I rzuciwszy się do okna, otworzył je silnem szarpnięciem, a wychylony, groził pięścią, wołając głosem tubalnym:

— Ty łajdaku, złodzieju jakiś, będziesz ty mi łamał skóry i marnował towar, rzucając go na platformę, jak stare śmiecie? Ja cię tu nauczę rozumu, ty kanaljo podła, ty!..

Na podwórzu wszczął się wrzask i wymyślania. Głosem pana wywołany, przybiegł

widocznie jakiś dozorca i ład na swój sposób zaprowadzał.

Korski, śledząc tę scenę pilnie, sapał jeszcze czas pewien, poczem ułagodzony,

powrócił do przerwanej rozmowy, jak gdyby nic nigdy nie zaszło.

— Zamieszkacie więc tu, z nami? — powtórzył.

Wyraziste rysy Henryka, na których niesmak i niechęć odbiły się przed chwilą,

przybrały teraz maskę stanowczości i chłodu. — Przenigdy!...

— Dlaczego?...

— Niech ojcu wybuch jego i cała ta scena służy za odpowiedź. Stary fabrykant zawstydział się na chwilę.

— Cóż chcesz, człowieka musi zatrząść szewcka pasya, gdy widzi, jak ci nicponie dobro jego marnują. Ty wiesz zresztą, że ostrej i silnej trzeba ręki, aby tę hołotę w karbach utrzymać.

— Proponuję też podział pracy: ojciec zostanie przy czynnym prowadzeniu fabryki, ja obejmę zewnętrzną stronę handlową interesów, poddając ja zawsze kontroli ojca. Sądzę, że i wykształcenie i specjalna praktyka dostatecznie przygotowały mnie do tego.

— Zgoda, — przystał Korski, po krótkiej chwili namysłu. — Ale zamieszkacie tutaj?

— Nie, ojcze. Po co rzeczy obwijac w bawełnę. Fabryka i hrabianka Bończa-

Halińska, to dwa krańce, dwa światy odrębne, które nigdy nie zdołałyby się zrozumieć. Kwiat cieplarniany nie wyrasta na dziedzińcu cuchnącej garbarni...

Zresztą, otoczenie to i mnie zatrułoby życie... I my nawet, ojcze, jesteśmy dziećmi, nie tylko innej generacji, lecz nawet innej epoki, i nas różni cała skala poglądów i upodobań... Pracowałeś ciężko dla nas, dla naszego szczęścia, pozwólże nam szczęścia tego używać na swój sposób. Do

tychczasowe otoczenie było rai zawsze kulą u nogi, stanowiło dla mnie i dla Dory męczarnię nieraz. Biorąc do gniazda naszego rajskiego ptaka, pragnąłbym Eden stworzyć mu na ziemi. Sądzę, iż stać Korskich na to, by perłę taką, jak hrabianka Halińska, przedstawić światu w godnej jej oprawie... Mówił zwolna, podniecając rozmyślnie dumę i próżność starego fabrykanta.

— A że — ciągnął, — z racyi ożenienia właśnie, mam zamiar wejść w towarzyskie koła stolicy, proszę cię więc, ojcze, o wyznaczenie mi stosownego funduszu na

urządzenie domu i odpowiednie reprezentowanie, zarówno naszych interesów, jak

połączonych rodzin: hrabiów Bończa-Halińskich i Korskich.

Zdrowy, chłopski rozsądek zwyciężył raz jeszcze w Korskim

próżność, tę jedyną

słabostkę jego życia.

— Henryk — zapytał, patrząc badawczo w oczy jedynaka —

powiedz mi uczciwie, czy

ty ją kochasz? Łuna rumieńca rozjaśniła rysy młodego człowieka.

— Tak bardzo, ojcze, że w szczęście własne uwierzyć jeszcze nie mogę.

— Dzięki Bogu. W takim razie żądania twoje są słuszne, a co do sumy i liczby to

poźniej wspólnie określimy. Dla was zbiera-

łem, choć więc umiem poprzestać na małym, rozumiem, do czego ty masz prawo.

Podali sobie ręce, w długim, serdecznym uścisku, jak dwaj wspólnicy, jak ludzie,

którzy się nawzajem uzupełniają, dążąc do tego samego celu.

Chwila ta, w całej swej prostocie i powadze, była jedną z

najszczęśliwszych w

życiu Korskiego. On, pierwszy założyciel i dynasta rodu, który

krwawą pracą

młodości i mozolnymi zabiegami całego życia późniejszego dźwigał ród ten,

szczebel po szczeblu, na wyżyny społeczne, dożył dnia, spełniającego najśmielsze

jego nadzieje. Ukochany jedynak, dla którego lękał się hulaszce i próżniaczej

młodości, ustalał przyszłość swą, żeniąc się z wybraną przez siebie kobietą, a

zarazem nietylko przyrzekał na przyszłość czynną pracę dla firmy, lecz dźwigał

ów ród Korskich na wyżyny, o jakich stary fabrykant nie marzył nawet.

ROZDZIAŁ V.

Dopiąwszy swego, bo uzyskawszy pozwolenie ojca; nietylko na ożenie, lecz na wykwinne urządzenie domu, odpowiadające stanowisku finansowemu, jakie rodzina jego mająca prawo, wracał Henryk Korski, w kilka dni później, z radosnem sercem do Borowa. Usłudni pomocnicy wynaleźli mu już piękne, w Alejach Ujazdowskich, mieszkanie, poczynione zaś zakupy i zamówieni rzemieślnicy artyści mieli je na czas oznaczony w wytworny zamienić apartament. Zresztą Henryk, który dwa miesiące, dzielące go od ślubu, zamierzał spędzić między Warszawą a Borowem, obiecywał sobie, wśród ciągłych powrotów do stolicy, sam przygotowaniami temi osobiście zarządzać i kierować. Nieobecność matki, z którą na wsi widywał się tylko, uwalniała go zarówno od groszowej oszczędności, jak od uwag i przedpotowego, lub, jak zwykli mówić z Dorą, antidyluwalnego smaku pani Bertę z Millerów. Nie dać go sobie narzucić, nie wprowadzić nic z małomieszcząńskich, parafiańskich urzędzeń dotychczasowego domu, do nowej siedziby, było jednym z najsilniejszych postanowień Henryka. Ta ciasna za-

skrzepła atmosfera, ta plątanina interesów, brutalne słowa i patrzenie na świat

przez pryzmat własnego prostaczego indywidualizmu, przez wąską, szczelinę
pospolitych zapatrywań i prywatnych interesów, dosyć mu zatruły
pierwsze zaranie
młodości i życia. Szersze tchnienie, zaczerpnięte podczas studyów za
granicą,
zohydziły mu dziedziniec garbarniany i oszczędnościowy deptak
domowego ogniska
rodziców. Ztąd też, po powrocie kawalerskiej swej swobodzie tem
większe
zaznaczył granice.
Otoczenie Borowa oraz panujące tarcza zasady szlachetniejszych uczuć
obywatelskich, altruistycznych zapatrywań i poważnych poglądów
społecznych,
odegrały znów swoją rolę, wyciskając na wrażliwej duszy Henryka
nowe a dodatnie
piętno. Przekonał się dowodnie, że ludzi, dziesięć razy od niego
uboższych, nie
pochłania jednak tak całkowicie troska o własny byt i fortunę, że
miano tu czas
i na kulturę i na wykwić życia, na wszystko wreszcie, co je duchowo
i
estetycznie, czy fizycznie, podnioślejszem lub miłszem zrobić może.
Czar, rzucony na młodzieńczą jego wyobraźnię, na gorącą
uczuciowość, przez
arystokratyczny wdzięk i rasową piękność narzeczonej, jeszcze silniej
dokonały w
wyobrażeniach

jego przewrotu. Dziś, zakładając własny dom i własne ognisko,
pragnął uczynić je
wręcz od dawnego odrębnem, nie chciał, aby mu żaden szczegół
przypominał owe
szczelnie zamknięte, niesympatyczne środowisko życia na Lesznie.
Duch ludzki,

poza myślą abstrakcyjną, musi się zawsze w formie zewnętrznej ujawnić. Jeżeli więc ognisko domowe ma być ducha tego piastunem, siedliskiem pięknych a podniosłych uczuć i myśli, źródłem wrażeń szlachetnych, musi przykuwać do siebie wdziękiem formy, której smak właścicieli nadaje właściwe sobie, osobiste piętno. Nie kwestya to bogactwa, lecz tylko staranności, oraz indywidualnych potrzeb serca i umysłu. Roztrząsając zasadę powyższą, Henryk nie chciał, aby perła, podobna do Iry, znalazła się "na rzemieniu garbarni", to jest w ciasnym i nieestetycznym otoczeniu, jakie stworzyli sobie, stosownie do własnych upodobań, jego rodzice. Jeżeli nie ze złota, pragnął dla klejnotu swego stworzyć oprawę z kwiatów przynajmniej. I dumny wyemancypowaniem się z pod wpływów, w jakich wzrastał, jadąc, uśmiechał się do wizji własnych, do blasków tęczowych i świetlanych marzeń o przyszłości. Nie zmniejszało to bynajmniej przywiązania jego do domu rodziców, do gruntu, na którym wzrósł

przecież. Przeciwnie, w uczuciach swych złych czy dobrych, zawsze szczery, miał dla niego cześć nawet pewną, uważając siebie jednak za ogniwo, które mogło dopiero szarą, tę rzeczywistość ze snami życia połączyć. Wykwintny powóz niósł go tymczasem ze stacy kolejowej do pałacu borowskiego.

Henryk Korski, w pół leżąc na miękkich poduszkach, z wonnym papierosem w ustach,
snuł złotą przędzę marzeń, poprawiając od czasu do czasu na przedniej ławeczce
pudło, w którym Warszawa słała najpiękniejsze swe kwiaty do stóp Iry Halińskiej.
W różowym saloniku Iry kwiatów tych zebrała się istna już powódź. Stoliki i
stoliczki, wazony i konsole, wszystko przepełnione niemi było; poranny zaś
pociąg przywoził codzien z Warszawy nową kwieciami daninę. Panieński też przybytek
Iry zmienił w przystroju tym dotychczasową fizjognomję, nabierając jakiejś
świętecznej, festynowej cechy. Wizerunek tylko Sykstyny rafaelskiej stał
zawsze na bióreczku, patrząc na żniwo kwieciste swemi pełnymi słodczy,
dziewiczemi oczyma.
Uwieńczeniem jednak owych kwiatów i najpyszniejszą wśród nich królową była w tej
chwili Ira sama.
W powłóczystej sukni białej, z koroną włosów ciemnych i matowo blademi licami,

zdawała się podobną prerafalistycznymi linjami do kielicha lilii śnieżnej.
Wielkie tylko, czarne oczy, paliły się rozmarzeniem i zadumą, nadając całemu
obliczu wyraz życiem tętniącej poezji.
Stała w pośrodku saloniku, przy koszu róż płomiennych i białych tuberoz,
trzymając w paluszkach, przyozdobionych wielkim brylantem Korskiego, list jego
wczorajszy. Brylant błyszczał jak łza i palił się w słońcu wszystkimi

promieniami tęczy; w ciemnych oczach dziewczęcia
współzawodniczyły z nim dwie
łezki, świecąc jak najczystsze brylanty.
List był ognisty, pełen gorącego uczucia. Każde jego słowo tchnęło
przytem czcią
i uwielbieniem, nacechowane było myślą głęboką, lub śmiałym
polotem młodzieńczej
fantazyi. Henryk, którego serce i wyobraźnia na równi zostały
oczarowane, umiał
wymownym zawsze wyrazom miłości nadać ton szczerości i prawdy.
Piękne dziewczę, aby ukryć wzruszenie, pochyliło się nad kwiatami;
woń ich
wszakże rozkoszna a zdradziecką, upajała ją więcej jeszcze. Podniosła
więc
kształtną główkę i, powiódłszy rozmarzonym wzrokiem po bukietach
i wiązkach,
po tej całej królewskiej daninie uczucia, wyszeptała wzruszona:

— Na próżno mi wujenka powtarza sceptyczne słowa Ben-Akiby:
"Wszystko to już
było"... Wiem, że miłość istniała od początku świata, że nie dla mnie
dopiero
Bóg ją stworzył; fakt ów wszakże nie zmniejsza jej uroku. To tak
słodko być
kochaną!...
Ciemne jej oczy pobiegły ku Dziewicy rafaellovskiej, a później w dal
nieokreśloną, jak gdyby w głąb duszy własnej.
— Najwyższa to nagroda za moje sieroctwo — szepnęła jeszcze. —
Za dzieciństwo
chłodne i samotne.
Od smutnego obrazu przeszłości, łzami przyćmione źrenice pobiegły
do ostatnich
słów pisma:
"Moja Jasna i Promienna — modlił się do bóstwa swego Korski, —
jutro na

paluszkach, które list ten trzymają, położę spragnione usta. Jutro
będzie mi
słodką zapowiedzią owego dnia wymarzonego, w którym pozyska Cię
wreszcie na
zawsze i uwiezie z sobą, w przyszłość błogosławioną, przyszłość
naszą, wspólną,
Twój do śmierci,
Henryk".
Serce jej uderzyło żywiej.
— Przyszłość błogosławioną, przyszłość naszą wspólną —
powtórzyła wzruszona. —
Gdybym go nawet nie kochała, musiałby mnie podbić i przykuć tą
mocą uczucia.
Mogę się

za nie odwdziaczyć jedynie, poświęcając wszystko w życiu i życie
całe, dla jego
szczęścia.
— Zresztą — myślała po chwili, — kocham na pewno, kochana
bardzo nawet...
Nieoswojenie się tylko z położeniem i ta nagła zmiana w życiu trwożą
mię, ciągle
nasuwając wątpliwości...
W tem oczy jej padły na dużą fotografię i, jakby złapana na gorącym
uczynku
zakazanych dociekań, zaróżowiła się cała.
— Przysięgam — wyszeptała, — że niosąc w przyszłość całą dobrą
wolę, do jakiej
serce ludzkie jest zdolne, wszystko, nawet siebie dla szczęścia twego
poświęcić
potrafię.
— Czy wolno? — zabrzmiał od progu głos młodzińczy.
Drgnęła cała; zanim jednak zdążyła dać odpowiedź, Henryk Korski
stał już obok, a
wiążąc w swych dłoniach obie rączki "królowny", patrzył
rozkochanemi oczyma, w

delikatne, pobladłe jej rysy.

— Mój list — wyrzekł zdumiony, — mój list wczorajszy? Czyżby dziś doszedł panią dopiero?

Wstrząsnęła przecząco główką.

— Odebrałam go wczoraj jeszcze.

— I czyta pani dziś, po raz wtóry?

— Po raz trzeci, — szepnęła z zawstydzeniem.

On, ręce, więzione dotąd, zaczął z kolei gorącemi obsypywać pocałunkami.

— Ty, moja... moja... moja!... — mówił z rozrzewnieniem. — Moja idealna i

wymarzona, moja święta, czyż wart jestem, abyś pismo to czytała kilkakrotnie?

Więc chłód śnieżnej królowny zaczyna topnieć pod żarem mego uczucia? Więc

kochasz choć trochę twego Henryka?

Zorza rumieńca na bladych zwykle licach i głębokie, rozmarzone spojrzenie źrenic

promiennych, jedyną były odpowiedzią.

On, tą niemą, a wymowną spowiedzią trochę upojony, chylił ku niej, w

nieukrywanym zachwycie, dorodne, głębokiem uczuciem rozjaśnione rysy.

— Kochasz... trochę... troszeczkę... — szeptał gorąco, — a więc nie bądź tak

zimną i niedostępną, jak zwykle... Niech mój przezysty lodowiec roztaje od łuny

budzącego się uczucia... Po tylu dniach tęsknoty za twem spojrzeniem świetlanem,

za słowem, za obecnością twą samą, nie żałuj mi ust, na powitanie...

To kielich

rozkoszy, o którym, spragniony, śniłem dni i noc...

Opasał kibić jej smukłą i przyciągnął ku sobie. Ira z wdziękiem nieporównanym, z

pro-

stotą czystej i niewinnej istoty, podała mu świeże swe lica.
Gorący jednak pocałunek Korskiego wstrząsnął nią tak silnie, iż
zawstydzona,

drżąca, ruchem szybkim a elastycznym, z ramion się jego uwolniła.

— Jaśnie pani prosi jaśnie pana i panienkę na dół do salonu —
zameldował lokaj,

stawiając owe pudło, starannie w drodze przez Henryka strzeżone.

Poseł znikł, jak automat od progu, Korski zaś wyjąwszy olbrzymią
wiązaną

najrzadszych storczyków, przyklęknął wraz z niemi u stóp panny
Halińskiej,

która, przy wejściu służącego, miejsce na kanapce zajęła.

— Orchidee, kwiaty kaprysu i fantazyi, to zły tłumacz uczuć mych,
Iro.

— Najlepszym ich tłumaczem — przerwała, — jest własne me serce.
Spojrzeli sobie w oczy długo i głęboko, aż Ira, zmieszana, źrenice swe
ciemnymi

prysłoniła rzęsami; wtedy Korski, złożonywszy kwiaty na jej kolanach,
zwolna, z

niemą pieśczołą i oddaniem, głowę swą również ku niemu pochylił.

Dotknięcie czoła tego przez miękką tkaninę sukni, silniej jeszcze
zelektryzowało

ją i zmieszało. W onieśmionem przed chwilą dziewczęciu zbudziła
się instynktem

kobieta,

poczuciami... królowa. Starcie to trwało mgnienie oka za ledwie.

Ira Halińska, ująwszy kwiaty, powstała z godnością i nieporównanym
wdziękiem,

który nie pozwalał opierać się jej woli, a wyciągając rękę do
narzeczonego,

wyrzekła słodko:

— Dziękuję za nowy dowód dobroci i pamięci. Storczyki, ów symbol kaprysu i buntu, których pan nigdy w duszy mej nie odnajdzie, są tak piękne, iż chodźmy przede wszystkim pokazać je wujostwu. Zapał i wzruszenie, powitaniem usprawiedliwione, prysnęły. Byli znów oboje poprawną, wielkokwiatową parą narzeczonych. W doskonale pięknych rysach Iry pozostał ślad zaledwo przelotnego rumieńca; w pociemniałych oczach Korskiego palił się płomień głęboki siłą woli od wybuchu powstrzymywany. Ten chłód pozorny, uosabiający dla niego arystokratyzm uczuć i tradycyj, najsilniej go przykuwał do Iry. Wśród kobiet swego świata, pełnych temperamentu i rwących się do życia, on, chłopiec młody i dorodny, nie zwykł był spotykać surowych twarzy lub zimnego przyjęcia. Powściągliwość też panny Halińskiej, zarówno z zasad, z wychowania i przyzwyczajień, jak z usposobienia wynikała, pociągała go niby opór nieprzewidziany i roznamiętniała nie-

dwie. Idąc obecnie, w ślad za nią, wpatrzony w tę postać wysmukłą, wykwinną, której klasyczna główka tem idealniej odcinała się od prostych fałd białej sukni, Korski z trudnością, powstrzymywał wrzenie swej silnej, chłopskiej krwi, tak nieprzywykłej jeszcze do więzów, nakładanych przez kulturę i prawa towarzyskie. Czuł tylko i wiedział, że w danej chwili kocha ją gorąco, bez pamięci.
List

własny, ujrzany w jej ręku, pomieszanie i rumieniec, a później
pierwszy
pocałunek, z ust jej wzięty, żaru mu do krwi nasypały. A jednak
patrzac na rysy
jej idealnie piękne, delikatne, a matowo znów blade, na wdzięk rusałki
i
królewny zarazem, z jakim cała w bieli, z pękiem fantastycznego
kwiecia w dłoni,
schodziła ze schodów, czuł się znów onieśmielonym i od niej dalekim.
Ten dualizm, ta dwoistość uczuć podniecały jeszcze młodzieńczy
jego, wybuchowy
temperament. Ira była w tej chwili, jakby gwiazdę, oddaloną, w której
szlaku
promiennym szedł zahypnotyzowany, a świadomy jedynie gorącego
swego dla niej
uczucia.
W starannie umeblowanym, obszernym salonie, któremu, zarówno
drzewa parku, jak
zapuszczone ciężkie firanki, zapewniały chłód ożywczy, czekała na
młodą parę
pani Borec-

ka i obie jej córki. Wujenka Iry umiała dotrzymać słowa. Gdy
chodziło o konkury
Korskiego, powiedziała mężowi: "Wiem, co winna jestem naszej
synowicy i własnemu
stanowisku" — a raz rzuciwszy dumne te wyrazy, potrafiła w czyn je
wprowadzić z
całą logiką i konsekwencją.
Rzeczywiste jej zimne, a nieprzyjazne dla Iry usposobienie, ustąpiło
miejsca
wzorowej uprzejmości, która w chwilach ważniejszych nabierała
nawet odcienia
serdecznie przychylnego. Piękna sierota, stale trzymana w domu i
mogąca na

każdym kroku zaćmić jej własne córki, stawała się dla pani Boreckiej wprost nienawistną. Synowica jednak, która, robiąc pieniądze świetną partycję, miała wkrótce progi te na zawsze opuścić, zasługiwała w pełni na najwyszukańsze jej względy. Wszak zamieszkawszy później w stolicy, mogła z kolei wpłynąć na zamążpójście kuzynek, ratując finansowe położenie całej rodziny. Pani Borecka więc, wzorowo uprzejma dla Korskiego i dla Iry, nieznaną dawniej okazywała przychylność. Za jej przykładem szedł dom cały, w którym, jak dotąd, jej niechęć tylko stanowiła przykry dysonans. Korski, którego przywitała już przedtem i sama posłała na górę, do saloniku narzeczonej, czuł się tu jak u siebie, w tem wykwin-

tnem otoczeniu, pełnem ciepła i wytwornej, dobrem wychowaniem uwarunkowanej swobody. Gdy stanęli, oboje z Iry, na progu salonu, pani Borecka objęła ich życzliwym spojrzeniem, od stoliczka z szachami zaś podniosły się dwie jej córki, witając Korskiego z życzliwością przyszłych kuzynek. Starsza, w długiej już sukni, nie była w rzeczy samej tak piękną, jak Ira. Drobną wszakże, delikatną szatynką, o rozumnych siwych oczach, świeżej cerze i bardzo słodkim wyrazie twarzy, mogła i musiała podobać się każdemu. Młodsza, wyższa i nieco silniej zbudowana od siostry, nosiła jeszcze dwa ciężkie, złote

warkocze, spływające w całym bogactwie swem ku ziemi, pod aureolą
zaś włosów
tych kryła lica, zbliżone karnacją, do rozchylającego się pączka róży
białej i
parę oczu piwnych, w których wszystkie chochliki młodości i
dzieciństwa śmiały
się na przemian.
Pani Borecka promieniała. Swoboda, przyznana córkom jej, z chwilą
zaręczyn Iry,
podziałała tak dobroczynnie na obie, iż stanowczo z poczwarek
zaczynały się
wykluwać urocze motyle. Świadomość ta czyniła matkę ich tera
serdeczniejszą dla
pary narzeczonych.
Rozmowa, swobodna i wesola, toczyła się czas jakiś o Warszawie i
podróży
Korskiego,

o przygotowaniach, czynionych przez niego i postępach w wyprawie
panny
Halińskiej.
— Gdy wy młodzi bujacie po obłokach, ja muszę przynajmniej być za
was
praktyczną, — mówiła pani Borecka dobrotliwie. — Co do Iry
bowiem, ta gotowaby
żadnej nie robić wyprawy, tak, jak zapomina, że pan Henryk, po kilku
godzinach,
spędzonych w wagonie, głodny jest pewno lub, spragniony.
I, zadzwoniwszy, poleciła, aby podano natychmiast do salonu herbatę,
ciasta i
owoce.
Piękna zastawa, lokaj w ciemnej liberyi, gotów na skinienie, a
usługujący, jak
cień bez szmeru prawie, srebrne kosze do ciast, na których znad było
posiadanie

kilku pokoleń, wreszcie urocze przyszłe kuzynki, podające herbatę z dystynkcyą i wykwintem ruchów harmonijnych, wszystko to dziwnie pociągające czyniło na Korskim wrażenie. Zdawało mu się, że urodził się w tem otoczeniu, że do niego stworzony został. Zaduchy garbarni i browaru, ciężka praca ojca, dziadek w drewnianych trepkach na bosych nogach i z fajką glinianą w ustach, cała prozapja mamy, Berty z Müllerów. szczycącej się tem, iż jeden z braci ma fabrykę nawozów sztucznych, a drugi dystylarnię, cała szara przeszłość, dzięki której, oni, obcy przybłądy, z najniższego proletaryatu, dźwignęli się do wyżyn pałacowych,

znikła jak bolesna fantasmagoryą z oczu Henryka. Rozpromieniony, rozkochany, lgnął do tych ludzi przedewszystkiem próżnością i ambicyą, chęcią-wyniesienia się i zrównania z nimi. Wysilał też całą wrodzoną mu estetykę form, całą, z włości za granicą wyniesioną subtelność i błyskotliwość inteligencji, by podbić i zjednać sobie wszystkich. Trzeba przyznać, iż z łatwością mu to przychodziło. Dla pani Boreckiej fortuna, jaką rozporządzał, dla Iry czar budzącego się uczucia, nadawały mu wyłączny urok i wyłączne do sympatyi ich prawo.

— Jaka ta Ira szczęśliwa, -mówiło stworzenie o dwóch złotych warkoczach, unosząc w rączkach pęk fantastycznych orchidei — Życie jej w ostatnich tygodniach, to, jak w bajce, istny sen na kwiatach.

— Moja Wandziu, — odparła pani Borecka pobłaźliwie, — trochę
cierpliwości, a
gdy ty z kolei zostaniesz narzeczoną, taka sama czeka cię radość.
— O, bardzo dziękuję, zawołała rezolutnie, — nie chcę kwiatów, bo
by mi
jeszcze, po ślubie, kazano wyjmować z nich ciernie.
Zaśmiano się ogólnie.
— Zkądże taki sceptycyzm, panno Wando — pytał Korski.

— Człowiek jest tylko próbką ludzkości, a ta bardzo lubi zdzierać
korony z czoła
swoich wybrańców. Nie chcę więc aby mnie wieńczono, jako
narzeczoną, a
detronizowano po ślubie.
Piękne lica Iry uśmiech rozjaśnił.
— Mylisz się, Wandziu, — przerwała. — Kwiaty, składane
narzeczonej, to hołd nie
dla niej, lecz dla najszczytniejszego z uczuć ludzkości. Nawet
najbardziej
kochająca ręka wieńczy tu raczej pojęcie miłości, niż kobietę.
— Och, abstrakcją! Czysta abstrakcją. Czemżeżby wobec niej było
małżeństwo samo?
— Szkołą charakterów, — wyjaśniła Ira poważnie. — W teorii, to
ideał
zjednoczenia i spójni moralnej, słoneczne ognisko, czy źródło ciepła i
siły,
poetyza życia i jego podstawa. W praktyce jednak...
Zawahała się i zarumieniła, myślą wewnętrzną, jak odbłaskiem zorzy,
rozjaśniona.
— W praktyce? — podjął Korski, wpatrzony w nią z nateżeniem.
— O ile słabe moje doświadczenie pozwala mi sądzić, małżeństwo,
przecząc
szczytnej teorii o słonecznym ognisku ciepła i siły, bywa często w
praktyce
skryształizowaniem fillsterskiego egoizmu, podniesieniem egoizmu
tego do

kwadratu, jeżeli można się tak wyrazić.

— Krytyka równie świętej instytucji, w ustach narzeczonej, Iro, — strofowała pani Borecka, ze zgorszeniem.

— Nie, ciociu, nie instytucji, bo ta silniejszą jest nad krytykę, lecz sposobu, w jaki ją ogół pojmuje. Otóż, co do mnie, pragnęłabym bardzo, aby to źródło siły, ciepła i światła, ogrzewając mnie i moich najbliższych jasnym swoim płomieniem, promieniami jego obejmowało zarazem szersze kręgi; aby przy niem paliła się nie tylko świeczka osobistego mego szczęścia, lecz jasna pochodnia każdej myśli podniosłej i szlachetnej. Nauka i sztuka, idee obywatelskie i potrzeby społeczne wszystko tu odbłysek znaleźć powinno.

— Brawo, Iro, przecież ty jedna chociaż mówiąc o małżeństwie, nie jesteś zahypnotyzowana urokiem stroju ślubnego i troską o wyprawę, — wołał śmiały podłotek.

— Entuzjastka, — dodała pani Borecka pobłaźliwie.

— Sądzę, że ta chęć nie zasklepienia się we własnym szczęściu, — odezwał się

Korski — nie jest entuzjazmem, lecz tylko najszlachetniejszym altruizmem. Panna

Irena ma rację. Nikt nie ma prawa własnego szczęścia ukrywać zazdrośnie przed

światem, usuwając się dla używania go, od pracy społecznej. Bo gdyby ona została

w rękach ludzi nieszczęśliwych

tylko, musiałaby być niekompletną, wadliwą i skrzywioną. Szczęście osobiste, wielkie szczęście, zaczerpnięte u własnego, a wymarzonego ogniska rodzinnego, to pełnia sił, to zdwojenie energii życiowej, to wybujające zrośnięcie wszystkich lepszych pierwiastków w duszy ludzkiej. Zużywając więc treść ich dla siebie samych, będziemy mogli jeszcze cały nadmiar jej rzucić na usługi spraw ogólnych i służby publicznej. Tu, jak wszędzie, ideały nasze tę samą noszą barwę.

— Teorya, teorya, teorya, — żartowała pani Borecka.

Ira wyciągnęła rękę do Korskiego.

— Zobaczyci ciocia, że my dwoje zdołamy wprowadzić ją w praktykę.

— Zdołamy dom nasz zmienić w raj dla siebie i ognisko szczęścia dla innych, —

potwierdził Korski, patrząc z zapalem w rozpromienione rysy narzeczonej.

ROZDZIAŁ VI.

— Berta, patrz, co za powóz i liberya!

— Widziałam piękniejsze.

— Pewno, zdaleka w Alejach Ujazdowskich, przez lornetkę, — syknęła panna Dora.

Jechali znów czas jakiś w milczeniu.

— Berta, patrz, co za las! — zawołał po chwili stary fabrykant w zachwycie

— Duży, ale pewno z długamy, — zaopiniowała zimno Czarne oczy jej jedynaczki zaświeciły złowrogo.

— Czy mama jedzie na ślub syna, czy dla taksowania cudzych należności? —

zapytała porywczo, lecz stłumionym głosem, tak, aby jej służba nie słyszała.

— Dlaczego?

— Bo bez względu na to, że lokaj i stangret państwa Boreckich słyszeć nie mogą,
uwzięła się mama obniżać ciągle wartość wszystkiego: pól i lasów,
słońca i
pogody nawet.

— Dora ma recht, — przyznał Korski.

— Co mam? - zapytała szyderczo.

— Chciałem powiedzieć, że masz... słuszność... rację niby, —
tłómaczył się
zmieszany.

— Aaa...

— Moja stara...

Strojne ramiona i nosek panny Dory podniosły się równocześnie do
góry, z
nieukrywaną pogardą.

— Słuchaj, Berta, — poprawił się fabrykant, a widząc jeszcze
nieukrywany gniew
w rysach córki, poruszył się sam z pasya na siedzeniu.

— Tfu, u diabła, co mi się tak dziś słowa płaczą! Chciałem
powiedzieć: Proszę
cię, moja żono, skoro Henryk żeni się nadspodziewanie dobrze i jest
szczęśliwy,
a my, jadąc, na tak wielką dla nas uroczystość, jak ślub syna, mamy
stać po
raz pierwszy, w progach jego przyszłej rodziny i w domu narzeczonej,
nie

powinniśmy, zawierz mi, moja star... moja żono, chciałem
powiedzieć, okazywać
niczem niechęci, ani niedowierzania i oziębłości.

— Doskonale, tatku, tak mówi rozumny i taktowny człowiek,
popierała Dora,
gładząc drobną rączką ojca po rękawie.

— Nie dosyć wieść prezenta, — kończył Korski, ze zwykłą swą
dobroduszością i

zdrowym rozsądkiem, — trzeba je, moja Berto, poprzeć dowodami serca i prostoty,
a wtedy, chociaż wzbogaceni przybysze, nie będziemy śmieszni w tem otoczeniu.

— Piniendze nigdy nie są śmieszne, — rzuciła pani Berta z przechwałą.

— Są, choćby w tej chwili, marno, — odcięła panna Dora śmiało; poczem, nie zważając na zaciekłość, z jaką stara fabrykantowa zaciskała wążkie usta i zacieśniała pod broda, wstążki od kapelusza, prowadziła dalej swobodnie i serdecznie gawędkę z ojcem.

Spokój, w jakim ją pozostawiono, a może i upominające: Mutter, Mutter!,

szeptnięte przez męża, ułagodziły panią Bertę do reszty, tak, że zajeżdżając

przed piękny pałac borowski, rodzina Korskich, kosztownie, lecz skromnie na

pozór, jak do podróży ubrana, stanowiła na tle powozu pociągający obrazek powagi

i jedności.

Lokaje u stopni powozu, wyżej zaś, u wejścia gospodarz domu i Henryk czekali na przybyłych.

Bercie z Müllerów ceremoniał ten nie przypadł wcale do smaku. Gdy więc po

zapoznaniu się z panią domu, ujrzała, iż syn jej prowadzi przez długi salon, ku

rodzicom, wysmukłą, arystokratyczną postać dziewczęcą, w skromnej sukni jasnej,

usta jej zacięły się znów zawistnie i niechętnie.

— Droga matko, kochany ojczy, — mówił z pewnem wzruszeniem

— oto moja narzeczona.

Ojczy... matko... zabrzmiało w uszach Iry... Ludzie ci więc mieli jej zastąpić
te najświętsze węzły na ziemi, których, ona, sierota od

dzieciństwa, wcale nie znała. W wielkich, smutnych jej oczach, dwie duże łzy

zabłyły. Nie była w możności przemówić. Powtarzając też sobie jedynie w duchu:

To rodzice Henryka, to moi na przyszłość rodzice, bledziutką i wzruszona

pochyliła się kornie do ręki teściowej.

— Za delikatna i za blada na żonę dla fabrykanta, — myślała z niechęcią pani

Berta: — Chociaż dumna hrabianka, musi pocałować ranie w rękę, — dodała w duchu

i, zaciąwszy usta, nie przemówiła do Iry ani słowa.

Pan Wilhelm tymczasem nie spuszczał oczów z przyszłej synowej.

Prostota ubioru,

postać jak trzcina giętka i wysmukła, łzy wreszcie w prześlicznych źrenicach, od

razu chwyciły go za serce. "Królowna", — powtarzał w duchu zasłyszane kiedyś

określenie Henryka, a niemile dotknięty oziębłością swej żony, otworzył ramiona,

tuląc zaś głowę jej do piersi, zawołał:

— Za kilka godzin zostaniesz naszą córką, mam więc prawo, moje dziecko,

uścisnąć cię serdecznie, dziękując za szczęście naszego syna, za zaszczyt, jaki

nam robisz, dzieląc jego przyszłość i nazwisko!

Słowa te proste, z serca widocznie płynące, złamały lody, nadając poufniejszy

nastrój zebraniu. Na wzajemne zresztą zbliżenie nie-

wiele zostawało czasu. Przygotowania do uroczystości weselnej,
stroje pań i
pośpiesznie podane śniadanie, nie pozwoliły zauważyć sztywnej
niechęci pani
Berty; usuwały ją bowiem, na plan dalszy, srebrne śmiechy panienek,
z Dorą na
czele, rozpromienienie Henryka i zamęt ogólny, nieunikniony przy
zjeździe gości
i tego rodzaju przyjęciach ceremonialnych.
Pomimo obecności najbliższych przyjaciół i krewnych panny młodej,
Korski bowiem,
prócz rodziców i siostry, nikogo nie prosił, uroczystość weselna miała
być
możliwie cicha. Życzyli sobie tego tak państwo Boreccy, jak Ira. Był
to dla niej
dzień zbyt święty i poważny, zbyt przełomowy w życiu, aby go
chciała spędzić na
zabawie, a przytem, w poczuciu sieroctwa swego i ciężaru, jaki
stanowiła dla
opiekunów, pragnęła na dalsze nie narażać ich trudy. Ślub więc o
godzinie -ej,
w pobliskim kościele, na skraju parku, w tym samym, w którym od lat
dziecięcych
zwykła się modlić, w którym wiarę małżeńską, przysięgała jej matka,
w którego
cieniu leżały prochy dziadów jej i pradziadów, potem obiad dla
zebranych;
pociągiem zaś wieczornym Henryk uwoził żonę swą za granicę.
Pozostawiona nareszcie sama, Ira, zarzuciwszy rękę nad głowę,
stała na środku
swe-

go saloniku różowego, zegnając ostatniem spojrzeniem rozległy
widok, ztąd się
roztaczający, z wieżycą kościoła, w którym dziś jeszcze ma składać
przysięgę, z

parkiem i całym otoczeniem, w którym wzrosła i dojrzała duchowo.
Gniazdo
rodzinne, — nie miała go przecież... Była tu obcym przechodniem;
wracać jej też
do miejsc tych niewolno. Że je kochała, któż pytał się o to? Kto pytał
wogóle o
uczucia jej, o serce i szczęście przyszłości? Zachowywano względem
niej formy;
pomimo wszakże czczego ich pozoru, czuła doskonale, że pozbywano
się jej lekkim
sercem, że o nią. ojej rzeczywistą dolę, czy niedolę, nikt tu się nie
zatroszczył, ani na chwilę. Czyniono zadość konwenansom, — oto
wszystko. Każdy
członek tej pseudo-rodziny, wśród której wzrosła, w tym jednym dniu
nawet, tak
dla niej ważnym, miał na myśli własne tylko interesa i do własnych
dążył celów.
I nigdy, nigdy może, nie czuła tak swego sieroctwa moralnego jak
dzisiaj.
Wiedziała, że inne dziewczęta miały matkę, która w dniu tym
przynajmniej, każde
tchnienie, każdą myśl im poświęcała. Ona nie знаła tego dotknięcia
ręki
kochającej, tego uścisku i niemego błogosławieństwa, które goi rany
przeszłości,
a kojąc trwogę, staje się puklerzem na przyszłości.

Tu nie miała już domu, ani rodziny; tamta, czuła to dobrze, niechętnie
ją
przyjmuje... A jednak, trzeciej drogi pośredniej niebyło dla niej wcale.
Nie
widziała ani ratunku, ani innego wyjścia dla siebie. Mogła niem być
tylko wielka
miłość dla Henryka. Czy jednak kochała go tak bardzo, czyjej nawet
pozostawiono

czas na zbadanie własnego serca. Dziś nie była pora rozstrzygać podobny dylemat. Wiedziała tylko, że całą siłą uczciwego serca pragnie go kochać, że z całą świadomością, z całą mocą postanowienia, przysięga mu być dobrą i wierną towarzyszką; za uczucie okazywane, poświęcić mu duszę i życie całe. Usta jej drobne drżały; oczy, poważne zawsze, jakby przecuciem ducha natchnione, niepokonanym paliły się smutkiem, a błędząc od Madonny Sykstyńskiej do rozłożonego na meblach stroju ślubnego, zdawały się szukać jakiegoś oparcia lub cienia otuchy. Bała się spojrzeć na portret ojca, bała przyklęknąć i Jej, Przemysławskiej, przyszłość swą oddać w opiekę, bo czuła, że żal, cisnący jej serce, nieutulonemi wybuchnie łzami. Nie chciała przykrości tej robić narzeczonemu, on taki był dobry dla niej... Duma zresztą wrodzona nie pozwalała jej odsłaniać przed obojętnymi oczami najtajniejszych zakątków duszy własnej

Widziała ich, tę przyszłą swą rodzinę, tych nieznaną, a obojętnych dla niej ludzi... I wyraz "ogniwo", którym wuj nakłaniał ją do związku z przedstawicielami obcej rasy i obcego świata, przyszło jej w tej chwili na myśl. "Ogniwo", — brzmi to ładnie, lecz, jaka szkoda, że bywa ono częścią składową nierozzerwalnego, a ciężącego nieraz łańcucha! Ostatnia to była smutna refleksja; ostatnia danina, spłacona przeszłości i marzeniom dziewczęcym. Kobiety z rodu Bończa - Halińskich zwykły były iść z podniesioną, głową w życie

i przez życie.

Ira, wierna ich przedstawicielka, wyprostowała się dumnie, a w wielkich,

ciemnych jej oczach słodycz i powaga błyszczały już tylko.

W godzinę później, obcemi rękami w symboliczny strój ślubny przybrana, stała na

tem samym miejscu, spokojna, chód blada bardzo, a jeszcze może piękniejsza, niż

zwykle, jeszcze bardziej zjawiskowa, poetycznym urokiem jaśniejąca.

Na progu pamiętnego dla nich różowego przybytku stanął, w ślubnym również

stroju, Henryk Korski.

Frak i wzruszenie, nastrojem chwili wywołane, odbierając mu cechę zbyt wielkiej

wy-

bujałości życiowej i pewności siebie, idealizowały go także. Był bez zaprzeczenia ładnym mężczyzną. Oczywiście niebieskie, szczerze, obejmowały

spojrzeniem, pełnym zachwytu i głębokiej tkliwości, tę smutną, klasycznie piękną

postać w bieli. Widział wrażenie, jakiemu ulegała, odgadywał poruszenia serca i

myśli, tłoczące się do główki, kwieciem pomarańczowym uwieńczonej. Ogarnął ją,

jeszcze jednym spojrzeniem, jak gdyby obraz ten na zawsze chciał w duszy wyryć,

i przybliżył się zwolna.

— Ukochana, odwagi... wiary... — wyszeptał. — Czy mi nie ufasz? Czy naprawdę

życie ze mną lękiem cię przejmuje? Patrz, te ramiona dość silne, aby ci być

puklerzem, a serce tak głęboko ci oddane, iż poza szczęściem twojem niczego w

życiu nie pragnie.

— "Wierzę i dziękuję, — odparła cichutko.

— Słońce, młodość, przyszłość cała, śmieją się do nas... Rozjaśnijże i ty
spojrzenie twe, Iro; niech widzę, że w przyszłość tę naszą, z dobrą
wolą
idziesz.
Od pocałunków, jakimi rozgrzewał jej róg, prąd krwi gorącej
spłynął do serca
dziewczęcia. Uśmiechnęła się też do niego z całą ufnością i wiarą, z
całą
promienną tkliwością oddanego serca.

Korski, ujmując położony u wejścia bukiet, podał go jej w tej chwili.
Kwiaty
pomarańczowe i róże białe, spoczywające w zwojach atlasu i koronki
pajęcznej,
okręcał u rączki, bogaty naszyjnik z pereł.
Ira, na widok klejnotu, dłoni, już wyciągniętą, cofnęła zabobonnie.
— Perły, — wyszeptała, — wszak to symbol łez...
— Symbol blasku i bogactwa raczej, a tobie pięknie w nich będzie.
Wtargnięcie družek, wśród których panna Korska strojem
kosztownym reprezentowała
Widocznie wielką fortunę swej rodziny, przerwało sam na sam
państwa młodych.
Czas naglił, należało więc zejść na dół, gdzie ich czekała zwykła
ceremonia
błogosławieństw. Czczą forma, — myślała Ira, bo przecież nikt jej tu
naprawdę
nie błogosławił.
W salonie dwa światy, dwa obozy, upostaciowane przez rodziny
hrabiów Bończa -
Halińskich i Boreckich, oraz przez rodziców pana młodego, wśród
wzajemnej
uprzejmości i grzeczności, badały się jednak zobopólnie. Uroczystość,
łącząca
dozgonnym węzłem oba rody, oraz nastrój chwili, nakładały poniekąd
zebranych

moralnie białe rękawiczki, o miękkim, pełnym wykwintu dotknięciu.
W słowach
więc, miejsce wzajemnej nieufności, zajęły kompli-

menta wyłącznie. Spojrzeniom tylko, taksującym się duchowo i
umysłowo nawzajem,
brak było serdecznego blasku i szczerości.
Pan Wilhelm jednak wszystkich prostotą i cechą poczciwości. Gdy
jednak, ciekawsi
nowinek, zagadnęli go o sprawy społeczne i polityczne, przekonali
się, że on,
człowiek bogaty, a więc wpływowy i mieszkający u ogniska mchu
umysłowego w
stolicy, nie ma o nich pojęcia i nie interesuje się podobnymi sprawami
wcale.
Przyznał się wreszcie, z rubaszną otwartością, iż fabryka zbyt go
pochłania, aby
mu na cokolwiek czasu pozostawało. Porozumiewawcze więc
spojrzenia pobiegły do
koła i rozmowa, zręcznie, lecz z pewnym ironicznym pośpiechem, na
codzienne
sprawy skierowaną została.
W innym krańcu salonu, młodzież porównywała, pewną siebie i
bardzo kosztownie
ubraną Dorę, z prawdziwie piękną panną młodą, lub z dziewczęcą
postacią Wandzi
Boreckiej, której główną ozdobę przy białej sukience stanowiły dwa
złote, do
ziemi spływające warkocze.
Na kanapie, mama Korska, własnym strojem, z fioletowego aksamitu i
białych
koronek, w lepszy humor wprowadzona, pochyliła się poufnie do pani
domu:

— A jakżeż tam — pytała — z bielizną stołową i urządzeniami kuchennymi? Czy dosyć tego będzie?

— Oddałam synowicy naszej dokładny spis jej wyprawy; przedstawi go pani w swoim czasie — brzmiała sztywna odpowiedź.

W salonie szmer powstał. Na progu stanęli państwo młodzi, piękną, swą i urokiem w zachwyty rzeczywisty wprawiając zebranych. Stary zaś Wilhelm Korski, na widok syna w stroju ślubnym, na widok tej uroczej istoty, zwojami iluzji spowitej, zaczął już sapać głośno. Ujrzawszy zaś, jak chyła się przed nim na kolana, powstrzymał ich żywym ruchem i, jak bóbr się rozplakał. W pół godziny później, Ira Bończa Halińska, przysięgła jego synowi, wiare, małżeńską "aż do śmierci".

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ VII.

Dwa lata mijały, odkąd pani Ira z Bończa - Halińskich Henrykowa Korska była ogólnie uznaną gwiazdą przemysłowych i finansowych salonów Warszawy. Na firmamencie salonów tych, nie brakło nigdy słońc, lśniących dyamentami, i komet przeróżnej wielkości, o ogonach pluszowych i mgławicach z koronek; każda konstelacja, vel koterya, miała ich kilka nieraz. Niemniej, wyrok stanowczy przez naczelną astronomów

wydany, a przez plejadę uczniów ich z pietyzmem przyjęty, uznawał Iry Korską za królowę słońc tych wszystkich, za gwiazdę pierwszorzędnej wielkości i blasku.

Otrzymać berło takie nie łatwą było rzeczą, plutokratyczne bowiem towarzystwo war-

szawskie posiada ogniska, które wykwintem wielkokwiatowym, wysokim poziomem artystycznym, aspiracjami literackimi, oraz całą atmosferą kultury umysłowej i elegancyi, mogłyby stanąć rzeczywiście na czele życia towarzyskiego stolicy.

Samozwańczych więc władczyń nie tolerowanoby tu bynajmniej, a do królowania należało faktyczne mieć prawa.

U Iry składały się na nie wręcz przeciwległe pierwiastki.

Wszechstronnie i starannie wykształcona, potrafiła jeszcze rozszerzyć i pogłębić

zakres swej wiedzy, poświęcając pierwsze, samotne lata młodości, nauce i

czytaniu. Wielka miłość przyrody, rozbudzając w niej refleksyjność i marzycielstwo, była jej także niepoślednią mistrzynią. Wtedy więc.

gdy wychowane

w mieście panienki, w jej wieku, porywa już zazwyczaj wir płytkich zabaw

światowych, Ira, pozostawiona książce i dumaniu, wyrabiała w sobie samoistność

sądu i na własnych, indywidualnych poglądach opartą powagę umysłu.

Dalsza praca w tym kierunku byłaby może wyrobiła, w młodziutkim jej umyśle,

pewien, niemiły zawsze u kobiet, pedantyzm umysłowy. Zaręczyny z Korskim

przerwały ten nastrój; długa zaś podróż poślubna, zapoznając

ia, z życiem pierwszorzędnych stolic, z cudami Włoch i arcydziełami
geniuszu
ludzkiego, zilustrowała niejako jej marzenia, rozszerzając znów zakres
myśli i
wrażeń.

To obcowanie ze wszystkim, co nauka, sztuka i duch ludzki
stworzyły
wiekopomnego, najdodatniej podziałało na Irę. Korski, którego umysł
żywy,
światny nieraz, niemałym w przekształceniu tem był czynnikiem,
zabrawszy urocze,
rozpoetyzowane i roztesknione dziewczę, odwoził kobietę posagowo
piękną, o
bujniejszych, bardziej królewskich kształtach i myśli jasnej,
zrównoważonej, od
klasycznego bijącej czoła.

Nie obca dziś tajemnikom życia, nie obca ujemnym jego stronom, miała
tę pogodę
wyższych umysłów, wolną, od egzaltacji, atak rzadko spotykaną u
kobiet. Daleka
od czułościowości, a jednak zdolna ukochać wszystko, co piękne i
szlachetne, Ira
zbyt młodą, zbyt piękną była równocześnie, by nie odczuwać całej
ponęty i uroku
życia. Spragniona go jeszcze, piła pełną piersią ów czar
niebezpieczny, z
rozkoszy hołdów i podziwu złożony. Wrażenie, jakie nieporównana
jej uroda i
wdzięk niewieści wywierały na każdym kroku, było jej miłem ze
względu na
Henryka, lecz równocześnie upajało także gorącym tchnieniem życia,
jakie niosło
z sobą. I ciemne, szafirowe

jej oczy jaśniały ułudnie, a purpura ust rozchylonych coraz się silniej barwiła.

Ta radość istnienia, ta pełnia życia, która, ujmując rysom jej cech posagowych, nadawała im w zamian porywający czar kobiecości, najsilniej działała na Henryka.

Miłość jego, z kultu nieśmiałego, przechodziła stopniowo w szal zmysłowy. Kochał całą pełnią swej powierzchownej natury, a dumny z pozyskanego skarbu, próżny przytem i ambitny, pragnął przedewszystkiem pochwalić się nim przed światem całym.

Trofea i zdobycze, przywiezione z podróży poślubnej, pozwoliły przekształcić raz jeszcze zbytkownie, lecz "po warszawsku", po "filistersku" — jak mówił —

urządzony apartament w Alejach. Teraz, ku rozpaczycy jego rodziców, a ku uciechu

panny Dory, stracił on już ostatni ślad, ostatnią cechę gustu i upodobań mieszczańskich.

Wśród tych rzeźb, obrazów i makat, wśród cennych bronzów i pompejańskich wykopalisk, rozrzuconych na tle fantastycznych miękkich mebli i bujnych roślin

podzwrotnikowych, stary fabrykant, któremu nogi lgnęły w puszystych dywanach,

nie umiał się poruszać nawet. Daleki wszakże od gniewu, dumny był przec; wnie z

wielkopańskich, a nieznanym mu urządzeń syna. Uważał to za ostatni wybryk,

za ostateczne wyszurzenie się młodości, po której Henryk poświęci już życie swe

rodzinie, a pracę owocną dla dobra firmy. Ambicya starego fabrykanta doznawała

przytem najwyższego zadowolenia.

I, o tajemnicza zagadko duszy ludzkiej, człowiek ten, któremu, w gołębiej

prostocie jego ducha, wystarczał kitel płócienny i kawałek mięsa lub szklanka

kawy, który uważał cygaro -cio groszowe za wielki zbytek dla siebie, czuł się

nad wyraz szczęśliwy, patrząc na mieszkanie syna swego, z magnackim przepychem

urządzone. Gdyby mógł urodzić się powtórnie, pracowałby chętnie w krwawym

trudzie przez życie całe, dlatego wyłącznie, aby jedynak jego mógł osiąść

salony, tak zbyt kownie urządzone.

Pani Berta z Mullerów innego była zdania. Nagromadzone kosztowne meble i

drobiazgi raziły ją marnotrawstwem, bolały nie praktycznością; byłaby je wszakże

zniosła cierpliwie. Widok dopiero przepięknej Wene ry, w marmurze kararyjskim

wykutej, tak ją obraził bezwstydem swej nagości, iż wykrzyknąwszy: — Sodoma i Gomora! — zapowiedziała, że noga jej u synowej nie

postanie, dopóki

ta "kamienna bezwstydnica" nie będzie przyzwoicie odziana.

— Kto tyle piniendzy wyszastał, ten nie potrzebuje nagusów u siebie trzymać i

obraży Boskiej mnożyć. Stać go na pokrowiec, czy koszulinę do okrycia

bezceństw, — powtarzała zaciekle.

Wyrok ten, jako charakterystyczny aforyzm, obiegił w ciągu dni kilku wyrafinowane, a znane z subtelnego artyzmu salony. Prostactwo jego podnosiło tem

silniej, przez przeciwstawienie, umysłowy wykwint Iry.

Młoda kobieta mało zresztą w danej chwili zwracała uwagi na dąsy teściowej:
pochłaniało ją osobiste szczęście i przyszłość, oraz urządzenie pierwszego w życiu, własnego gniazda. Gdyby jej zdanie wyłącznie brane tu było w rachubę, ognisko to, jakkolwiek niemniej wykwiłtne, nosiłoby jednak więcej cech powagi i prostoty. Świadoma wszakże, iż zbytek był tu owocem nie jej fortuny, lecz bogactwa Korskich wyłącznie, przez delikatność nie narzucała swego zdania, a Henryk, idący ambitnie do raz wytkniętego celu, nie dopytywał zbytnio o nie. Nie po to zdobył rzadkie premium, aby je kryć przed światem. Z woli też jego powozy, uprząże i całe mieszkanie przyozdobione zostało starożytnymi herbami Bończa - Halińskich. Ira nie śmiała przypomnieć, że Korscy nie mieli przecież do nich prawa. Henryk

zresztą, uprzedzając zarzut podobny, sprzęt każdy, ozdobiony hrabiowską koroną" natychmiast żonie na własność ofiarowywał, dodając z przekonaniem, iż nie chce, aby przez zamąż-pójście pozbawiała się cennych praw do tytułu i starego szlactwa, oraz do stanowiska, jakie jej ono w towarzystwach nadaje. Ta próżność arystokratyczna, parwenjuszowska, jak z bolesnym uśmiechem nieraz myślała Ira, do tego doszła stopnia, iż Korski nawet przedmioty osobistego użytku, laskę, przybory do palenia i t. p. nosił stale z herbem lub cyframi

żony, oraz z hrabiowską, jej koroną. Gdy zaś oczy czyjekolwiek
zatrzymały się na
szlaeheckiem owem godle, wtedy zwracał sam na nie uwagę, dodając
ze swobodnym
uśmiechem, że to upominek od żony, która drobną lę pamiątkę kazała
własnym
przyozdobić monogramem.
W ten sposób, — sądził, — nie podszywał się pod cudze prawa, nie
stroił w obce
piórka, lecz tylko powoływał się na żonę. która stanowiła przecież
niezaprzeczoną jego własność.
Uważając podziw, jaki uroda Iry budziła wszędzie za granicą, za
przedsmak
należnego sobie tryumfu, Korski nie myślał pozbawić go się ani na
chwilę. Z
woli też jego, Ira, strojna, świetna, piękniejsza niż kiedykolwiek,
rzucona
została w wir towarzyski jego własnych

stosunków i wyboru, błyszcząc wszędzie, gdzie się tylko zbierały
przemysł i tak
zwana haute finance.
Z początku bawiło ją to niepomiernie. Siła młodości i radość życia,
podniecana
jeszcze uwielbieniem gorącym męża i jawnymi hołdami zachwyconej
młodzieży,
upajała ją, jak haszysz. Bało, rauty, opera, a wraz z niemi całe błędne
koło
zabaw wielkiego świata, pozyskały w niej siłę nową, dziewiczą
niemal. Urok tego
życia zbyt kownego, a próżniaczego, tej egzystencji z dnia na dzień,
przyjemnościom tylko poświęconej, był jej nieznany na wsi. Piła też
pełnemi
ustami z czary rozkoszy towarzyskich, a otoczona rojem młodzieży,
hołdami i

ogólnym poklaskiem, po to wracała rozpromieniona do domu. by tu paść w ramiona dumnego z niej i zachwyconego tryumfem tym męża, a nazajutrz rozpocząć na nowo wędrówkę po salonach.

Był to pierwszy w życiu karnawał jej, z dziecinną niemal uciechą spędzany.

Zajęta sobą i swemi wrażeniami, nie miała czasu zauważyć nawet, że podziwiano

jej urodę, ale się z nią samą, jako z jednostką towarzyską i społeczną, wcale

nie liczone. Młodziutka piękna i strojnie zawsze ubrana, była ozdobą każdego

salonu; jako taką więc przyjmowano ją wszędzie ochoczo, nie domyślając się by-

najmniej, pod świetnymi pozorami motyla, samoistnego, a poważnego indywidualizmu.

Po kilku miesiącach tej uciechy, a pod koniec zimy, stan zdrowia zmusił Irę do

wycofania się z koła nieustających zabaw. Pierwszy już tydzień, spędzony w

domowym zaciszu, wytrzeźwił ją z krótko trwałego szału, przyczem, jak po każdym

upojeniu, w usposobieniu jej gwałtowna zaszła reakcja.

Rozbawione chwilowo dziecko, przed powagą zadania, jakie ją czekało, ustąpiło

miej sca kobiecie dojrzałej, w której wdzięk młodości walczył o lepsze ze

skupioną siłą ducha i umysłu. Wrodzone poczucie obowiązku, na szlachetności

pojęć oparte, wzięło tym razem górę na zawsze.

Rzucając okiem wstecz, na zimę minioną, Ira Korska patrzyła ze zdumieniem na

własny obraz, jak na wspomnienie dziecięcej igraszki, która raz tylko przystoi.

Życie towarzyskie, dobrze zrozumiane, jest wielkim czarem istnienia,
często jego
podniętą i ozdobą. Czy jednak może ono polegać na ciągłym: stroju,
tańcu i
zabawie, zabawie, tańcu i stroju? Nie; przenigdy! W perspektywie
oddalenia
wydało jej się. to jakąś dziką sarabandą, karnawałową maskaradą,
której, pod
karą śmieszności, zbyt długo przeciągać nie wolno.

Henryk był tak zajęty pod tę porę interesami, zaniedbanymi przedtem,
iż młoda
kobieta, pozostawiona sobie i długim godzinom samotności, miała
czas rzecz tę
wszechstronnie rozważyć. Nie myślała odsuwać się na przyszłość od
świata, nie
miała zamiaru skazywać męża na towarzyskie osamotnienie, ale
pragnęła być
przedewszystkiem dobrą żoną i dobrą matką, chciała odpowiedzieć
godnie
obowiązkom obywatelskim, jakie majątek i stanowisko na nią
wkładały.
Nie był to jasno sformułowany program życiowy, lecz pewne ku
niemu dążenie.
Sądziła, że do wprowadzenia go w czyn, do uświadomienia sobie
drogi, jaką iść
należy, dopomoże jej najlepiej mąż własny.
Nauczona więc doświadczeniem, iż obiad, starannie przyrządzony i
podany, wprawia
go zwykle w dobre usposobienie, kazała zrobić najulubieńsze jego
potrawy, stół
sama kwiatami ubrała, i strojna w miękkie, złotem haftowane
szlafrocze z białego
sukna, który mąż jej wyjątkowo ładnym znajdował, słuchała, dla
zjednania go

sobie, przez cały obiad wcale dla niej niezajmujących szczegółów sportowych.

Gdy przeszli na czarną kawę do gabinetu, sama przyniosła mu najlepsze cygaro, a siadając obok męża na otomanie, wyrzekła z prośbą:

— Mój drogi, wszak pozostaniesz ze mną troszkę? Taka osamotniona jestem w ostatnich czasach.

— Chcesz, przyszłe ci Dorę?

— O, dziękuję! Dlaczegoż miałabym ją odrywać od koła zajęć i upodobań?

— Skarżysz się przecież na samotność.

— Nie; nie na samotność, bo tę kocham znów bardzo, lecz na interesy, które rai ciebie ciągle zabierają.

Była tak piękna i ponętna, iż nie mógł się powstrzymać, aby nie ucałować jej

oczku,

o długich, do góry podnoszących się rzęsach i ust karminowych.

— Nie wystarczy mi, najdroższy, widzieć cię tylko podczas obiadu i śniadania...

— Czy to wymówka?

— Cóż znowu!... Prośba jedynie. Skoro w dzień zabierają cię te szkaradne

interesy, niechżeż po południu lub wieczorem...

— W godzinach poobiednich — przerwał — kantor jest otwarty, i potrzebuje ciągle

mojej obecności. Później zaś, zawierz Iro, że należy mi się trochę, nie wytchnienia już, bo te i tu bym znalazł, ale rozrywki. Wszak, dopóki zdrowie

pozwalало ci bywać, nie rozłączaliśmy się prawie. Teraz jednak, dla samego

niezrywania stosunków, od niedawna nawiązanych, trzeba, abym ja podtrzymawał je

przynajmniej.

— Wiesz, Heniu, właśnie o stosunkach tych chciałam pomówić z tobą. Przecież, —
dodała, opierając mu pieszczotliwie rękę na ramieniu i patrząc promiennymi
żrenicami w sam głąb duszy, — możesz darować mi raz pół godzinki?
— Kogóżby te wspaniałe czarne dyamenty nie sprowadziły z drogi
cnoty, —
żartował. — Dla miłości ich spojrzenia sprzeniewierzę się nawet
kantorowi i to
na całą godzinę. O cóż chodzi mojej pięknej pani?
Ira, chcąc odpłacić za tę powolność, nalała mu jeszcze jedną filiżankę
czarnej
kawy, przysunęła ponownie kryształowy naparstek chartreuse'y, a
postawiwszy obok
popielniczkę i zapalki, zajęła dopiero dawne miejsce na otomanie.
— O, zanosi się, jak widzę, na długie posiedzenie? — pytał z pewnym
niepokojem.
Ira, poruszywszy najpierw kilka spraw domowych, w których rady
jego
potrzebowała, przeszła z kolei do kwestyi samotnych swych
rozmyślań i planów na
przyszłość.
Korski słuchał jej z pobłażaniem, należnem dziecku lub choremu.
— Streszczając więc projekt twych reform, widzę, że na przyszłą zimę
chciałabyś
wstąpić do Kartuzów; tam— dodał, wychylając ostatnią kroplę
chartreuse'y — robią
dobry

likier; ale kobiet, jak rai wiadomo, wcale nie przyjmują.

— Niedobry! Drwisz ze mnie wtedy, gdy ja na seryo myślę, by życie
nasze mniej

czczeni i rozrzuconem uczynić, by się poświęcić więcej tobie.
— Dotychczasowa doza zupełnie mi wystarcza, — żartował wesoło.
— Nie jestem ani
potworem, któryby cię chciał więzić, jak w haremie, ani, — dodał z
galanterią —
strażą ochotniczą, gaszącą zazdrośnie pożary, przez twe piękne oczy
w sercach
złotej młodzieży wzniecane.
I, pocałowawszy ją w czubek palców, podnosił się już, uważając
sprawę za
wyczerpaną.
Ira wiedziała z doświadczenia, iż po takich oznakach rycerskiej
grzeczności
następował zazwyczaj u Korskiego wybuch zniecierpliwienia.
— Ależ, mój drogi — prosiła — zechciej zrozumieć, że nie mam
zamiaru skazywać
cię na samotność, pragnęłabym tylko nadać życiu naszemu więcej
treści, a domowi
ton poważniejszy.
Korski powstał znudzony.
— Pozwól, że pomówimy o zachciance tej wtedy, gdy w pięknej
balowej sukni i
brylantach. iechać będziesz na następną zabawę. Żałuję, Iro, żeś mi
takiemi
błahostkami czas

zajęła. W kantorze czekają ranie niecierpiące zwłoki interesy.
Zasmucona, jak dziecko, niesłusznie skarcone, młoda kobieta
pozostała długi czas
na tem samem miejscu, w smutnych myślach pogrążona. Henryk nie
chciał jej
rozumieć; wzbraniał się pojąć, że odkąd, wskutek przyjętych na siebie
obowiązków, pozostawiał ją tak często samą, zaczynała czuć pewną
próżnię, dokoła
siebie. Były chwile, w których własne myśli nie zupełnie jej
wystarczały, a

cisza i monotony tik-tak zegarów przerażał poprostu.
Podniosła się i, jak ptak w klatce, zaczęła chodzić po gabinecie.
Miękki tren
szlafrocza posuwał się bez szelestu po puszystym dywanie, brzydka
głowa satyra
szczyrzyła do niej zęby, w złośliwym, szpetnym uśmiechu.
Chciała czytać, ale książka nie zdołała przykuć jej uwagi. A może —
wyrzucała
sobie — była w rzeczy samej niedelikatna i zrobiła przykrość
Henrykowi, może
nawet naraziła go na stratę, zatrzymując w chwili, gdy go czekano w
biurze z
ważnymi interesami?
W tem, spojrzenie jej, błędząc po gabinecie, spostrzegło na otomanie
srebrną
papierośnicę Henryka, przyozdobioną złotą koroną hrabiowską i
herbem Iry,
fantazyjnie w rogu umieszczonym.

— Zapomniał, a gotów myśleć, że zgubił i niepokoić się będzie stratą
ulubionego
portecigare.

Przystąpiła szybko do eleganckiego na biurku telefonu.
Połączenie go z kantorem było dziełem jednej chwili.

— Proszę powiedzieć panu Korskiemu — zaczęła Ira.
Słowa jej wszakże urwały się; po drugiej bowiem stronie zapewniano
ją, iż pan
pryncypał, jak o tem wczoraj z góry uprzedził, nie był dziś wcale w
kantorze.

Sądząc, że to pomyłka, że podwładni nie chcą może Henrykowi w
pracy
przeszkadzać, wymieniła nazwisko swe, lecz i tym razem zapewniono
ją stanowczo,
iż pan Korski nie był dziś wcale w biurze. Dała stacyi centralnej znak
rozłączenia i stała znów sama, wobec śmiejącego się szyderczo satyra,
z

papierośnicą w rękę. Dla czego mówił bezcelową nieprawdę, dla
czego rzucał jej w
oczy fałszem, tą ohydą życia? Spojrzała na sprzączkę Zbytkowny,
trzymany w dłoni.
Wszak ten herb złożony, do którego nie miał prawa, był też fałszem i
fałszem
również przybita w rogu hrabiowska korona...
Nie po raz pierwszy uderzało ją to zresztą; nie poraz pierwszy wzrok
jej,
oswobodzony z łuski współ-dziecięcych zachwyków i unie-

sień, czytał jasno w duszy Henryka. Prosta dedukcja, oparta na
zestawieniu zasad
i czynów, a prowadzona ze spokojną, bystrością sądu, pozwalała jej
dokładnie
ocenić głąb jego duszy i właściwą, istotę moralną. Był to jeden z tych
sympatycznych lekkoduchów, którzy ładną powierzchownością, i
ujmującym obejściem
narazie wszystkich sobie jedną. Przy bliższem jednak pozyciu, nikną
przymioty,
na których możnaby polegać, a występuje coraz silniej podobieństwo
do czary
szumiącego, z góry nalanego szampana: masa słodkawej miłej dla
podniebienia
pianki, lecz treści ożywczej i wzmacniającej, zaledwie kropel kilka.
Jesień następna mniej już była dla Iry samotną, spędzała ją bowiem
przeważnie
przy kołysce syna. Wielka miłość dla tej ludzkiej drobiny, śpiącej
wśród
błękitnych jedwabi i koronek, wypełniała jej sercu po brzegi. Długie
miesiące,
strawione prawie sam na sam z własnymi myślami, przygotowały ją
do tego
głęбоkiego uczucia, budząc w dumnej a czystej jej duszy wrodzone
pojęcie

tradycji, dostojeństwa jej i surowych obowiązków, jakie nakłada. Ta wąta
dziecina stawała się nieprzygodnym w życiu jej wypadkiem, nie złem koniecznym w
ustroju rodziny, lecz najżywotniejszą treścią jej istnienia.

Śmiejąc się poniekąd z tej egzaltacji i przesady, jak zwykł uczucia
żony
nazywać, Henryk Korski, wzruszony jednak niemi, mimo swej woli,
zaniedbywał
nawet "niecierpiące zwłoki interesy" i więcej znów czasu w domu
przebywał. Z
jednej wszakże strony niecierpliwił go serdeczny węzeł, jaki
narodziny wnuka
nawiązały między starym Wilhelmem Korskim a synową. Z drugiej,
długie wieczory
jesienne wymagały, według niego, niezwłocznego nawiązania
przerwanych stosunków
towarzyskich. Stary Korski mógł przecież i pod ich nieobecność
przychodzić do
kołyski wnuka; taki to dobry cel spaceru, jak każdy inny — rezonował
Henryk, —
trudno jednak, aby oni dlatego zrywali z całym światem i wiecznie w
domu
siedzieli.
Ira nie myślała tego żądać, ani wymagać; rozpoczęła się więc druga
zima jej
tryumfów towarzyskich.
Natura ich wszakże, wraz z usposobieniem młodej kobiety,
gruntownej uległa
zmianie. Z bożyszczka kół tańczących, pani Ira Korska teraz dopiero
stawała się
prawdziwą gwiazdą salonów. Piękność jej, rozwinąwszy się, jak kwiat
cudny, w
pełnym będący rozkwicie, nabrała odcienia powagi i nie porównanego
wdzięku

kobiecości. Jeżeli też gogowie, w czerwonych frakach i żabotach,

mniej się do niej garnęli, salony przemysłu i plutokracji zaczęły ją
wzamian

uważać za wyrocznieść smaku i wykwintu, toalet i bogactwa.

Przechodząc do kół towarzyskich, poważniejszych inteligencją i
stanowiskiem, Ira

umiała pociągnąć ku sobie wszystko, co umysłem i wykształceniem
wyrastało po nad

miarę powszedniości. Złośliwi nazywali to "dworem pani Korskiej";
każdy jednak z

niepowołanych byłby chciał do dworu tego należeć. Niestety,
nieliczna ta,

wyborowa grupa towarzyska, tonęła, jak kropla w morzu, wśród
próżnej, strojnej a

błyskotliwiej falangi, jaką jej mąż narzucał i przyjmować u siebie
kazał.

— Proszę cię, Henryku — błagała kilkakrotnie, — czybysmy nie
mogli, wśród tej

masy ludzi wybrać tych, z którymi sympatyzujemy więcej?

— Oho, — przerywał złośliwie, — urządzilibyśmy sobie małą
akademję. Dziękuję za

podobny pedantyzm.

— Nie; poprostu ograniczylibyśmy, stopniowo i bez obrazy dla
nikogo, nasze

stosunki towarzyskie. Pozwoliłoby nam to częściej pozostać w domu.

— Zgoda, ale gdy przestaniesz być piękną, gdy się postarzejemy
oboje. Niejestem

zazdrosnym chciwcem, który chciałby tak ukryć

słońce, aby ono dla niego jednego tylko świeciło.

— W rzeczy samej — wyznała z pewnym smutkiem, — nie jesteś
wcale zazdrosny.

Korski spowaźniał.

— Kobiety z takiego, jak ty nieskalanego gniazda i z twoim charakterem, nie potrzebują dozoru: ufność jest najlepszą względem nich bronią. Jeżeli jednak zostawiam ci swobodę, proszę o nią nawzajem i dla siebie... choćby w wyborze stosunków towarzyskich, Są mi one potrzebne i, dlatego, Iro, żadnych ograniczeń. Być piękną, strojną, bogatą i ogólnie uwielbianą, to chyba dola, z którą łatwo się pogodzić. Wszystkie kobiety zazdroszczą, ci przecież. Ira westchnęła cicho. Tak, ogólnie zazdroszczono jej tak wielkiego szczęścia.

ROZDZIAŁ VIII.

Ubrana w suknię miękką, puszystą od koronek, Ira samą była, jak zwykle. Ponury dzień grudniowy rozszalał się wichrem i śniegiem na ulicach. Ciężkie firanki tak mało przepuszczały szarego, jakby ołowianego światła, iż w salonach półmrok panował. Ten nastrój i cisza bardzo miłe były Irze. Wiedziała, iż w dniu, w którym ich nie czekają żadne obowiązki światowe, Henryk nie prędko do domu powróci. Ukołysawszy więc syna swego do snu, kazała zapuścić story i zapalić lampy, w nadziei, że ciche to, a miękkie otoczenie pozwoli jej skupić myśl przy czytaniu. Przyćmione abażurami światła i wesoły ogień na kominku nadały salonikowi cechę poufnej siedziby. Ira, przysunąwszy blado-seledynowy w stylu

secesyjnym utrzymany "balzak" do kominka, zagłębiła się w nim wygodnie, sięgając po złożoną na sto liczku książkę. Oczy jej, biegnąc w dal, zatrzymały się na własnej postaci, odbitej w przeciwległym zwierciadle. Uśmiechnęła się mimowoli. W oświetleniu fantastycznym iskier i płomieni, w różowych odbłyśkach, rzucanych na nią

przez abażur obok stojącej lampy, piękność jej jakiegoś tajemniczego nabierała blasku. Z ręki, podniesionej do góry po nożyk z kości słoniowej, opadł szeroki, białym atłasem podbity rękaw, odsłaniając przedramię, jak atłas również białe i delikatne.

— Hrabia Alfred Bończa-Haliński zapytuje, czy jaśnie pani raczy go przyjąć? — zabrzmiał u progu głos służącego.

— Cooo?

— Wiedziałem, droga kuzynko, że nazwisko moje wywoła w progach twoich zdumienie i, dlatego, nie czekając na rozkaz, a mocny prawem pokrewieństwa, przystęp do nich siłą zdobywam.

Lokaj cofnął się dyskretnie, przed Iraw zaś stał gość tak niespodzianie wprowadzony.

Przez chwilę nieporuszeni, patrzyli na siebie ciekawie, badając zmiany, jakie czas w obliczach ich wyryć zdołał. Wreszcie Ira, przyprowadzona do równowagi zachwyconym wzrokiem mężczyzny, którego bystrem oczom nie uszedł żaden rys znamieny, od białego obnażonego ramienia i głowy klasycznej, aż do wykwintnych szczegółów domowego jej stroju, podniosła się żywo, obie wyciągając dłonie.

— Ty, Alfredzie, tutaj? Własnym uszom wierzyć nie chciałam. Co za radość!

— Gdybym mógł przeczuć, że mnie takie czeka przyjęcie, dawno może wróciłbym do kraju.

Całował z wolna jej rękę, patrząc z podziwem w rozpromienione radością rysy młodej kobiety.

Witała go ze wzruszeniem, jak kogoś drogiego, a dawno niewidzianego. Hrabia

Haliński odczuwał to, piękność zaś i radość Iry widocznie i jemu rozgrzewały serce.

— Droga kuzynko — zaczął.

— Cóż za ceremonialna nazwa — przerwała z oburzeniem.

— A więc, skoro pozwalasz, droga Iro, wracam do praw dawnych. Że nie śmiałem

tego sam uczynić, nic dziwnego. Wszak wyjeżdżając z kraju, pozostawiłem cię

wdzięcznym podlotkiem Zaledwo, dziś zaś zastaję, nietylko kobietą skończoną,

lecz żoną nieznanego mi człowieka.

— I matką ślicznego syna — uzupełniła z dumą.

— Ten zachwyty naiwny a szczerzy dla własnego dziecka tem więcej nadaje ci uroku

w mych oczach. Nie dziw się jednak, iż w podobnych warunkach nie śmiałem nawet

ja, zapomniany może krewny, u drzwi się twoich meldować.

Biała ręka Iry wyciągnęła się ponownie ku niemu.

— Nie zapomina się tego, który przez długie, a drogie dla każdego lata pierwszej

młodości. był mi bratem oddanym.

— Jednak manją włóczęgi pociągnięty, nie umiał pozostać nim wtedy,
gdy

dorósłszy, potrzebowałaś go może.

— Tak... w chwilach, kiedy małżeństwo moję rozstrzygane było,
brakło mi ciebie,

Alfredzie, brakło bardzo nieraz.

Głowa jej smutno ku piersiom się pochyliła.

Trwało to sekundę tylko. W obawie, aby słów jej nie wziął za
wymówkę, odegnała

wspomnienie i, żywo podnosząc piękne, płomienne swe oczy, z
radością utkwiała je

w przybyłym.

Hrabia Alfred Haliński zwykł był nietylko pociągać, lecz przykuwać
do siebie

spojrzenia. Typ nawskroś polski i rasowy, miał on w wysmukłej
postawie i w

każdym ruchu cechę wielkiego pana, arystokraty z urodzenia,
wychowania i

nawyknień. Wysokie czoło i siwe rozumne oczy mówiły o
inteligencji; nos prosty i

wąs jasny, duży, odsłaniający "kształtne usta, składały się na
powierzchność

metyle piękną regularnością rysów, ile pociągającą wyrazem siły i
prawości.

Żadnej pozy

żadnej kokieterii; pełna nietylko wykwintu, lecz i pełna prostoty
elegancją

stroju, oraz bardzo delikatne, długie i wązkie, jak u kobiety, piękne
ręce. Te

dłonie, świadczące, iż w rodzinie jego od wieków pracy ciężkiej
nieznano, oraz

bujne wąsy, jaśniejsze o kilka cieni od krótko przystrzyżonych
włosów, były

szczegółem najcharakterystycznym w powierzchowności Halińskiego.

Ira patrzyła na niego ze wzrastającą przyjemnością. Tak dawno, dawno nie miała

tu nikogo ze swoich. Była to pierwsza, bliska jej krwią, urodzeniem i tradycyjnai istota; patrząc też na nią, zrozumiała silniej, niż kiedykolwiek, jaką moc posiadają węzły rodzinne i jak trudno na obcy pień je przeszczepie".

Przysunęła własną ręką do kominka fotel secesyjny, w ramę z seledynowego pluszu

ujęty, a gdy Haliński zajął naprzeciw niej miejsce, w tem samym fantastycznym

oświetleniu ogniska, zapytała uprzejmie:

— Pamiętam, że lubiłeś dawniej herbatę, przezemnie nalewaną; może pozwolisz

podać ją teraz?

— Ależ i owszem; wdzięczny ci będę. Herbata, piękna kobieta, w takim uroczem

teagown i kominek, to razem rozkoszne połączenie.

Pani Korska dotknęła dzwonka.

— Proszę o herbatę, — rozkazała służącemu — i zastrzegam, że nie ma mnie dziś w

domu dla nikogo, stanowczo.

— Dziękuję — mówił Haliński, śledzący bacznie każdy rys jej i ruch każdy.

Pochyliwszy się zaś ku niej, dodał, jak gdyby stwierdzając fakt, przed chwilą

zbadany:

— Czy wiesz, Iro, o tem, że jesteś niepospolicie piękna?...

Uśmiechnęła się obojętnie.

— Aa, mówiono ci to za często widać.

— Tyle mamy rzeczy do powiedzenia sobie! Z tobą więc wolałabym o innych

gawędzić przedmiotach, — brzmiała wymijająca odwiedź.

Przerwano im rozmowę wniesieniem zastawy: Za chwilę,
pozostawieni sobie,
siedzieli przed kominkiem, przedzieleni tylko maleńkim stolikiem,
na którym
filizanki saskie walczyły wykwintem swym o lepsze z filigranowymi
koszami
srebrnymi do ciast i cukru.
Hrabia Haliński patrzył w milczeniu na śliczne ręce Iry, rozlewające
herbatę. Te
ręce były rysem rodzinnym, wspólnym im obojgu. O tyle rzeczy
chciał ją pytać, iż
na razie me próbował zacząć od niczego, rozkoszując się samym jej
widokiem

— Powiedz mi, Alfredzie, — zaczęła pierwsza, zajmwszy dawne swe
miejsce, — co
cię trzymało tak długo poza granicami kraju?
— Kalectwo moralne, moja droga.
— ?
— Oczy twoje pytają ze zdumieniem, co to znaczy? Wstyd przyznać,
ale na jasno
postawioną kwestyę mogę tylko szczerą dać odpowiedź. Poza
granicami kraju
trzymało mnie kalectwo moralne, rodzaj choroby, oddawna przez nas
noszonej, a
którą Płoszowski ujawnił dopiero. Nieostrożność, z jaką ten pan bawił
się w
pisanie nader szczegółowego dziennika, pomogła społecznym
psychjatom do
postawienia i publicznego ogłoszenia dyagnozy cierpienia, które przez
atawizm na
wielu z nas spada. Obecnie więc, jako dokładnie przez specjalistów
zbadane, nosi
na sobie kartkę z napisem *improdctivite slve*,
— Mam nadzieję, Alfredzie drogi, że u ciebie nie stało się ono
przecież złem

chronicznym?

— Nie; lecz wzamian przebieg jego został zaostrzony objawami drugiej groźnej choroby, zwanej: dyletantyzmem artystycznym. Jest to także nowotwór, lecz o złośliwszym od poprzedniego charakterze. Jeżeli osobnikowi dotkniętemu pierwszym cierpieniem, wystarczyłoby promenowanie swej godności genjuszu

bez teki po bulwarach paryskich lub wybrzeżu Riviery, to sługa twój, Alfred Haliński, zarażony mikroblem dyletantyzmu, nie mógł spocząć, dopóki pozostał w Europie choć jeden nieznanemu mu obraz, jeden zakątek klasycznej Italii, niezdepatny własną jego nogą.

— Czy ty zawsze szydzisz z siebie?

— Phi, — wolę to, niż żeby inni szydzili ze ranie. Zresztą, stwierdzam tu fakty jedynie. A więc ów zacny przodownik rodu Halińskich, wiedząc, że pradiadowie zapewnili mu możliwość próżniaczego żywota, postanowił zużyć go w sposób, przynoszący im zaszczyt, poświęcając się protegowaniu literatury i muzyki. Gdy więc, we Włoszech klepał Mascagni'ego po ramieniu, a w Paryżu obiadował z, 'nieśmiertelnymi', czy wolno mu było w takich warunkach marzyć o powrocie do kraju?

Purpurowe usta Iry rozchyliły się wesoło.

— Śmieję się, moja droga, śmieję... To jest rzecz najniewinniejsza, jaką możesz uczynić Co do mnie, jabym się z kuzynem twoim, mości Halińskim, znacznie srożej obszedł.

— Skoro wrócił do nas, — żartowała — należy mu się, jak synowi marnotrawnemu,
nie nagana, lecz uczta wspaniała i przebaczenie win wszelkich.

— Niestety, łatwiej jest otrzymać rozgrzeszenie ludzkie, niż z grzechów pewnych
sobie samemu dać absolucję. Ale, dosyć o mnie, Iro. Do cennego tego przedmiotu
będziemy mieli czas powrócić jeszcze niejednokrotnie. Powiedz mi teraz, —
nachylił się spojrzął jej głęboko w oczy, — powiedz mi, Iro, czy ty jesteś
szczęśliwa?
Łuna rumieńca przebiegła przez jej lica, pozostawiając je natychmiast bledszymi
niż zwykle. Na to pytanie, tak serdecznym, a poważnym uczynione głosem, na
spojrzenie głębokie oczów, w których bratnią odczuwała duszę, nie chciała
banalnej, zdawkowej dać odpowiedzi. Zaczem zaś inna, z serca płynąca wybiegła
jej na usta, podniesiono żywo portyere i od progu zabrzmiał podrażniony głos
kobiocy:
— Cóż to, Iro, twoja służba nawet mnie wzbrania dziś przystępu? Pochylona ku pięknej kuzynce głowa Halińskiego cofnęła się mimowolnym ruchem,
oczy zaś obojga równocześnie ku drzwiom pobiegły. Podtrzymując jedną ręką fałdy seledynowej portyery, stała w jasnym
tem
obramowaniu postać fantastyczna, jakby z żywego obrazu wyjęta.

Zdobywszy przebojem drzwi, pomimo protestu służby, weszła tu w ciemnej rotundzie

futrzanej, która, ruchem ręki rozwarta, na brzegu ramion trzymała się tylko,
szeroką draperyą spływając ku ziemi. Na tle tych fałd, odcinała się tem żywiej
obcisła, a krótka, granatowa amazonka, podniesiona na guziczek z jednego boku i
odslaniająca wysoki lakierowany bucik, ze złoconą ostrogą u obcasa. Zarumieniona od zimna, z oczami, roziskrzonymi podrażnieniem i zwichrzonymi
włosami, które buntowniczo z pod granatowego beretu się wysuwały, mierzyła ich
podejrzliwym widocznie wejrzeniem.

— Aa! — rzuciła z nieukrywaną ironją, — przepraszam!

Przeszkadzam, jak widzę.

Pani domu, spokojna, panująca nad sobą, stała już przy niej.

— Przeciwnie; nietylko nie przeszkadzasz, lecz miło mi będzie, gdy wypijesz z

nami filiżankę herbaty. Józefie zabierz futro pani.

Oswobodzona z rotundy amazonka nie przestawała jeszcze mierzyć podejrzliwym

okiem strojnej toalety pani domu, stoliczka z zastawą i tego, niezrozumiałego

dla niej widocznie tête-à-tête z nieznanym jej mężczyzną.

— Posłyszawszy, że nie przyjmujesz, przestraszyłam się, w przekonaniu że

mążtwój lub syn zachorował może.

Była to znów strzała zatruta, rzucona od niechcenia, a jednak z całą złośliwą

intencją Ira przyjęła ją z niezamaconym spokojem.

— Zdrowi obydwaj, dzięki Bogu. Co do mnie zaś, chciałam po prostu uniknąć

obcych a natrętnych wizyt. Ale proszę cię dalej.

I szły obie ku Halińskiemu, żywą grą płomieni oblane, a tak różne, jak przeciwstawię nie dwóch pojęć sprzecznych i dwóch przeciwległych biegunów.

Hrabia, stojący przy kominku, z ręką o fotel wspartą, porównywał okiem znawcy upostaciowanie tych dwóch tyłów odrębnych. Ira, wysmukła, gibka, w sukni powłóczystej, o miękkich fałdach i jasnych tonach, przedstawiała przy tym płonącym ognisku, żywe ucieleśnienie opiekuńczego jego ducha. Przybyła, o figurze bardzo krępej, zwichrzonych włosach i oczach rzucających iskry, stukając obcasami i dzwoniąc ostrogą, zdawała się wnosić tu z sobą żywioł wojowniczy, przyczem ręka, w elegancką spicróżgę uzbrojona, uderzała nią nerwowo po sztylpie lakierowanego bucika. Gdy stanęły przed kominkiem, Ira podniosła ku kuzynowi spojrzenie słodkie, jakby o względność proszące.
— Pozwól, — wyrzekła, — że cię przedstawię siostrze mego męża. Doro, mój brat stryjeczny, a bardzo drogi i jedyny zarazem krew-

ny tego nazwiska: Hrabia Alfred Bończa-Haliński. Hrabia chciał pochylić się w głębokim ukłonie, lecz przeszkodziła mu w tym ręka dość duża, duńską rękawiczką objęta, a z koleżeńską skwapliwością, gestem półokrągłym, wyciągnięta ku niemu. Podał nawzajem szybko dłoń swoją. Gdy jednak palce amazonki uścisnęły ją nerwowo, a łokieć jej równocześnie podniósł się do pół biustu w górę, pod jasnym wąsem mężczyzny przebiegł niepowściągnięty uśmiech.
— Zkądżeż, Doro, jesteś o tę porę w ubraniu do konnej jazdy? — pytała pani domu, z nieukrywanym zdziwieniem.

— Och, na świecie zmrok dopiero, a wracam z maneżu. Wiesz, że pasjonuję się do sportu, nad który nie znam nic szczytniejszego. W oczach Halińskiego, pod wpół przysłonię, temi powiekami, szybko wesołe zadrgały błyski. Panna Korska w lot je dojrzała. Siadając też "po kawalersku", z nogą na nogę założoną, co uwydatniało lakierki ze sztylpami i ostrogą, a zarazem pozwalało widzieć sięgające do nich, granatowe, jak amazonka, w dwóch "uzupełnienia", założyła trzymanawzrok ku rekach spicróżgę kolano i śmiało wzrok ku memu zwróciła.

— Pana bawi, że ja konną jazdę nazywam, najszczytniejszą z rzeczy rai znanych. Gdyby hrabia jednak, zobaczył nasz karuzel w historycznych strojach, pewno, przeniesiony w inne wieki i światy, za poezyę tego widowiska zupełną przyznałby mi słuszność.

— Pani, ja już się czuję przeniesionym w inne światy, — brzmiała z ukłonem dana odpowiedź.

— A, więc wprawiacie się w dalszym ciągu? Kiedyż się odbędzie przedstawienie to, na rzecz waszej ochrony?

— Jeszcze dzień nieoznaczony. Ale, skoro mi dajesz herbaty, Iro, może masz cytrynę i kieliszek araku; zmarzłam trochę; poncz najlepiej by mi krew poruszył. Ira, jakby zawstydzona, zadzwoniła po pożądaną trunek. Panna Dora wypiwszy całą filiżankę mocnego pończu, rzuciła się bez ceremonii w róg "balzaka" i, wpół

leżąc, nogi ku płomieniom kominka wyciągnęła.
Haliński przyglądał jej się z nietajoną ciekawością. Zadarty nosek i
usta
purpurowe, oczy roziskrzzone a cera brzoskwini, postać zaś cała
widocznie
nadmiarem temperamentu dysząca, posiadały specyficzny swój urok i
charakter.
Zarówno bowiem cechy te, jak figura pełna życia, o wydatnie
rozwiniętym biuście,
wskazywały krew silną, wzmacnianą

pracą fizyczną wśród szerokiego tchnienia pól i lasów; niewyczerpaną
zaś
umysłową kulturą, i wyrafinowaniem cywilizacyjnym długich
pokoleń.

Ow typ nowy, którego pochodzenie było dla Halińskiego jasno, jak na
dłoni
wryte, bawił go niepomiernie.

— Jak tu dobrze — mówiła panna Dora, grzejąc zręczne, choć zbyt
pełne nóżki.

Hrabia na długo do Warszawy przyjechał?

— Być może, iż na całą zimę.

— Ira niejednokrotnie wyglądała pana. Ona by wszystkich do kraju
przykuła. Co

do mnie, — dodała, z zalotnem wejrzeniem, jestem zupełnie
pańskiego zdania, i

gdybym była samodzielna, gdyby mnie wzgląd na rodziców nie
zatrzymywał,

zapisalabym się natychmiast, idąc za pańskim przykładem, na listę
wiecznie

"nieobecnych".

Haliński, który dopiero co tłumaczył się tak serdecznie z włóczegi
swej przed

Irą, teraz gdy obca ręka dotknęła tego, drażliwego dla niego
przedmiotu, sztywne
zachował milczenie.

— Powtarzam — ciągnęła z wyzywającym naleganiem, że na tyra punkcie dzielę w
zupełności zdanie pana hrabiego.

— Daruje pani, lecz ja go dotąd nie wypowiedziałem.

— Jeżeli nie słowem, to czynem — odrzuciła śmiało.

— Droga Doro, wiesz przecież, że pomimo najszczerzej woli, nie
każdy

przekonania swe faktami poprzeć może — tłumaczyła jej bratowa,
przychodząc na

pomoc Halińskiemu. — Miedzy naszymi czynami a chęcią, życie
kładzie rozdźwięk

często.

A więc hrabia Haliński, który cały szereg lat nie wracał do kraju, ku
naszemu

zbudowaniu, głosi teraz może...

— Tak pani — przerwał, powstawszy z kapeluszem w rękę — sądzę i
głoszę śmiało,

że każdy powinien zostać na tym gruncie, na jakim urodził się i
wzrastał.

Flancowanie na obcą glebę nie zawsze pożądane przynosi owoce.

Panna Dora udała, że niedostrzega dwuznacznej w słowach tych
intencji, a

podniosłszy ua pożegnanie łokieć i rękę Halińskiego, do wysokości
pełnego swego

biustu, uścisnęła ją po koleżeńsku, dodając:

— Twierdzenie podobne, to wykrętny sofizmat. Co do mnie, j'appelle
le chat un

chat, et Rolet un fripon. Skoro pan zostaje na stałe z nami, przekonam
go

jeszcze o tem i na moją nawrócę wiarę.

Hrabia skłonił się w milczeniu, na znak odpowiedzi, a całując rękę
Iry, mówił ze

smutkiem:

— Miałem dziś przedsmak tylko powrotu do domu... Daj mi go utrwalić... Chciałbym pomówić z tobą, o wspólnych nam stosunkach rodzinnych, pragnąłbym pokazać ci trofea z włóczęgi po świecie przywiezione.

— W takim razie, zrób mi tę przyjemność i przyjdź do nas jutro na obiad, Alfredzie, zapoznam cię z moim mężem, poczem już wieczór cały spędzimy razem.

— Dziękuję i stawię się niezawodnie.

— Gdy zaś pani Korska odprowadzała go do drzwi saloniku, zatrzymał się raz jeszcze.

— Iruś — mówił półgłosem, a w niej serce zadrżało, na to dawne pieśzcotliwe nazwanie, nie słyszane od dzieciństwa, Iruś, na tamto pytanie nie dawaj już odpowiedzi... Sam ją przez porównanie znalazłem. Chciała odpowiedzieć, że, aby o szczęściu jej wyrokować, musi poznać jej męża i życie, zobaczyć syna, ale Haliński zniknął już za opadającą draperyą ciężkiej portyery.

ROZDZIAŁ IX.

Osiedlenie się w Warszawie krewnego, o starem, arystokratycznym nazwisku i autentycznym tytule, a znacznej fortunie przytem, było dla Henryka Korskiego niespodzianym atutem, który jak sądził, Opatrzność? sama do kart jego życiowych rzucała.

Serdeczne, braterskie uczucia Halińskiego dla Iry, tem więcej mu pochlebiały.
Wysiliwszy też całą swą dobrą, wolę, całą wrodzoną mu, a ujmująco, giętkość umysłu i charakteru, dla zjednania sobie hrabiego, postanowił stosunek ten bliski, a zażyły, zamanifestować przed światem, wydając raut na cześć powrotu hrabiego Alfreda, po długiej nieobecności, do kraju.
Myśl ta nie chwytiała za serce ani Iry, ani jej krewnego; dla woli Henryka wszakże żaden nie istniał, opór. Używał przy tem argumentów, mających cechę słuszności za sobą. Wypadało im przecież, za doznawaną wszędzie gościnę, odwdzięczyć się wielką zabawą. rozpoczynając zarazem stale, jak zeszłej zimy, tygodniowe u siebie przyjęcia. Skoro zaś hrabia ma zamiar spędzać odtąd zimę w Warszawie i zgrupować około siebie czoło inteligencji, czyż nie lepiej, aby poznał od razu cały

odłam towarzystwa warszawskiego i wybrał w niem te jednostki, które mu do smaku przypadną?
Zajechawszy w dniu oznaczonym przed mieszkanie Korskich, Alfred Haliński zdziwiony został pompą i zbytkiem, jaki Henryk dla gości swych roztoczył.
Hrabiemu, który wczoraj właśnie poznał panią Bertę z Müllerów i starego fabrykanta, mimowolny uśmiech przewinał się przez usta. Zdawało mu się, iż słyszy ostry, kanciasty głos "matki", wołający z przerażeniem:

— Herr Je! Herr Je! Co ten Hendryk z piniendzmy wyprawia!
Pracowaliśmy na nie
własnymi rękami, a on chce nas zgubie tera! Schody, od bramy
wjazdowej, aż do
drugiego piętra, zajmowanego przez Korskich, zamieniono w jedną
kwiecistą oazę.
Szkarłatne sukno pięło się ku górze, wśród szpalerów drzew
pomarańczowych, i
przecudnych, cieniami dobieranych złocieni. Lokaje w pończochach i
trzewikach,
przy stylowej liberyi zdejmowali futra i płaszcze, na progu zaś
pierwszego
salonu Ira Korska w białej sukni balowej bieżnymi chryzantemami
pokrytej, witała
licznie napływających gości, których mąż jej dalej już prowadził i na
przeznaczonych miej-

Haliński zatrzymał się, obejmując okiem znawcy postać jej uroczą, a
tak idealną,
całą, od głowy niewielkiej, dumnie osadzonej na szyi łabędziej i
ramion
marmurowych, aż do wąskiego białego pantofelka, wysuwającego się
z pod sukni.
Żadnych ozdób, żadnych klejnotów, nic, prócz pereł na szyi, a ta
prostota stroju
zdawała się podnosić jeszcze wdzięk jej wrodzony.
Ira, spostrzegłszy go, radośnie wyciągnęła rękę. Byli na chwilę sami.
— Nareszcie — mówiła głosem stłumionym, — wśród tylu
obojętnych postaci i figur
antypatycznych, jedna twarz droga. To już trud okupuje. Zostań
chwilkę ze mną,
Alfredzie.
— Nie lubisz świata tego, Iro?
— Je le deteste franchement — szepnęła, rzuciwszy oględnym
spojrzeniem do koła.
— Dla typów pojedynczych.

— Nie, te bywają nieraz nader sympatyczne, ale dla ogólnego nastroju, jako klasy społecznej.

— Iruś, wyglądasz dziś na uosobienie kwiatu, na jakąś bajeczną boginkę.

Podniosłszy ku niemu wdzięczne spojrzenie, spostrzegła, że i w Halińskim strój balowy podnosił jeszcze urodę i dynstynkcyę.

— Z jednego pnia wyrosliśmy, Alfredzie, — odrzuciła z serdecznym na ustach uśmiechem.

— Pochlebница. Loreley, która nawet brata wabi i nęci. Napływ nowych gości rozdzielił ich; pani domu nie należała dziś do siebie.

W wielkim salonie, oświetlonym à giorno, ustawiono półkolem niezliczone rzędy złożonych krzeseł, po bokach tylko pozostawiając wolne przejście.

Prowizoryczna, urządzona w głębi estrada, dźwigała wśród kwiecica i zieleni, przepyszego Blüthner'a i kilka pulpitów do nót. Firanki, portyery, draperye, wszystko to zdjęto, gwoli akustyki. Pozostały tylko zwierciadła i obrazy, oświetlone setkami świec płonących w wielkim żyrandolu, oraz w całym szeregu kandelabrow z saskiej porcelany lub starożytnego brązu, ustawionych wzdłuż ścian i na estradzie.

W łagodnera tem oświetleniu, lśniące materye i białe ramiona, brylanty w dyademach i szafiry w oczach kobiet, miękkiego, rozmarzającego nabierały blasku.

Krzesała w połowie już były zajęte. Wogóle ze względu na szczupłość prywatnego lokalu, rezerwowano je głównie dla dam Star-

si tylko, a mający prawo do wyjątkowych względów mężczyźni,
pozwolali sobie
zabierać wśród nich miejsce. Falanga też czarnych fraków tłoczyła się
w
przejsiach lub rozpierschła po sąsiednich salonach.
Henryk Korski, z bukiecikiem fiołków u klapy fraka, strojny,
promieniejący, dużo
miał pracy i nie łatwe zadanie. Każdej z dam przywitanych przez Ire,
podawał
równocześnie: ramię i bukiet fiołków, wyjęty z olbrzymiego rogu
Amaltei,
ustawionego przy wejściu, poczem, wiodąc ją do sali głównej,
umieszczał,
pozornie najbliżej estrady, faktycznie zaś, na takim miejscu, do
jakiego
stanowisko, zajmowane w świecie, dawało jej prawo.
Była to misya delikatna, a nader trudna. Aby z niej wyjść zwycięzko,
nieobrażając niczyich drażliwości, młodsze panie i panienki
skierowywał odrazu
na koniec sali, do ostattnich rzędów, tłumacząc ze swobodą
światowca:
— Mężczyźni nigdy by mi nie darowali, gdybym bożyszczce umieścił
tam, gdzie dla
nich wstęp wzbroniony. Tu, dalej od muzyki, można raniej słuchać,
gawędząc w
zamian, i flirtując za wachlarzem.
Nie dodawał, że miejsca te pozwalały również, wysunąć się
dyskretnie do
sąsiednich sa-

lonów, oswobodzając się w ten sposób od oficjalnego programu
zabawy.

Gdy hrabia Haliński stanął na progu sali, przedstawiała ona, wskutek
powyższej
dyplomacji pana domu, zabawny w swoim rodzaju widok. W
pierwszych rzędach
krzesel bowiem wachlował się, wielkimi kiściami piór strusich, tuzin
jakiś dam
doletnich, o bardzo silnych, dekoltach i bujnie rozlanych kształtach, a
na
twarzach ich, nie obcych sztuce malarskiej i przesytowi, widniała już
najstraszniejszą ze zmor towarzyskich: nuda. Owe kiście piór
wspaniałych, w
szylkret lub masę perłową oprawne, a zdobne złotymi i brylantowymi
nieraz
monogramami, służyły im, już teraz, do maskowania ziewnięć
ukrytych. Główną, też
w danej chwili rozrywką ich, było nieznaczne lustrowanie tualet
swych i
klejnotów, z rzadką rozrzutnością na piersiach dam nagromadzonych.
Po za nimi widniał złoty pas pustych krzesel, na których nikt
właściwie usiąść
nie miał ochoty, w obawie, że raz tam zabarykadowany, straci
swobodę ruchów na
cały wieczór; w ostatnich zaś rzędach, otoczonych panami, roiło się
od świeżych
twarzyczek i ramion nagich, szczuplejszych, a dyskretniej
Osłanianych. Pustka
środkowa nie straszy-

ła Korskiego; wiedział zgóry, że wszystkie miejsca szczelnie
zapełnione zostaną.

Na progu sali powitał Halińskiego.

— Cóż to, jak widzę, koncert dziś u was en forme?

— Włosi zaśpiewają nam duet z "Don Juana" i "Rusticanę", a później
część

symfoniczna i solo naszego mistrza skrzypiec.

— Ależ to zajmie noc całą?

— Broń Boże! Tylko czas do wieczery. Czemżeż zabawilibyśmy te wszystkie bardzo muzyczne damy. Ty jednak, drogi Alfredzie, nie potrzebujesz słuchać wszelkich produkcji. Wszak inne pokoje pozostawiają, gościom naszym zupełną swobodę zabawy.

W drzwiach stanął staruszek, o długich siwych włosach i minie wyrażerowanego dyplomaty.

Korski poruszył się żywo:

— Panowie się nie znają? Hrabia Alfred Bończa-Haliński, mój szwagier; pan

Wohlberg, głośny finansista, a przede wszystkim rozmiłowany w pięknie esteta.

I, odwołany obowiązkami gospodarza, Henryk zostawił ich samych.

Halinski przypatrywał się ze zdziwieniem szczupłej figurce geszefciarza. Ani

strój wy-

kwintny i charakterzacya na dyplomate, ani przybrana mina d'un pere noble nie

mogły tu zmylić bystrego oka. Zaszuszone bowiem, ostra, chciwa maska, mówiła

wyraźnie o życiu, strawionem na spekulacyach giełdowych.

"Rozmiłowany w pięknie esteta", był jednak salonowcem

przede wszystkim. Zaledwo

też bystre oko Halińskiego spoczęło na charakterystycznych jego rysach, gdy już

rozjaśnił je uśmiech dyskretnej, nienarzucającej się uprzejmości.

— Pan hrabia wraca nam podobno, po długim pobycie za granicą?

Dziwię się, że

nie miałem przyjemności spotykać go w świetlanych regionach kultury i

cywilizacji Zachodu.

Mówił cicho, płynnie, tonem zniżonym, jak aksamit miękkim.

— Zachód jest tak wielki, — wtrącił grzecznie Alfred.
O, tak, — przerwał wykwintny staruszek, swym miodowym,
przytłumionym głosem —
Zachód jest wielki; ma on jednak cen-
centa i ogniska, które ludzi naszego świata łączyć zwykły. Co do mnie
en ma
qualite de diplomate. —
— Pan jest —
— Konsulem paragwajskim — podsunął
grzecznie egzotyczny dygnitarz.

Pod jasnym wąsem Halińskiego mimowolny przewinał się uśmiech.
Teraz zrozumiał
dopiero, co znaczy zagadkowa jakaś rozetka przy fraku pana
Wohlberga.

— Tak, — potwierdził z niekrywaną dumą, — konsulem
paragwajskim; tak, konsulem.
Otóż, en ma qualite de diplomate, zwykłem się spotykać zagranicą z
całym
wybitnym światem Zachodu; daje mi to poznać szaloną różnicę, jaka
nas jeszcze od
tych wybranych kół dzieli.

— Czy pan —
— Konsul, panie hrabio, konsul, — podsunął "dyplomata" ze słodkim
uśmiechem.

— Czy pan konsul i reprezentowany przez siebie Paragwaj, do tych
wybranych kół
zalicza?

— Och, — strzepnął ręką, — cóż mnie Paragwaj może obchodzić?
porozumiejmy się:
qui veut la fin, veut le moyen. Otóż dla mnie jestto klucz właśnie, jest
węzeł

raczej, łączący mnie z wielką rodziną Zachodu.

— Bardzo wielką, — wybiegło na usta Alfreda.

— Z jej umysłowością i sztuką, zdumiewająco rozwiniętą,
wyrafinowaną.

— Pozwalam sobie być zupełnie innego niż kolega zdania, -
zabrział obok głos

energiczny

Przed Halińskim stał pan, o łysawej czaszce, zakrzywionym nosie i
silnym czarnym

zaroście. Kłapę jego fraka ozdobiło kilka miniaturowych odznaczeń.

— Pan Schönberg, konsul uragwajski, hrabia Haliński; - przedstawił
pere-noble,

dplomata i esteta zarazem.

— Przepraszam za wmieszanie się do rozmowy, — mówił,
zamieniając ukłony, — ale

dotyczy ona i mnie poniekąd. Konsul paragwajski, konsul uragwajski,
to rzeczy

pokrewne; klucz do Zamku, klucz do sfer wyższych, który czyni nas
niejako

hoffühig, i koniec! Co do mnie, mniej dbam o włoskich śpiewaków i
kluby

paryskie, a wolę w zamian, dzięki sprężynie podobnej, wyzyskać
tutejsze

stosunki, na rzecz wielkich przedsiębiorstw handlowo-
przemysłowych.

— Rzecz gustu, — wtrącił "esteta" słodko.

— I logiki, — ciął jak mieczem pan o krogulczych rysach, gdy
zbliżenie się

strojnej damy przerwało debaty. Przystojna, o dojrzałych kształtach i
śmiałym,

poniżej łopatek sięgającym dekolcie, stanęła wprost przed nimi.

Dyplomacyo, — woła żartobliwie, -schyl paragwajsko - urugwajskie
sztandary przed

dziełem miłosierdzia!... Konsulu bałamucie, jak dobrze, że cię
spotykam; od

trzech dni mam do pana interes.

Wyranżerowany dyplomata, pokazawszy w radosnym uśmiechu obie
szczęki,
przynoszące zaszczyt technice dentystycznej, wpił się wąskimi
wargami w
wyciągniętą ku niemu rękę i podreptał za wyzywającemi nagością swą
łopatkami,
tak, że zdala trzęsły się tylko i rozwiewały jego srebrnobiałe włosy
d'un pere
noble.

Za nimi, jak ogniwo jednego łańcucha, postępował pan konsul
uragwajski.

Haliński roześmiał się mimowoli.

— Z czego panie hrabio? — zapytano go ciekawie.

Podniósł głowę. W drzwiach stała Dora Korska, bardzo
wydekoltowana, tryskająca
życiem, w śmiałej swej zalotności śliczna i porywająca.

— To zdrada, — mówiła. — Jako wice gospodyni szukam pana, aby
go w obcym
towarzystwie osamotnionym nie zostawiać, a hrabia nie czekając na
mnie, śmieje
się serdecznie.

W tem, oczy jej, pobiegłszy za wzrokiem Halińskiego, spostrzegły
oddalającą się
grupę.

— Pan Wohlberg, konsul paragwajski, i pan Schönberg, konsul
uragwajski, —
rozśmiała się z kolei.

— Domorośla dyplomacya, przy zagranicznych orderach; brak tylko
szpady i
stosowanego kapelusza. O, poznaję Henryka. Maurem farceur! Już
pana zdążył
zapoznać z tym typowym snobem salonów warszawskich, który
dobiwszy się fortuny,
na interesach wekslowych, dotknięty został na starość manią
wielkości. Tytuł

egzotycznych konsulów i zagraniczne ordery, wszak to rzeczy, które dostają się za pieniądze, a przecież mówiłam panu, że większość tych ludzi, to des arrwistes et des arrives.

— Karyerowicze.

— Tak. Ujarzmiwszy fortunę, pragną teraz uszlachetnić ją, pozyskaniem wpływów i znaczenia. Jeden kolekcjonuje w tym celu rzadkie zbiory; drugi wydaje pod własnym nazwiskiem książki, których nigdy sam nie pisał; inny wchodzi do "dyplomacyi", marząc o zagranicznych tytułach i godnościach.

— Pani, hipokryzya to tylko hołd, składany cnocie. I w tyra więc wypadku, poza na zamięłowama literackie i artystyczne stwierdza fakt, że pieniądz, owo najpotężniejsze z dzieł szatana me jest w stanie zastąpić szlachetniejszych pierwiastków w życiu

— Sądzi pan, że droga do nich przez Paragwaj i Uragwaj wiedzie? Z oczów Dory trysnęły znów iskry wesela.

— Nul n'est prophete dans son pays — odrzucił żartobliwie.

— Zapewne. Ale i hrabia stosował, zdaje się, zasadę tę do siebie?

— Kiedy ja bynajmniej o godność proroka w narodzie nie pretendowałem.

— To bardzo źle. Lubię u mężczyzny śmiałość myśli, odwagę woli i czynu.

Haliński patrzył z zaciekawieniem w roziskrzone jej oczy.

— Lubi pani śmiałość przekonań i odwagę czynu, czy ambicyę, wiodącą na wyżyny?

Dwa to różne i odrębne pojęcia.

Zastanowiła się chwilę.

— Tak, lubię ambitnych, pan hrabia ma racyę. Chodzi mi o tych, którzy,

postanowiwszy świat podbić, siłą, woli dochodzą do celu.

— Quand même?

— Quand-même, byle nie podstępem i podłością. W pewnej walce pozwalałam nawet iść po trupach.

— Po rumowiskach serc cudzych, chciała pani powiedzieć — poprawił grzecznie Haliński.

— Po ruinach własnego choćby serca — odrzuciła z ogniem. — O, pan hrabia tego nie rozumie, bo należy do uprzywilejowanych jednostek, które, urodziwszy się na pewnych wy-

żynach, nie potrzebuje i nie mają o co walczyć chyba o wpływ na ogół, o moralne stanowisko o to zaś nie dbacie zazwyczaj.

— Jeżeli to zarzut, przyznać muszę, że srogi, lecz słuszny.

— Bynajmniej. Chodziło mi jedynie o stwierdzenie faktu, oraz o zaznaczenie, że

rola ambitnych nam tylko przystoi, nam, dzieciom ludu, które ona z żywiółową siłą pcha naprzód.

Była w szczerości swej oryginalną i porywającą; Haliński patrzył też na nią z nieukrywaną zajęciami.

Panna Dora myśl jego w lot odgadła. — Moja otwartość dziwi pana, nieprawdaż? —

mówiła z uśmiechem, rozchylającym śliczne, purpurowe usta. Ma ona jednak cel

bardzo jasno wytknięty. Ponieważ bowiem, znalazł się hrabia w towarzystwie,

obcemu mu krwi, pochodzeniem i zasadami, chcąc więc służyć w niem panu za

cicerone, musiałam zaznaczyć z góry charakter przeważnej liczby zebranych tu

osób. Otóż, nie są to self madeen, w znaczeniu zawdzięczenia
wszystkiego własnej
pracy, ale przeważnie des arrivistes et des arrivés, ludzie, których
ambicya,
niekiedy nie przebijająca w środkach, już przywiodła, lub zaraz
przywiedzie do
szczytu wymarzonej

Jak na rozmowę balową było to obiecujące i niezwykle. Ta młoda
dziewczyna, o
śmiałym spojrzeniu i ramionach głęboko obnażonych, a
wysuwających się co chwila
z puszystego okolenia krepy i koronek, zaczynała intrygować
Halińskiego. Byłaż
to samodzielna oryginalność umysłu, oparta na głębszej podstawie
psychicznej,
czy poza zręczną, a rozmyślną?
Z sali koncertowej rozległy się w tej chwili przeciągłe, acz dyskretne
oklaski,
wślad zaś za nimi dźwięki muzyki i potężny, harmonijny baryton
Battistini'ego.
— La ci darè Ja mano — objaśniła panna Dora. — Arya z "Don-
Juana". On i
Paccini ślicznie duet ten śpiewają.
— Pani lubi muzykę?
— Niezmiernie.
— A Battistini'ego?
— Na to mam czas — odparła śmiało. — Przepadają za nim
przeważnie znudzone
mężatki, które już wszelkie inne rozkosze wżyciu wyczerpały. Ale
przysuńmy się
bliżej: pozwoli nam to, nie tylko słuchać śpiewu, lecz rzucić okiem na
całe
zgrupowane do koła estrady towarzystwo.

ROZDZIAŁ X.

Powstali. Dora, oparłszy rączkę o ramię hrabiego, pociągnęła go ku
głównym
drzwiom sali balowej.

Czarne fraki, zgromadzone tutaj, rozstępowały się z ukłonem przed
bogata i

powabną jedynaczką. Chciano jej zrobić miejsce natychmiast, lecz
wskazała

dyskretnym ruchem, że woli stać tym razem.

Na estradzie ulubieniec Warszawy, Mattia Battistini, z semicko-
rzymską twarzą,

we fraku i białym krawacie, wysuwał naprzód tors swój potężny.

Damy z pierwszych

rzędów połykały go oczyma. Żrenice ich, dyskretnem pociągnięciem
ołówka

podkreślone, szklily się łąą wzruszenia, czy roznamiętnienia; piersi,
jakkolwiek

opancerzone całym szeregiem naszyjników, riviére, brosz, broszek i
fermuarów,

podnosiły się tłumionemi westchnieniami.

Baryton, stosując się najzupełniej do atmosfery prywatnego salonu,
poprawnym był

i wykwintnym. Śpiewał bez żadnych gestów i mimiki, z wytwornym
spokojem

salonowca, który zdawał się nawet głos swój potężny i wstrząsający
ograniczać w

brzmieniu, stosując go do ram i przestrzeni, znacznie od sceny
mniejszej.

Czasami tylko, gdy śpiew jego na-

bierał tonów aksamitnych, pieściwych i rozmarzających, w artyście
budził się

aktor. Wzrok jego biegł z zalotnym wyrazem po tych główkach
udyamentowanych i

obnażonych ramionach, jak gdyby podbijając je wszystkie; ręka
zakreślała jeden
szeroki ruch bohaterski, a noga wysuwała się mimowoli naprzód, jak
gdyby chciała
przypomnieć, że widziana w trykotach i barwnym stroju scenicznym,
umiała także
kształtami swemi to samo audytoryum czarować.
Westchnienia biegły wtedy niepochwytne jak szum drzew w lesie, jak
cicha modlitw
w dal nieokreśloną ślana.

— Des déscoeuwées, z ich zdenerwowaniem i przeczulonymi
nerwami — szepnął
hrabia.

Ramiona panny Dory, białe, młodzieńczą krwią tętniące, wyszły
zupełnie ze
stanika, na dowód, że tych rozczulonych zachwyków nie pojmuje;
paluszek jej
wszakże, położony na ustach, jak kielich granatu kwitnących, nakazał
milczenie
towarzyszowi.

Na estradzie, strojna w kosztowną, o długim trenie, suknię balową, z
olbrzymimi
turkusami w uszach, a mniejsza jeszcze i szczuplejsza, niż na scenie,
odpowiadała na czułe trele pięknego barytona, panna Paccini,
nieoddzielna
towarzyszka jego występów. Sopran jej, dźwię-

czny, jak dzwonek srebrny, rozległ się po salonach słowiczym,
przepyszny
trylem.

Oczy panny Dory rozjaśniły się i zapalały. Słuchała z widocznym
przejęciem i
zachwytem.

— No, tej przynajmniej postać śpiewaka nie rozmarza i nie
sugestyonuje —
pomyślał hrabia z zadowoleniem.

Sala straciła swoją, namaszczonej, potężną ciszę; to tchnienie skupionej uwagi, jakie wpięrow wszytkich przejmowało. Na końcu, w młodszych szeregach, dawał się nawet słyszeć cichy, tłumiony za wachlarzem śmieszek. Równocześnie Halińskiego doszedł z boku szept poufny: — Mais les Korscy étalent leur fortune! Estelle au moim solide? — Sais pas. Tak niedawno ją mają, iż musza en faira parade. Dieu qu, a c'es de mauvais gont! Hrabia spojrział z obawą na towarzyszkę swą. Pochłonięta jednak przez ostatnie akordy La ci darem, zdawała się nic nie słyszeć i nie widzieć. Był to wstęp do koncertu, zakończony frenetycznymi oklaskami. Henryk, podawszy ramię włoszce, sprowadził ją do obok sto-

jącego fotelu; Battistini zaś, ulegając pieśzczotliwym szeptom: — Encore! Bis! Encore! Podał naprzód tors swój potężny, tak, że zdawał się on przeświecać aż, przez gors miękkiej, batystowej koszuli i zawiódł głosem, jak pieśzczota słodkim i upajającym:

"Ninon, qne fais-tu de ta vie?
Le temps passe et l'amour fui!"

Nie biorąc słów tych za przytyk, ani za nauczkę, les desoeuwees et les amoureuses, których w pierwszych rzędach nie brak było widocznie, zapominając o dorastających i dorosłych nieraz dzieciach swych, coraz głębiej wzdychały i coraz namiętniej poruszały wachlarzami. Te wielkie kiście piór, falujące dokoła,

miały być widocznie wyrazem żalu za minionymi latami i ulatającą miłością, a może widomym znakiem wzruszenia, jakie dorodny śpiewak umiał w sercach ich wywoływać.

"Ninon, que fais tu de ta vie?
Le temps passe et l'amour fui?"

Powtarzał po każdej zwrotce piękny włoch, magnetyzując je wzrokiem, powtarzał coraz słodziej i ciszej, coraz namiętniej, insy-

nując widocznie, że z tych ostatnich błysków uciekającej miłości korzystać

powinny, aż wzruszone, porwane, a świętym zapalem dla czystej sztuki przejęte, wraz z zamierającymi dźwiękami pieśni powstały i zwartą ławą otoczyły estradę.

Teraz nastąpiło widowisko, jedyne w swoim rodzaju.

Jedne damy były brawa, drugie zachwycone, rozczulone, wyciągały ręce ku

śpiewakowi, dziękując mu przeciągłymi uściskami za rozkosz artystyczną, jakiej

doznały. Otoczony tem gronem, błyszczącym od jedwabiu i dyamentów, jak wieńcem

muz, czy podstarzałych bogiń Olimpu, śpiewak z wyżyn estrady i gwał się we dwoje, by wyciągnięte ku sobie ręce, o typowo krótkich palcach, a

szerokich dłoniach, w swoją ujmować prawicę.

Jedna z dam, oderwawszy od piersi bukiet róż i storczyków, w zapale, pod nogi mu rzuciła.

— Kto to? — pytał Haliński, z nieukrywanym wyrazem niesmaku.

— Dawna gwiazda opery, dzisiaj baronowa X. Une demi — mondaine — rzuciła panna

Do-
ra lekceważąco.

— Jakto i Ira ją przyjmuje?

— Bardzo niechętnie; ale nie może iść wbrew domom innym, które dla artyzmu prze-

baczają jej przeszłość, dowodząc, że ta męza tylko obchodzi. Przecież, według
znanej zasady: *le pavillon ouvre la marchandise*. Zresztą, jest ich tu więcej.

— Pani żartuje.

— Broń Boże! To kwestya prostej arytmetyki. Wszak *une mondaine vaut deux demimondaines*, a salony zapelnąć trzeba.

Zdumienie, w jakie swoboda wyrażen jej wprawiała Halińskiego, bawiło widocznie

pannę Dorę. Skrzydełka zadartego jej noska poruszały się figlarnie, w oczach

błyszczął chochlik łobuzowskiego humoru.

— Och, zgorszyłam pana, Nie jestem wcale podobna do niewinnych panien, z

"białego, szlacheckiego dworku". Poezyi, egzaltacyi, świętego patosu, ani za

groz! Prawda? Uciekam, bo hrabia skamienieje ze zdumienia.

I, zaśmiawszy się srebrzyście, ku innym pofrunęła gościom.

Nastał *entre acte* i ogólne poruszenie wśród zebranych.

Korski, ująwszy pod ramię Halińskiego, przedstawiał go na prawo i lewo. Finanse,

kupiectwo i przemysł, a trochę literatura i sztuka przesuwwały się tu w najwybitniejszych swych osobistościach. Przymiotniki: znany, głośny, znakomity,

płynęły z ust gospodarza domu, z łatwością, wody bieżącej i, jak woda,

żadnego na duszy Alfreda nie zostawiały śladu. Rad też był, gdy tony nowej
pieśni przerwały tę litanję obcych imion i procesyę obcych,
nieznanych mu
twarzy.

Dla wypoczynku usunął się we framugę pobliskiego okna.

Opodał dwóch mężczyzn kończyło zaczęta rozmowę.

— Cóż to Leon towarzyszy tak ciągle pannie Dorze Korskiej —
mówił jeden. —

Czyżby miał zamiar się żenić?

— Może się tylko chce zabawić.

— Żartujesz — brzmiała głosem stanowczym dana odpowiedź. —

Przecież to

przyzwoity człowiek, a uczciwy mężczyzna romansuje tylko z
mężatką.

Kompromitować młodą dziewczynę to podłość.

Haliński uśmiechnął się. Stanowczo, w kołach tych miano oryginalny
kodeks

etyczny. Wszak już raz słyszał tu dzisiaj do mężatki stosowaną
zasadę, że: Le

pavillon couvre la marchandise. Jeżeli była ona jedynym ich
puklerzem, cóż dziwie

się rozrzewnieniu, jakie okazywały dla pięknego śpiewaka?

Młodzi panowie rozmawiali tymczasem dalej.

— Wiesz, o mało nie urządziłem hecy i widowiska?

— Jakiego?

— Te włoskie trele tak mnie znudziły, a piękne ramiona baronowej
Peszel tak

hypnotyzowały, że byłem już przez chwilę zdecydowany pochylić się
i pocałować

ją w plecy.

— Ależ to skandal!

— Wiem o tem, rozumowałem jednak: Jeżeli, dla uniknięcia
awantury, zniesie to i

przyjmie spokój nie, gotowa nad nią przewaga. Jeżeli zerwie się i
wybuchnie,
gotowy skandal; ten marny włoch wszakże będzie musiał, w jednym,
czy drugim
razie przerwać ckliwe swe wycie.
Nowa charakterystyka. Haliński miał już dosyć wrażeń dzisiejszych.
Wprawdzie
Henryk obiecywał mu, iż uczyniwszy zadość pierwszym obowiązkom
gospodarza jemu
się wyłącznie odda i w gabinecie przy winie zapozna go bliżej z
wybitniejszym
męskim kółkiem, ale hrabia czuł się tak osamotniony wśród tego
obcego mu
świata, jak rozbitek na morzu bezbrzeżnem. Tęskniąc też do widoku
Iry, jak do
otuchy jedynej, po przez fale głów, ku niej zaczął się kierować.
Po drodze zatrzymała go panna Dora, otoczona całym gronem
panienek i
opowiadająca im coś z rozognionymi policzkami i żywą gestykulacją.
— Hrabia Alfred Bończa - Haliński, brat Iry — przedstawiła.

— Czy pan zna Ostendę? — dodała zaraz.

— Znam, pani.

— To niechże hrabia powie mojemu towarzyszkom, czy nie prawda,
że masa cyklistek
jeździ tam na rowerach w męskim ubraniu i nikt się temu nie dziwi?
Bo, gdy nam
proponują, abyśmy, na naszym przedstawieniu sportowem, wystąpiły
w stroju tym
gremjalnie, wahają się i zdecydować nie mogą.

— Pani była długo w Ostendzie? podjął, wymijając drażliwą kwestyę
stroju.

— Całe lato. Ojcu kazali doktorzy jechać do morza. Rzecz więc
prosta, że
rodzice osiedli w cichem, mieszczkańskim Blankenberghe, gdzie
mama smarzyła

konserwy i wiecznie układała w kufrach, a ja tymczasem jeździłam codzień do Ostendy i tam dnie całe spędzałam. Cudne życie!... Całe dnie!... Na Digue lub w Kasynie! Mówią, że to zbiegowisko szumowin z Europy. Być może, ale jak ja się bawiłam, jak bawiłam!... Pan hrabia przeżył tam zresztą także, nie jedną miłą chwilę.

— Nie, pani. Nie lubię szumowin, nawet w kieliszku, a tem mniej w życiu.

— Gdzież pan więc spędzał czas, będąc tak długo zagranicą?

— W muzeach i bibliotekach głównie.

Dźwięki fortepianu przerwały dalszą rozmowę.

— Nudny pedant, syknęła jedna z pańienek.

— Braknie mi, Iro, ciebie dzisiaj; brak mi twego przewodnictwa, w tym waszym, błyszczącym świecie, skarżył się hrabia, zasiadłszy z panią Korską w odsuniętym rogu salonu. Patrząc tylko zdala, gdy bielsza i czystsza od innych, przesuwasz się, jak gwiazda, po tym strojnym szlaku. Ona smutnie opuściła głowę.

— Nużą mnie podobne przyjęcia i taką pustkę, taką czczość po sobie zostawiają!

— Dla czegoż zgadzasz się na nie?

— Bo sobie tego mąż mój życzy. Zamilkli oboje.

— Czy nie masz wśród tłumu tego nikogo z osób ci miłszych? — zapytał po chwili.

— I owszem, lecz garść bardzo niewielką.

— A ogół?

Ira ożywiła się nieco.

— Widzisz, Alfredzie, dochodzę do przekonania, że pierwiastków,
we krwi
odziedziczonych, nic zastąpić i nic zmienić nie zdoła. Dla mnie
naprzykład,
świat ten na zawsze obcym zostanie. Zbyt szybko, nie pracą długich
pokoleń, lecz
spekulacją wzbogacony, nie ma

on żadnego poczucia tradycji, żadnego zrozumienia dostojeństwa jej i
surowych
obowiązków, jakie nakłada. Żydzi przytem wnoszę, tu, obok
inteligencji i
niezrównanego sprytu, atmosferę miękości, rozprężenia i zbytku,
jako cechę
rasową. Na ustach: paradoks, żart, szyderstwo, nawet z siebie i ze
świętości.

Jako żywioł społeczny, stanowią, oni czynnik potężny ekonomicznie,
a subtelny i
wyrafinowany umysłowo, lecz rozkładowy moralnie. Zlany z
mieszczaństwem, o obcem
mu często pochodzeniu, upadła je gonitwą za złotem, życiem nad stan,
rozluźnieniem pojęć moralnych; zmiękcza je, zwyrodnia... Przejmują
od nich cechy
zewnętrzne, nie biorąc gruntownych i wielkich nieraz przymiotów.

— Czy nie przesadzasz, Iro?
— Nie. Amalgamat ten, który zresztą nie stapia się, nie jednoczy
chemicznie,
lecz powierzchownie bywa tylko zmieszany, wstrętnym mi jest po
prostu. Pieniądz
bywa tu jedyną racją bytu; dostatki i użycie jedynym celem. Przez
pierwszą zimę,
gdy mnie Henryk do kół tych wprowadził, bawiłam się, jak dziecko na
łodzi
rozbujaanej. Łódź jednak, zamiast nieść myśl moją w dal, w
przestworza, kręciła

się ciągle w miejscu, dokoła wiecznie tych samych płytkich rozrywek.
Wtedy
zrozumiałam, że nie płynie ona przez toń, czystą a wart-

ką, lecz osiadła na błocie lepkiera, na trzęsawisku, w którym na
zawsze ugrząźć
można.

— Dlaczegoż nie wycofałaś się z kół tych, Iro?

— Bo nie mogłam. Życie towarzyskie stanowi prawdziwą namiętność
Henryka.

Uniosłam tylko duszę mą ztamtąd i zamknęłam ją w ciasniejszym kole
pracy i

marzeń; złożyłam w ofierze u kołyski syna.

Hrabia patrzył czas jakiś na nią smutnie; poczem, ująwszy dłoń
młodej kobiety,

ruchem serdecznym do ust ją poniósł.

— Czekaj, Iruś, teraz będzie nas dwoje, potrafimy więc sobie
snadziej odrębny
świat sami stworzyć.

Z drugiego końca salonu śledziła ich para płomienna, zazdrosnych
oczu. W

ruchliwej główce panny Dory Korskiej myśl jakaś błysnęła.

— Phi — syknęła, nasza belle impéccable, nasza "perła bez skazy",
zaczyna z

pięknym Bayardem flirtować! To także pewno jakiś szlachecki rycerz,
sans peur et

reproche, "bez bojaźni i zmazy", z taką więc, jak pani bratowa
ekstazą, pysznie

będą sympatyzować.

W chwilę później stała przed nimi.

— Iro — wyrzekła — zdaje mi się, że Henryk wszędzie cię szuka.

Pani Korska powstała z widocznym znużeniem.

Dora zajęła jej miejsce.

— Lubig "Rusticanę" w teatrze, ale tu — mówiła — te namiętne skargi Turrida dręczą mnie po prostu. Może pan zechce przejść" ze mną do bufetu. Kropla szampana orzeźwi nas oboje. Za chwilę, rozbawiona, urocza, z czarą pieniącego wina w ręku, panna Dora Korska wносиła toast na cześć nowego ich pokrewieństwa. — Niech żyje wino, kobieta i śpiew — mówił grzecznie hrabia, trącając w wyciągnięty ku sobie kieliszek. Stare to hasło w dzisiejszym otoczeniu ma chyba największą rację bytu i urok najsilniejszy. — Niech żyje sport, swoboda myśli i wolność słowa, bo one dopiero wieńczą życie — odrzuciła Dora śmiało.

ROZDZIAŁ XI.

Świetny "wieczór muzyczny" pp. Korskich przyniósł Henrykowi w zysku, nazajutrz, szczegółowe opisy we wszystkich dziennikach porannych, wraz z całą garścią komentarzy i mianem mecenasa sztuki, stale do nazwiska jego dodawanem. Henryk promieniał. Ira przyjęła to obojętnie, a znużona całodziennymi wizytami de digestion, kazała pod wieczór zamknąć drzwi dla gości i, przerzuciwszy się w miękki swój, biały, złotem haftowany szlafroczek, zasiadła, jak zwykle, do samotnej przed kominkiem herbaty. Na progu stanął Alfred Haliński, używający tu praw krewnego i domownika nieledwie.

— Domyślałam się, że przyjdiesz na gawędkę — mówiła słodko,
wyciągając rękę ku
niemu. — Dziękuję; mniej będę samotną.
— Henryka niema?
— Mego męża nigdy niema w domu — brzmiała smutna odpowiedź.
— Dziś zresztą jest
usprawiedliwiony, spoczywa bowiem na laurach i upaja się tryumfem
wczorajszego
powodzenia.

Hrabia ogarnął przeciągłym wejrzeniem idealną, jej sylwetkę, tak
harmonizującą z
wykwintnym otoczeniem i, jakby sam do siebie, zauważył półgłosem:
— Mieć takie ognisko domowe, a szukać wytchnienia po za niem, to
niezrozumiałe,
to zbrodnia nieledwie.
— Nie, to tylko właściwość krwi.
— I umysłu.
Spojrzeli na siebie. Ira zarumieniła się lekko.
— Wstyd mi za słowa własne, bo wyglądają one na obmawianie
nieobecnego;
zapomnij więc o nich, proszę. Na usprawiedliwienie swoje dodaję, że
dziś
wyjątkowo jestem rozdrażniona. Synuś mój jakiś niezdrów, płakał
cały ranek, a ja
zamiast go pielęgnować, musiałam, wystrojona, przyjmować w
salonie szereg wizyt,
przez raut ów spowodowanych. To mnie bolało i niecierpliwiło.
— Dla czegoż Henryk zostawił cię w dniu takim samą?
— Ma tak wiele do ranie zaufania — odparła z lekką ironją, że tylko
na zebrania
i do teatru zwykł mi towarzyszyć.
Hrabia zasepił się; przez chwilę milczeli oboje.
— To dziwne — przerwał ciszę półgłosem, ja, który lat tyle
strawiłem na
bezcelowej

włóczędze, teraz dopiero doznaję tęsknoty za własnym ogniskiem,
teraz odczuwam,
jak namiętnie potrafiłbym przywiązać się do niego.

— Podziel tymczasem nasze Alfredzie. Jakby zajęty myślą,
wewnętrzna, z głębi
ducha wyłaniającą się dopiero, spojrzął na nią przeciągle, z jakimś
smutkiem
dojmującym.

— Są rzeczy, któremi z nikim się nie dzieli.

Ira opuściła głowę.

Hrabia teraz dopiero, przestraszony własnymi słowami, spostrzegł, że
mogła go

źle zrozumieć, że dotknął ją może bezwiednie.

Powstał i zbliżył się ku niej.

— Iruś, przepraszam — mówił, całując dłoń jej małą. — Nie
filozofujmy lepiej,

lecz wieszczko biała, nalej temi ślicznymi paluszkami herbaty i
powiedz, kto był

u ciebie dzisiaj, a ja w zamian złożę sprawozdanie z propozycji, jakie
mnie

spotkały.

Podniosła się, a podając mu po chwili wonny nektar — mówiła z
ożywieniem.

— Miałam żal sama do siebie, iż wczoraj pod wrażeniem znużenia,
skreśliłam ci

może niepochlebny obraz kupiecko bankierskich naszych salonów.

Umysł ludzki

jednak, tak już jest stworzony, że go rysy ujemne najwpierw uderzają.

Tymczasem

koła te mają także spe-

cyaine, sobie właściwe, a bardzo dodatnie cechy. Nigdzie może kult
artyzmu...

— I artystów — wtrącił hrabia.

Uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Nigdzie kultury, wyrobienie umysłowe i wyrafinowanie smaku nie sięgają, równie wysoko, nigdzie iście mieszczańskiego filisteryzmu nie okupuje się taką dozą bystrości umysłu, i wyostrzonej, jak broń obosieczna inteligencji.

— Sprytu i spryciku — uzupełnił znów hrabia.

— U kobiet może; mężczyźni jednak są zazwyczaj gruntowniej wykształceni, a prądy, nurtujące umysłowość Zachodu, literaturę i sztukę, śledzą z gorączkowym zajęciem. Rozmowa w kołach tych, na mniejszych, mniej tłumnych zebraniach, staje się nieraz wyrazem rzeczywistego umysłowego wykwintu i rzeczywistą rozkoszą duchową.

Haliriski przerwał jej żywym ruchem.

Niepospolita, a śliczna z ciebie adwokatka. Tylko, widzisz Iro, umysł nigdy nie zastąpi charakteru.

— Ależ, zacytuję ci masę czynów dodatnich

— Wiem o tem: wielka ofiarność, wspięte głośnych instytucji filantropijnych, za-

kładanie gazet dla obrony interesów bankierskich.

— Być może, lecz równocześnie śmiała inicjatywa we wszystkim, co kraj ekonomicznie dźwignąć i wzbogacić może.

— Prawda. Słusznie też wczoraj określiłaś: czynnik potężny ekonomicznie, rozkładowy moralnie. Gdy my, "nieobecni" przez długie lata, wypuściliśmy z rąk ster gospodarczych spraw kraju, wielką jest zasługą mieszczańskiego patrycyatu,

a jak tym razem, zasymilowanych sfer żydowskich i niemieckich, że
one go w
dłonie swe ujęły. Faktu, że, zastawszy o nas majaki tradycyi i
ukochań, które im
były obce i niepotrzebne, wynieśli je na strych, do składu starych
rupieci, nie
można im brać za złe. Bo najpierw, ludzie tej sfery, im świeższego są
pochodzenia, tem więcej kochają się w antykach; przyjdzie więc
jeszcze może
chwila, w której, odszukawszy wśród rupieci moralnego ich
Pociejowa owe drogie
nam majaki, odnowią je i, jako bezcenne zabytki przeszłości, na
ołtarzu
obowiązku postawią. Powtóre zaś, marni to i warci degradacyi
chorążowie, którzy,
widząc w tradycyi narodowej szlachectwo swe i sztandar święty,
zdolni byli z
rąk, nie zmartwiały jeszcze, wypuścić go dobrowolnie.

Poruszony, chodził żywo po salonie. Puszysty dywan tłumiał odgłos
kroków, ciemne
zaś oczy kobiety, z jakimś dumnem, a głębokiem i rzewnem
uczuciem, posuwały się
niewolniczo za nim.

Hrabia stanął nagle.

— Powiedz mi, Iruś — mówił z miękkim blaskiem w oczach, po co
my dysputujemy?

Po co te obojętne nam sprawy między sobą podnosimy? Wszak, będąc
sam na sam,

mamy tyle droższych i bliższych rzeczy do poruszenia.

Usiadł obok niej na kanap. ujawszy rękę młodej kobiety, głęboko
spojrzał jej w
oczy:

— Dlaczego ty poszłaś za Henryka? Fala szkarłatu przebiegła
matowo blade
lica Iry.

Hrabia spostrzegł, iż obcesowe to pytanie niewłaściwym wydać się może.

— Byłem wtedy we Florencji i we wspomnieniach mych rodzinnych uważałem cię za dziecko jeszcze, kończące zaledwo nauki, gdy nagle otrzymuję zawiadomienie o twym ślubie... Żadnych szczegółów, żadnych komentarzy, nic, prócz stwierdzenia dokonanego faktu. Uważano za zbyt uczynne uprzedzić o nim naprzód, najbliższego z twych krewnych.

Ira milczała.

— Dla czego ty poszłaś za niego?

— Bo wujostwo, coraz silniej zachwiani w interesach, nie życzyli sobie trzymać mnie dłużej u siebie; bo nie miałam swego domu, ani kąta, nikogo ze swoich; bo... zdawało mi się, że... kocham Henryka...

— A dzisiaj?

— Dziś on mnie tak mało potrzebuje...

— Lecz ty, Iro, ty, jakie są twoje uczucia?

Podniosła prześliczne, wzruszeniem rozpromienione oczy.

— Ja kocham gorąco mego syna. Uczucie to świat mi wypełnia.

— A jego, Iro, męża twego?

— Cóż chcesz — mówiła poważnie, z głębszym namysłem. —

Miłość, najgorętsza

nawet, lecz nie podsycana wspólnością: dążeń, pragnień i uczuć, nie zcementowana

nawet jednością interesów, błękitnieje zwolna., oddala się i zatracą wyraźne

kontury. Jesteśmy parą wielkoświatową... Mąż mój ma rozległe interesa, cele,

rozrywki, obce mi zupełnie... Ze znacznej części jego życia jestem wprost

wykluczoną. Wystarcza mu — dodała z goryczą, że, jak mówi,
świetnie reprezentuję
dom jego i firmę. Po paru więc latach małżeństwa, nie łudząc się już
parafiańską
spójnią duchową,

jednością marzeń, myśli i celów, winnam pamiętać tylko głównie, że
jest ojcem
mego syna i, jako taki, świętością pewną dla mnie być powinien.
— A, teraz rozumiem ten nieokreślony Wyras smutku i tęsknoty, jaki
niekiedy w
oczach twych spostrzegam.
Hrabia powstał i znów żywo krążył po salonie.
Ira, przechyliwszy się w tył, na kanapce obie ręce ruchem jej
właściwym
zarzuciła nad głowę. Szerokie, białym atłasem podbite rękawy,
opadłszy za
łokcie, odsłoniły aż do przedramienia dwie ręce alabastrowo, tworzące
jakby
aureolę nad ciemnymi jej włosami.
Haliriski przystanął zdala i patrzył na ten obrazek, zamierającym
odblaskiem
ognia oblany, a tworzący jakby żywe studyum do wizerunku
"Opuszczonej".
— To najlepszy komentarz do naszej poprzedniej rozmowy —
wyrzekł wreszcie
stłumionym, gniewnym głosem. — Marny to i wart własnej pogardy
chorąży, który,
stanąwszy na czele rodu, jako jego ostatni potomek i dzierżąc sztandar
honoru,
przez przodków straży jego powierzony, opuszcza placówkę dla
chimerycznych
studyów nad włoską szkołą malarską, a zarazem pozwala, by mu
tymczasem dziecko,
krwią najbliższe, a pod

moralną jego opiekę oddane, sprzedano dla marnych względów finansowych.

— Tfu! — splunął po chwili. Spoliczkowałbym się chętnie! Zerwała się i dłoń o ramię hrabiego oparłszy, jakby wyższa i potężniejsza, stała oko w oko, do głębi duszy mu zagładając.

— Niesłuszne sobie robisz wyrzuty, Alfredzie. Szczęście idealne, wymarzone,

takie,

o jakim każdy z nas śni w dniach młodości, to najczęściej niepochwytna chimera.

Rzeczywistego zaś nie poskapił mi Pan Bóg w życiu. Patrz; mam młodość, własne

gniazdo, dziecko ukochane, dostatki dla niego i, zarówno możność, jak siły do

pracy pożytecznej. Naucz mnie tylko, jak się wziąć do niej. Zawsze bawić się

nie wolno, pod karą lekceważenia samego siebie. Gdy więc na chleb zarabiać nie

potrzebuję, a wychowanie syna nie prędko cały czas mój pochłonie, wskaż mi co

czynić, aby nie być pasorzytem społecznym, aby darów, zesłanych przez niebo, nie

marnotrawić bezdusznie. Bądź moim kierownikiem i moim mistrzem, Alfredzie.

Stał, patrząc ponuro w ożywione jej rysy.

— Źle się zwróciłaś, dziecko. Bo czemżeż ja jestem, jeżeli nie marnotrawcą

także, który dotąd trwonił bezmyślnie i rozpraszał po obczyźnie skarby, przez

innych skrzętnie zbie-

ranę i strzeżone. Trudno być bardziej bezużytecznym w świecie odemnie.

— Bo się duch twój nie zbudził jeszcze do epoki czynu i działania.

Przyjdzie

jednak wieszczka zaczarowana, która go do życia powoła.

— Zdaje się, że i tę możność nawet przeciałem sam sobie — odparł ze smutkiem.

Spojrzenie jego, rozpalone blaskiem dziwnym, obejmowało coraz serdeczniej smukłą

postać kobiety; ująwszy wreszcie rękę jej, ze czcią do ust ją podniósł.

Ira drgnęła w tej chwili, jakby złapana na gorącym uczynku;

instynktom bowiem

poczuła obecność trzeciej osoby.

Za nimi stał Henryk Korski. Dywan stłumił odgłos jego kroków, a twarz, okolona

jasnym zarostem, i zarumieniona od ruchu czy sztucznego

podniecenia, śmiała się,

trochę bezmyślnie może.

— No — mówił — mógłbym być zazdrosnym, ze względu wszakże na formę pocałunku,

darowuję ci go, Alfredzie, bez pretensyi. Doprawdy, wy jesteście do siebie

dziwnie podobni; to więcej niż rys familijny, to Wahlverwandschaft, powinowactwo

z wyboru chyba. Teraz naprzykład: musiała ci ta moja chodząca

ekstaza opowiadać

jakieś bardzo podniosłe rzeczy, skoro ją z taką wersalską dworskością

w rękę całowałaś. Paradni, słowo daję, z ich arystokratycznym wykwinem.

Ira patrzyła niespokojnie na podniecenie i gorączkowy ton męza.

— Niema to — ciągnął, jak nasza młoda, chłopska krew. My, gdy mamy ładną, a tak

ubraną kobietę przed sobą, to, o ile przestajemy na rączce, w ten sposób

całujemy ją przynajmniej.

Odwinął szeroki rękaw żony i wpił się ustami w tętniący życiem i ciepłem

alabaster jej ramienia.

Halińskiemu oczy groźnie zapalały, a żar na mózg uderzył. Zdawało się, iż

postąpi krok naprzód i spiorunuje śmiałka. Żelazną jednak siłą woli powstrzymał

wybuch i, bledszy tylko, z przymkniętymi powiekami stał nieruchomo w miejscu.

— Henryku, to boli — sarknęła Ira, cofając ramię od owego gwałtownego pocałunku.

— Każda rozkosz z bólu się rodzi — żartował rubasznie.

Ona cofnęła się w milczeniu, dotknięta do żywego tą brutalną pieczęcią i

zmysłowym jej wybuchem wobec Alfreda. Wiedziała już teraz, iż mąż jej wracał z

jakichś libacyi; wzmianka bowiem o krwi chłopskiej po kieliszku dopiero wracała

mu na usta.

— Co wy tu pijecie? — pytał, rozglądając się po zastawionym u kominka stoliczku.

— Herbatę i ciasteczka!... No, grzeczne dzieci! Ale ja już z lat dzieciństwa

wyszedłem. Każ podać, proszę, czarną kawę i likiery.

— Nie będziemy palić tu przecież — sztywno zaoponował Haliński.

— Eh, chińskie ceremonie! Ira do cygar przyzwyczajona, a jeżeli chodzi o meble,

kominek i tak dym wyciągnie.

— Cóż, czy dużo miałaś dziś wizyt? — pytał, rzucając się na krzesło.

— Masę. Przesunęła się połowa wczorajszych zaproszonych. Ale wiesz, Heniuś nasz

chory.

— No, to rzecz jego niańki. Nie zawracaj mi takimi bzdurstwami głowy. Ty z

twoją przesadą i egzaltacją, gotowaś zaniedbać najpoważniejsze obowiązki, dla

tego, że dzieciak popłacze lub pokaprysi.

Wniesiono likiery. Korski wpadł natychmiast w dobry humor.
— Niech dyabli wezmą — zawołał, jaki dziś nudny dzień miałem.
Urządzili mnie z
temi opisami w dziennikach! Starzy, przeczytawszy rano, przy kawie,
nuż rwać
sobie włosy ze łbów i brać Dorę na indygację. Potem panny w
telefonach mało nie
powaryowały, gdyż co trzy minuty kazali im łączyć na prze-

mian druty z mieszkaniem mojem i z kantorem. Wzięty w dwa ognie,
pojechałem rad
nie rad, wysłuchać kazania o marnotrawstwie. Zapomnieli, że jestem
pełnoletni;
mają Dorę w domu, mogą jej pilnować.

— Mój drogi — spróbowała łagodząc go żona.

— Proszę cię, nie wtrącaj się! Bo, jak Boga Kocham, tak mi już ta
opieka

zbrzydła, że, gdyby nie to, iż potrzebny mi jest dozór starego w
fabrykach,

zaraz bym go ze spółki wyrzucił.

— Henryku!

— Och, bez żadnych egzaltacji! Tu nie o pięknych uczuciach, lecz o
interesie

mowa.

Haliński, niemy dotąd świadek tej płynnej, alkoholem podniecanej
wymowy, widząc,

jaką ona sprawia przykrość młodej kobiecie — zapytał:

— A jakże spędziłeś resztę dnia?

— Wcale nie ciekawie. Jak moi panowie z kantoru zaczęli, z

Kurjerami porannymi w

ręku, wieszować mi wczorajszego rautu, musiałem, wobec przymówki
tej, zaprosić

ich do restauracji na śniadanie, które, które... które... przeciągnęło się
dotąd.

— Do wieczora?

— Dnie teraz tak krótkie.

— To ojciec znów się rozgniewa — wtrąciła Ira.

— A jak mu się podoba! To jego rzecz: Co do ranie znam jedno tylko prawo.

— Prawo?

— Tak: Die Gegenwart ist eine mächtige Göttin! Co ona każe, to robię w danej chwili.

Reszta do przyszłości należy.

— A propos — dodał — za wczorajszy przepiękny śpiew urządzam niebywałą

owacyę Battistini'emu. Na następne przedstawienie Rigoletta, w którym on

przechodzi sam siebie, kupuję bilety do teatru wszystkim moim urzędnikom z

kantoru, przyczem każdy z nich ofiaruje mu osobny wieniec od publiczności; woźni

zaś, usadowieni na galeryi, z koszami kwiatów, zasypią go, na znak dany,

deszczem bukietów.

— A jakież udział przyjmiesz ty sam w podobnej owacyi? — pytał hrabia drwiąco.

— My będziemy w loży i, rzecz prosta, oprócz rzuconych bukietów, prześlemy mu

na scenę wieniec najpiękniejszy, ze stosownym napisem.

Obstałowałem to wszystko

dzisiaj.

W białych rysach Iry taka się wewnątrzna odbiła męka, że Haliński spróbował

nareszcie zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— Z waszych gości wczorajszych był u mnie dzisiaj pan Orański.

— Bardzo zdolny autor i pełen zapału publicysta — wtrąciła Ira żywo.

— Swój swego znajdzie — rozśmiał się Korski. — W rzeczy samej, talent duży i niepospolity nerw pisarski, ale zmarnowany, bo ideolog i entuzyasta, szukający wiecznie chmur po niebie. Czegoż on chciał od ciebie? — Nosi się z projektem założenia wielkiego, niezależnego dziennika. Chciałby stworzyć organ na wskroś obiektywny, oddany dobrze zrozumianej służbie publicznej, a od żadnej koteryi niezawisły. Ktoś ze wspólnych znajomych opowiadał mu o studiach mych zagranicą i zapatrywaniach na sprawy społeczne; przyszedł więc zaproponować, czy nie zechciałbym stanąć na czele takiego pisma dając mu moralne i finansowe poparcie. — A niechże Bóg broni hrabiego od podobnego interesu — wołał z ogniem Korski, wysączając jeszcze jeden kieliszek benedictiney. — Dostateczną już chyba tych utopij społecznych i narodowych, przez głupich a niepraktycznych skrybentów szerzonych. Buntują proletaryat, głoszą dzikie, niebywałe dotąd zasady i pojęcia. Dobro kraju? Znamy się wszyscy na tem! Dostateczną już chyba krzywdę wyrządziły ogółowi książki, pisane przez

półgłówków, o zapalonych mózgach, a pustych kieszeniach.

— Patryotyzm wszakże — spróbowała wtrącić Ira.

— Mamidło, majaki, których człowiek dojrzały i doświadczeńszy nie tyka, z

obawy, by sobie lub innym krzywdy nie wyrządzić. Ja za twój, lub twego pana

Orańskiego, gołosłowny patryotyzm, nie wystawię komina nowej fabryki, nie dam

jeść setkom ludzi.

— I wieńców Battistini'emu — wtrącił hrabia głosem przekonywającym.

— Nie będę żywic polskiego ludu, ani popierać polskiej sztuki, bo mi elukubracye

podobnych utopistów wytrącają z rąk środki po temu. I pytam teraz, kto jest

lepszym patriotą, ja, czy ów pan Orański.

— Idee jego mogą ci być niewygodne w danej chwili — próbowała jeszcze oponować

Ira — dla przyszłości wszakże —

— Zawracanie głowy z tą przyszłością. Według zdrowego rozsądku powinienem myśleć

przedewszystkiem, aby mnie i memu otoczeniu dobrze było. Apres moi le déluge!

W uniesieniu wymówił deljuż, co hrabiemu zgrzytem przeszło po nerwach.

— Każde pokolenie — ciągnął, — ma swoją, względnie do warunków i okoliczności

wyrobioną politykę i każde konsekwentnie trzy-

mać się jej powinno. Potrzeba chwili, to najlepsze kryterium i najpierwszy w

rzeczach tych postulat.

— Bardzo szlachetny oportunizm i najlepsza droga uniknięcia wszelkich

niebezpieczeństw — przyznał Haliński spokojnie.

Ira tylko dojrzała w jego oczach błysk wzgardliwej ironii.

Oportunizm! Tak; hasło to ukryte, czy jawne, od lat kilku echem swem zewsząd ją

otaczało.

Oportunizm moralny, społeczny upolityczny. Czyż rodzina Korskich wyznawała

kiedykolwiek inne zasady.

ROZDZIAŁ XII.

Gmach teatru Wielkiego gorzał łuną światel elektrycznych.
Stłumiony turkot karet, nawoływania woźniców i ścisk w
przedsiionku, zwiększały
się z chwilą każdą.
Po szerokich schodach marmurowych, wśród szpaleru wyczekujących
tu panów, piał
się ku górze tłum wykwintny, elegancki, atmosferą pośpiechu i
zamętu lekko
podniecony.

Długie treny sukien jedwabnych rozkładały się z szelestem na
stopniach, jak
barwne wachlarze. Z pod błękitnych, białych i różowych kapturków, z
pod
weneckich koronek i andaluzyjskich, pajęczych "mantył",
zarzuconych na misternie
utrefione główki, strzelały ogniem rakiet szafirowe i czarne źrenice.
Kosztowne
futra, lekko na ramiona zarzucone, zdawały się opadać z tych
zbytkownie
strojnych postaci, które, z wnętrza miękkich i ciepłych karet, wprost
do łóż
przechodziły.
Przy balustradzie pierwszego piętra stał, w ową falę ruchliwą
wpatrzony, hrabia
Alfred Bończa-Haliński.
Kapturki we wszystkich kolorach tęczy, rzucone na tło ciemnych futer
i czarnych
strojów męskich, jak rój barwnych motyli, wznosiły się stopniowo ku
niemu.
Z pod wąsów Halińskiego wybiegł uśmiech i, dotarłszy do oczów,
rozjaśnił całe
oblicze.

Wpółród eleganckiego tłumy dojrzał dwie charakterystyczne główki,
obok nich zaś
jasny zarost Korskiego.

— Nie przypuszczałem — odezwał się do Iry, gdy stanęli przed nim,
że perystyl
teatru może posiadać swoją poezję: a jednak patrz:
Nie zdążył jej wszakże pokazać tej rączej, ruchomej fali ludzkiej, na
której,
jak nenufary, chwiały się malownicze główki kobiece;

zasłonił mu je bowiem ponsowy zwój, a równocześnie zabrzmiał głos
Dory:

— Proszę mi rozplatać końce zarzutki, bo sobie poradzić z nimi nie
mogę.

Hrabia uczynił zadość żądaniu, lecz natychmiast zwrócił się do Iry, by
szybko

futro zdjąć z jej ramion.

Stała przed nim, jak uosobienie rusalki, lub jakaś bajeczna Goplana, w
srebrno-

zielonawych draperyach, o barwie zmiennej wody morskiej i piance
delikatnej,

zbierającej się. u ramion śnieżystym puchem iluzji.

Haliński rączkę jej samowolnie o ramię swe oparł i, torując drogę ku
łożom,

mówił poufnie:

— Wiesz, Iro, coraz więcej się przekonywam, jak głęboko tkwi w
każdym z nas

słabostka i przywiązanie do krwi własnej. Dopóki nie wróciłem do
kraju, byłaś mi

prawie obcą; dziś, w tym tłumie, nie widzę nikogo prócz ciebie.

Twoja piękność,

taka idealna wprost mnie dumą przejmuje.

Uśmiech szczęścia rozpromienił jej rysy.

— Mam względem ciebie jakieś nieokreślone poczucie własności.

Prowadząc cię tak,

przituloną, a sobie bliską, chciałbym wołać: Patrzcie, ten kwiat cudny
z tego
samego, co ja, wyrósł drzewa... To moja krew i mój ród!... Nikt
bliższych praw
odemnie mieć do niej nie może.

Głos hrabiego złamał się nagle.

— A prawda! Szalony jestem... Zapominam, że bliższe prawa ma
przecież mąż twój.

Ira poczuła gorycz w jego głosie.

— Henryk jest moim mężem lat parę. Ty, Alfredzie, byłeś mi bratem
zawsze i do

śmierci mej nim zostaniesz. Tego prawa natury nic zmienić nie zdoła.

— Prawda — przyznał uspokojony. Jesteśmy ostatni w rodzie, co
węzeł

pokrewieństwa tem silniej zacieśniać powinno.

W tem stanęli w saloniku, przylegającym do łoży. Hrabia, ujrzawszy
Ire, w

blaskach światła elektrycznego, odsunął się w tył i krytycznym
obrzucił ją

spojrzeniem.

Błękitne jego oczy jaśniały przytem rzeczywistą dumą, pod dużym
blond wąsem

radosny błędził uśmiech.

— Kto ci, Iruś, dał pomysł do tego suggestywnego stroju? Fryne,
wychodząca z

fal morskich, czy?...

Przysłoniła mu lekko usta.

— Siostrze nie mówi się komplementów. On, uperfumowane paluszki
najwpierw

ucałował, zdejmując je zaś z warg swych, objaśnił:

— Kiedy widzisz, Iruś, ja nie dla tego to mówię, że jesteś piękna.

Piękną

bowiem musisz być dla wszystkich. Dla mnie wszakże

istnieje w tobie taki pierwiastek pociągający i przykuwający, jak
gdybyś była
cząstką własnej mej istoty, mojem dzieckiem... moją treścią. Sądzę, że
będąc
maleństwem jeszcze, musiałaś wrócić mi w duszę.
Szarpnięcie klamką, smuga światła, i oboje ku drzwiom się zwrócili.
— Przepraszam, żeście czekali — zabrzmiał głos Korskiego, — ale
Dora, na cześć
nowej toalety, w której jej do twarzy, zatrzymała się na chwilę ze
znajomymi,
aby ją z bliska podziwiać mogli.
Haliński spojrzał baczniej. W sukni płomiennej, jak żar ogniska, przy
białych,
pełnych ramionach i gorącym kolorycie cery, śliczną była naprawdę;
śliczną, ale
nie w jego guście. Zbyt wielka bujność życia, zbyt silnie zaznaczony
temperament, raziły go zawsze w urodzie kobiety.
Z widowni teatralnej dochodziły dźwięki strojonych instrumentów i
stłumiony
szmer tłumy, jakby głośny oddech tysiąca piersi, jak szum oddalonych
fal
morskich.
— Hrabio, oddaję ci moje panie pod opiekę, a nietrudne masz
zadanie, bo
dalibóg, ładne obie!
— Bezsprzecznie; ta suknia ognista gotowa pożar wzniecić wśród
widzów, —
przyznał hrabia, z grzecznym ku Dorze ukłonem.

— Co do mnie, idę organizować kampanię kwiecistą i sprawdzić, czy
personel mój
jest na miejscach wskazanych i czy został należycie uzbrojony.
Pamiętaj Iro, po
wielkiej aryi Rigoletta, gdy nieszczęsny trefniś rozpacza za utraconą
córką, ty,

jakby pod nieobliczonym wrażeniem zapachu, rzucasz mu bukiet na scenę. Dora może uczynić to samo z drugim, a wśląd za hasłem, przez was danem, posypią woźni z galeryi cały deszcz bukietów i wiązanek kwiatowych wielkiemu artyście pod nogi. Gdy się ten pierwszy entuzjazm uspokoi, wtedy dopiero podadzą mu wieńce nasze na scenie. Niech wie, że Korski ocenia talenta i umie być wdzięcznym.

— Ależ to cała kampania, z wojenną strategią ułożona.

— Oho, umiem ja te rzeczy urządzać — odparł Korski z przechwałą szwagrowi.

Zobaczysz, jak się teatr będzie trząsł i szalał od oklasków. Brawa nieustające gmach cały wstrząsną w posadach. Publiczność nasza jest jak proch: rzuć iskrę, a gotowa zawsze wybuchnąć.

— Jeżeli jednak śpiewak nie zasłuży na podobne uznanie, w jakiej będziecie pozycyi?

Korski aż drgnął cały.

— Zmiłuj się, Alfredzie, tyś chyba nie słyszał Battistini'ego w Rigolecie? Ależ to cud,

fenomen! Pomijam śpiew nawet, zobacz jednak ekspresję i siłę dramatyczną, z jaką ten wielki artysta umie zakłócić, potężną swą postać w kształty połamanego, garbatego trefnisia; śledź wyraz jego twarzy, mimikę i grę mistrzowską, a sam kwiaty pod nogi mu ciśniesz.

— Uczynię to chętnie, choćby ze względu na twe życzenie.

— Dziękuję. Wejdźcie już, bo zaraz światła przygaszą. Później i ja się tu

znajdę.

Haliński podniósł kotarę, dzielącą lożę od gabinetu.

— Ogień na pierwszy ogień — wyrzekł żartobliwie, robiąc aluzję do płomiennej sukni panny Dory.

Dora, biorąc słowa te za hołd sobie należny, wysunęła się naprzód loży i,

stanąwszy z ręką o purpurowy parapet wspartą, śmiałym wejrzeniem obrzuciła salę.

Ani potoki światła i fale głów, ani szeregi całe lornetek, nagle skierowanych ku

niej, nie zdołały jej onieśmielić. Stała uśmiechnięta, zwyciężką, z tym charakterystycznym wyrazem tryumfu, jaki pewne siebie, a ładne kobiety, miewają

w oczach, w chwili podniecenia, lub upragnionego podboju.

— Patrz szepnęła Ira do hrabiego — do takich świat należy i te potrafią rzucić go tobie pod nogi.

— Materyalnie i fizycznie, być może, lecz nigdy duchowo. Miłości — największy

czar i siła życia, pozostaje dla nich księgą zamkniętą. Wzbudzą nieraz pożądanie, ale nie będą tak głęboko ukochane, jak istoty podobne tobie, Iro.

Oddawszy kilka ukłonów, a sądząc, że tłumy nasyciły się już dosyć jej obrazem,

Dora usiadła z wolna. Widok Halińskiego, pochylonego ku bratowej, wywołał lekki

dąsik na jej usta. W tej chwili jednak, zmieniając taktykę, zapytała:

— O czym mówicie? Jeżeli wolno wiedzieć?

— O miłości, jako królestwie pani.

— Śliczny temat dla podlotków, lub... zużytych lowelasów.

— Pani nie wierzy w wszechwładne jej panowanie?

— O, i owszem: w operze, no, i... w operetce. Rzeczywistość życiowa nadaje jej

inne cechy; o tych wszakże nam pannom, mówić nie wolno. Wobec tej hipokryzyi, szansę moje w dyspucie z hrabią byłyby nierówne i. dla tego, wolę broń złożyć

Usiadły obok siebie, jakby dla kontrastu, a baterye lornetek nie opuszczały już
Iry. Wielka łza brylantowa, zawieszona we włosach, drżała jak kropla rosy nad jej czołem, podnosząc jeszcze ten strój poetycznej najady.
Hrabia powiódł wzrokiem po widowni.
Natłoczona, strojna, błyszcząca, do wielkiego mrowiska ludzkiego podobna, a w potokach światła skąpana, niezmiernie malowniczy przedstawiała obraz. Na dole, przyciemniona czarnym strojem panów, szalała u góry całą orgya. barw i tonów. Na purpurowem tle łóż i w ramach złocień, mieniły się dyamenty lub błyszczały, sztuczną nieraz białością, nagie ramiona kobiet.
Hrabia Haliński zbyt wytrawnym był światowcem, aby, w skomplikowanym tym obrazie, nie wyróżnić natychmiast rysów znamienych.
— Iro, wyrzekł, — zdaje mi się, że goście z twego muzycznego wieczoru dali sobie dziś rendez-vous w teatrze.
— Koteryę tę — odparła — zawsze tu zastać można. Jest tak liczną, a tak mało zajętą, iż zmonopolizowała muzykę i wszelkie widowiska.
Zgaszono światła. W półmroku, jaki zaległ salę, strojne tłumy zniknęły dla Halin-

skiego. Cofnął się w głąb fotelu i przymknął oczy.

Muzyka cicha, rozmarzająca, płynęła ku niemu, jakby z dalekiego przestworza,
budząc w pamięci zmarłe widma przeszłości.
Nie był teatromanem, trawiącym część życia za kulisami, lub na operowych widowiskach. Ta sala jednak przypomniła mu inne, podobne wieczory; podobne, zwiedzane zagranicą, stokroć wspanialsze gmachy. Kobiety, z którymi niekiedy ukazywał się tam w łóżach, nie zwykły być dla niego okrutne...
A jednak, gdzie ich imiona, gdzie najlżejsze choćby o nich wspomnienie? Jak piana wśród wartkich fal życia, przesuwały się one po powierzchni tylko jego istnienia, nie zdoławszy wnikać do głębin. Wzrok, muskając przelotnie te światowe i nieświatowe przygodne znajomości, na żadnej nie zatrzymał się dość długo, by obraz jej do serca zdążył dotrzeć. Wobec nich nie siedział z przymkniętymi oczami, wracając, jak w chwilach przełomu czy roztkliwienia, do wspomnień młodości i dzieciństwa.
Nie, to widać Verdi dziwną moc posiadał dziś nad nim. Tony, znane mu oddawna, musiały, dzięki wykonawcom, głębsze posiąść dźwięki, bo sięgały gdzieś, do dna duszy, wywołując w niej stare obrazy i majaki.

Widział się chłopięciem, o długich jasnych lokach. Dom rodziców był wielki i zamożny, lecz, wskutek zbiegu nieszczęść, dziwnie poważny. Pieszczonemu jedynakowi, przy zawsze chorej matce, smutno było nad wyraz. Jedyńą, też jego radość, jedyną epokę, według której tygodnie liczył, stanowił czas, spędzany u

stryjostwa, przez młodszą od niego, bladą dziewczynkę, o dużych ciemnych oczach i czarnych, sierocych sukienkach. Ubiegło lat parę. Alfred, jako gimnazysta, przyjeżdżał do domu na wakacje tylko. Nie miał już ojca. Rezydencja wdowia tera bardziej przygnębiającą się stała; a jednak wracał do niej ochotnie, na progu bowiem czekała go zwykle wysmukła, szczuplutka dziewczynka, w jasnych już sukienkach, lecz z tym samym wyrazem powagi i słodczy w drobnej twarzyczce. Cienkie jej ramiona wiązały się z tkliwością dokoła jego szyi, a oczy, figlarne i kochające na przemian, w domu, czy w sąsiednim Borowie, były mu najmiłą gwiazdą przewodnią. Minęły wszakże szczęśliwe dni chłopięctwa, jednoczące ich w każdej myśli i uczuciu. Hrabia, straciwszy z kolei matkę, wyjechał na wyższe studia za granicę. Zdawało mu się, że nie ma wracać do kogo, że sam na świecie, ma prawo rozporządzać własną osobą. Wśród

prac naukowych wszakże, wśród włóczęgi po muzeach i galeryach, podczas zabawy, lub zbierania rzadkich obrazów i przedmiotów artystycznych, poczucie osamotnienia i sieroctwa dojmującym było mu nieraz smutkiem. Przychodziły chwile, w których czuł się tak opuszczony, tak obcy wszystkiemu, co go otaczało, duchem i sercem, jak przechodzeń z innej planety, jak rozbitek, przez groźną falę na niegościnnie brzeg wyrzucony. W jednym z takich

psychologicznych momentów duchowego szamotania się i gryzącej
tęsknoty, hrabia,
pozostawiwszy specjalistom trud zapakowania i przesyłki
artystycznych swych
zbiorów, sam nagle i bez przygotowania powrócił do kraju.
Sieroctwo, osamotnienie, wrażenia te dalekiemi były mu w tej chwili.
Wszak parę
tygodni bawił zaledwo w Warszawie, a ciepło uczuć rodzinnych,
rozgrzało mu,
rozszerzyło serce, stężałe dotąd. Jak mógł zapomnieć o tej, która, w
latach
dzieciństwa i pierwszej młodości, była przecież jasnym promieniem,
rozświetlającym mu duszę, była częścią istoty jego nieledwie.
Srebrny głos Paccini i natchnione tony Verdi'ego, w połączeniu ze
wspomnieniami
wiosny życia, przesłały falę rozrzewnienia do serca Halińskiego.
Otworzył oczy i
pełnem tkli-

wości spojrzeniem objął siedzącą przed nim postać młodej kobiety.
Cofnięta w
głęb krzesła, bardzo spokojna i panująca nad sobą, słuchała w
skupieniu muzyki.
Dla Halińskiego cała sala nie istniała w tej chwili. Jak gdyby chcąc
wynagrodzić
sobie długie lata rozłąki i tęsknoty, pił teraz pełną piersią czar,
wydzielający
się z tej uroczej, a tak bliskiej mu krwią i sercem istoty. Tak, bliskiej
krwią;
on więc, pozbawiony wszelkich innych węzłów, miał prawo i
obowiązek kochać ją i
uważać za część swojej własności.
A jaka była piękna, jaka stylowa przede wszystkim. Ta cecha
pociągała, może
najbardziej wybredne, a do wyrafinowanych, delikatnych form
przywykłe, oko

hrabiego.

Wzrok jego, od greckiej, w klasycyznera uczesaniu główki i blado-
różowej konchy

ucha, na której duża spoczywała perła, szedł zwolna dalej. Co za
szyja!... Co za

przepyszny łuk karku i ramion...

Halińskiemu fala krwi do głowy uderzyła. Ten przejrzysty alabaster,
pod którego

białą powierzchnią życie tętniało, tak był przechylony ku niemu, iż
czuł

subtelny, odurzający jego zapach... I, błyskawicznie, przebiegła mu w
myśli

zasłyszana na raucie rozmowa o suggestywnym działaniu nagich
pleców kobiecych.

Siedział tak blisko, tuż za Irą, że dość

mu było pochylić nieco głowę, by gorące jego usta spoczęły na tym
żywym marmurze
ramion białych.

Wrażenie odczuwane było tak silnym i odurzającym, iż hrabia utracił
na razie

pojęcie rzeczywistości: zdawało mu się, że czuje na ustach ciepło jej
ciała, że

jasny, długi wąs już musnąć je zdołał.

Cofnął się w tył siłą woli. Oczy jego tylko, jak zahypnotyzowane,
zawisły,

przykute do miejsca, w którym ciemne, w górę podniesione włosy,
tem silniej

uwydlatniały białość karku i linję lekko wklęsłą, wzdłuż pleców
biegnącą. W

głowie, jak zwykle w chwilach wzburzenia, wirowały myśli bezładne,
wśród których

wyłaniały się tylko wyraźniej słowa Cyrana de Bergerac:

"Un baiser, mais a vrai dire, qu'est-ce?

Un serment, fait d'un peu plus pres, une promesse

Plus précise; un aveu qui veut se confirmer.
Un point rose, qu'on met sur Vi du verbe aimer.

W tem powódź światła olśniła go nagle.
Wyprostował się i, gwałtownym ruchem w tył podał. Pojął teraz, że
akt był
skończony, jego zaś wspomnienia przeszłości i bezwiednie zmysłowy
czar muzyki,
powiodły na śliską drogę pokusy, tak potężnej, iż wszech-

władnie nią opanowany, nie zdawał sobie sprawy, co się działo na
scenie lub w
sali, nie słyszał ani jednego taktu Rigoletta.

— Hallucynacya — wyszeptał, jakby na własne usprawiedliwienie.
Równocześnie zaś opanowała go trwoga, czy panna Dora nie
obserwowała go czasem z
pod oka, i nie odgadła z gry twarzy tego, co w głowie się działo, żaru
do krwi
dodając.

Przebudzenie to całe trwało jedno mgnienie zaledwo. Wraz bowiem z
blaskiem
świateł, Ira odwróciła ku niemu spokojne, wyrzeźbione oblicze i
zapytała:

— Proszę cię, Alfredzie, czy to mąż mój wychodzi z łoża na
przeciwko?

Podniósł dość żywo lornetkę, by dojrzeć jeszcze Henryka Korskiego,
który,
możliwie w głąb cofnięty, jak gdyby nie chciał, aby go tam widziano,
żegnał

pospiesznym uściskiem dłoni jakąś damę samotną, o bardzo
błyszczących, a mocno
podsiniąłych oczach.

— Wszak to mąż mój? — powtórzyła Ira, nie patrząc w tamtą stronę.
Haliński się zawahał.

— Ależ ma się rozumieć, że Henryk, — wyręczyła go w objaśnieniu
panna Dora,

której lornetka z całą bezceremonialną śmiałością w przeciwną stronę
wymierzona
została. — Fi! Jaki ma zły gust! Skoro się z nią publicznie

prezentuje, mogłaby ta dama być ładniejszą chociaż.

— Ale — dodała, jakby opatrzywszy się nagle, — może ci robię
przykrość, Iro?

Może zaczniesz być teraz zazdrosną o Henryka?

Pani Korska spojrzała tylko na nią, poważnie i przeciągle. Zdawało
się, iż chce

powstrzymać słowa jej, niewłaściwie wypowiedane w obecności
Alfreda.

Panna Dora wszakże nie zwykła kępować swej wymowy.

— Jesteście wzorowem małżeństwem. Lubię twój spokój i tę
swobodę, z jaką Henryk

afiszuje się nawet wtedy, gdy my jesteśmy w teatrze.

W oczach Halińskiego, wpatrzonych w Ire, odbił się wyraz ulgi. Więc
ów

parwenjusz zdradzał jawnie i zdradą tą policzkował tę cudną istotę?

Wobec

podobnego faktu, hrabia mniej sobie wyrzucał śmiałą pokusę, jakiej
doznał przed

chwilą.

W sali huczało i wrzało, tym szumem stłumionym, jaki tylko tłum
wykwintny

wytwarza. Wprost nich, na parterze, przesuwiał się Henryk Korski,
dzieląc uściski

dłoni na prawo i lewo, przyczem, od czasu do czasu, w odpowiedzi
snać na

czynione pytania, podnosił głowę z uśmiechem i wzrokiem stronę ich
wskazywał.

Alfredowi zdawało się wtedy, że słyszy głos jego, powtarzający
stereotypowo.

— Żona moja? Jest tara, na pierwszym piętrze, z siostrą moją i szwagrem, hrabią Bończa Halińskim.

Wszak dla tej próżnej przechwałki, dla zwrócenia uwagi na tytuł Alfreda i

piękność swej żony, obchodził prawdopodobnie znajomych.

Raz jeszcze używał w pełni tryumfu próżności.

— Snob — wybiegło wzgardliwie na wargi Alfreda.

Ira, oddawszy kilka ukłonów, jakby dla uniknięcia dalszej pańszczyzny, wstała i

przeszła do przyległego gabinetu.

Piętrzyły się w nim kwiaty, przyniesione tymczasem przez służbę.

Panna Dora podjęła wielką ich wiązanekę.

— Cóż, Iro, wieńczymy w następnym akcie bohaterskiego barytona?

— Wiesz, że owacye dla aktorów i śpiewaków nie leżą ani w moim charakterze, ani

w moich zwyczajach.

— Co za dzika pruderya! A więc ja i za siebie i za ciebie będę go bombardowała

kwiatami. Wolałabym to czynić w innej roli, gdy jest dorodnym i pięknym.

Szpetota jego,

w charakterynacyi Rigoletta, psuje mi wrażenie i zmniejsza mój zapach.

— Zawierz mi Doro, i zostaw to innym.

— Nic z tego moja droga. Kwestya temperamentu: czarę rozkoszy zwykłam sama

wypijać.

— Czy każdą?

— Każdą, jaką życiu wydrzeć mogę — odparła wyzywająco. — Rozkoszą bogów jest

chcieć, a niedołęźni tylko przyjmują bez szemrania to, co się podobalosom zesłać

im w udziale. Gdybym była mężczyzną, zdaje rai się, że nie pozostawiłabym jednego

nietkniętego puhara, jednej niedościgłej dla innych może, choćby
najbardziej
zawrotnej wyżyny, że podbiłabym i rzuciła sobie pod nogi świat cały.

— A będąc
kobietą? — pytał Haliński z uśmiechem.

Spójrzała mu prosto w oczy. — Powinnam, gdy zechcę, umieć
podbić mężczyznę,
który mi świat ten do stóp przywiedzie, lub cały sobą zastąpi. —
Szczęśliwiec —

westchnął grzecznie Haliński. Dora przysunęła się ku niemu, a
korzystając z
wizyty dwóch panów, którzy zajęli uwagę jej bratowej — dodała
porywczo:

— Panie hrabio, nie lubię komunałów. Nie znoszę, gdy mnie kto
traktuje, jak
dziecko,

lub anioła, bo jestem tylko człowiekiem, ale człowiekiem, który wie,
czego chce

i dokąd dąży. Jako członkowie jednej rodziny, będziemy się
prawdopodobnie
częściej spotykali, chciałam więc ten rys mego charakteru panu
wyjaśnić.

Skłoniła się i zwróciła do łoży, gdzie dzwonkiem wezwana, Ira zajęła
znów
miejsce.

Haliński był już pewnym, że bystremu wzrokowi panny Dory nie
uszła ani pokusa
jakiej padł ofiarą, ani wywołane nią wzruszenie. Rzuciła mu więc
rękawicę, w
celu, którego nie rozumiał dotąd.

ROZDZIAŁ XIII.

— Rodzice mnie wzywali?

Stary pan Wilhelm Korski zerwał się, podchodząc naprzeciw stojącej
w progu
synowej.

— Prosimy, Irenko, prosimy! — wołał, witając ją serdecznie. —
Pragnęliśmy
pomówić z tobą, a tu można zawsze swobodniej, niż u was.

Zarumieniona od zimna, a śliczna w ciemnym futerku, zbliżyła się, by
złożyć

sakramentalny pocałunek na ręce teściowej.

Pani Berta z Müllerów nie uważała za stosowne odłożyć wielkich
drutów i kłębka

czerwonej włóczki, z której robiła właśnie ciepłą halkę. Ręką tylko, w
taki

łokciowy drut uzbrojoną, zsunęła na czoło okulary i z temi szklanemi,
podwójnemi

oczami, bardziej jeszcze do sowy podobna, patrzyła zimno i chmurnie
na wykwinną

postać młodej kobiety.

Lata upłynione nie wiele zmieniły w jej powierzchowności. Rysy
tylko ostre,

zaschły bardziej, włosy zaś, jak gdyby od złej farby, nabrały bardziej
jeszcze

rudo-szarego, matowego odcienia.

— Dzień dobry pani synowej — odparła sztywno, zaledwo
poruszając wąskimi

wargami na powitanie Iry. Równocześnie zaś, oczy jej, mierząc
ponownie postać

młodej kobiety, zdawały się oceniać i taksować na niej każdą nitkę,
zgorszone

skromną elegancją stroju.

W chciwych jej rysach odbijała się wyraźnie myśl:

— Marnotrawnica! Marnotrawnica!

— Rodzice wzywali mnie? — powtórzyła. Stary Korski przysunął jej
gięte,

wyplatane krzesło i, zajmwszy miejsce, skłopotany

a bezradny, patrzył na swą sztywną magnifikę, pozostawiając jej widocznie pierwszeństwo słowa.

Wyprostowała się tedy i, przesywszy Irę zjadliwym spojrzeniem, zaczęła:

— Pocięchy z takiemy dziećmy niema co czekać! Ale wy, to już bez sumienia,

chcecie nas zgubić i zmarnować.

— Langsam, Mutter, langsam, — szepnął Korski pojednawczo.

— I ja jestem z porzondnej familii. —

To "i ja" miało być ustępstwem, zrobionem dla pochodzenia synowej.

— I ja jestem z porzondnej familii: jeden mój wuj ma dystylarnie na Pradze,

drugi wuj browar w Nasielsku, a ciotka jest za nawozamy sztuczny.

Ksiondz mi

też nie nowina. Wiem co porzondna panna robić może! I, rozumie to, nie pozwole

na takie szkandały i paskudztwa!

Ira nie tracąc panowania nad sobą, zeszywniała jednak.

— Co mama chce powiedzieć?

— Widzisz, Irenko — wtrącił Korski ze strapieniem. — Przychodzę rano do kantoru

i biorę gazetę do ręki, a tu nieszczęście.

— Tak zawsze z temy gazetamy — sarknęła pani Berta. — Tylko renke trzymaj w

kie-

szeni i co miesionc jem płac a płac!... Wydrwigrosze od hańby ludzki.

— Ale co takiego? Niechże się raz dowiem?

— A no, stoi jak żywe, że nasza Dora, czarno na białem: panna Dora Korska

jakiemuś śpiewakowi wczoraj publicznie kwiaty rzucała.

— My jesteśmy porzondna familia, nie potrzebujemy, żeby nam dziewczynę obnoszono gazetamy!

— Cicho, Berta, nie przeszkadzaj — ofuknął Korski. Otóż, jak to przeczytałem o mej córce, mało mnie szlag nie trafił. Telefonuję do waszego biura, żeby się dowiedzieć od syna, co to znaczy: Henryka nie ma. Pytam o prokurenta: niema; o Jakubowicza: niema; o Szmigła: niema. Nareszcie, woźny mi tłumaczy, że urzędnicy jeszcze nie przyszli do biura.

— Jako nie przyszli?

— Musieli; zaspać — powiada, bo wczoraj chodzili z kwiatami do teatru.

— Jakby na mnie ukropu nalał!

— Co ty, błaznie jeden — huknę, — myślisz drwiny ze mnie wyprawiać!

— Rzuciłem telefon! Chwytam za czapkę, odrazu do dorożki i na Erywańską.

Wchodzę, kantor pusty; siedzi tylko woźny i ziewa.

— Cóż to, u dyabła za porządki! — wołam. — Gdzie panowie? Gdzie pan Henryk?

A on mi czelnie:

— Czego się pan złości? Za co mi pan wymyśla? Tu rządzi mój pan, a ja robię, co on mi każe.

— Myślę sobie: źle; nic się nie dowiem. Więc mu wtykam czterdziestówkę w łapę, a ta bestya, ziewa znów, jak hipopotam i dopiero powiada:

— Biednemu to zawsze wiatr w oczy. Każdy nakrzyczy i naurąga. I tak, psiakrew, tamci, to siedzieli w krzesłach i poszli za pieniądze młodszego pana na kolącyę.

—

— Co za "tamci"? Mówże raz, durniu, porządnie!

— A no, urzędnicy z kantoru. Że zaś człowiek je biedny, to tej wyjącej pokrace, garbusowi jakiemuś, musiał na łeb kwiaty rzucać; plecy mi wygnietli, aż

piszczałem: Jezu! Marya! nic za to nie dostałem i jeszcze pan tera wymyśla!

Tamci wylegiwają się, choć blisko -a godzina, a ty, żeś woźny, to jak pies

wartuj i czekaj...

— Niby tu kto przyńdzie. Już minęły te czasy, kiedy klijeny drzwiami i oknamy waliły.

Pani Berta sapała głośno, wycierając nos z łoskotem.

Stary fabrykant zdawał się także głęboko poruszony.

— Wsadziłem mu więc w łapę drugą czterdziestówkę i dopiero dowiedziałem się wszystkiego: Jako Henryk rozegnał wczoraj urzędników za wieńcami i kwiatami, jako cały personel był na jego koszt w teatrze, a potem na kolacyi, jako w sali, na znak dany z waszej łoży, rzucali te kwiaty jakiejś pokrace połamanej.

— Lafiryndzie pewno, a nie pokrace — westchnęła mama Korska, łązy rzesiste ocierając.

— Jako Dora też naprawdę kwiaty komedyantowi ciskała i, stojąc, krzyczała coś do niego.

— O, moje niewinne dziecko! — jęknęła stara. Co wyście z niego zrobili!...

— Przepraszam — wtrąciła Ira z lodowatym spokojem — kogo tu mama o postępowanie córki obwinia?

— Ciebie — brzmiała porywcza, a ostra odpowiedź. — Pani, jako
mężatka, miałaś
ją pod swojom opiekom.

— Dora nigdy pod wpływem moim nie była. Widuję ją tylko na
zebraniach i w
teatrze. Wczoraj zaś, gdy przybyła niespodzianie w balowej sukni,
dowiedziałam
się dopie-

ro, że jedzie z nami na operę.. Musiała umówić się o to z Henrykiem.
Pani Berta zaperzyła się, powstrzymał ją wszakże, nakazujący ruch
ręża.

— Las dach, Mutter. Tu o ważniejsze rzeczy chodzi.

I, zwracając się do synowej, pytał poważnie:

— Czy to prawda, Irenko, wszystko, co mi ten osioł opowiadał?

— Prawda, ojczy.

Teraz, z kolei, w oczach młodej kobiety, ciche łzy stanęły.

Stary fabrykant dojrzał je i smutnie na piersi spuścił głowę.

— To źle — wyrzekł po chwili milczenia. — Źle z nami i z twojem
życiem,

dziecko. Żal miwaszego syna...

Milczała, nie chcąc się zdradzić, z dławiaćcem ją wzruszeniem.

— Tyle piniendzy! Tyle piniendzy! — szemrała z oburzeniem
rozjątrzona

fabrykantowa.

Mąż, po raz pierwszy, z gniewem na nią spojrział.

— Nie o pieniądze tylko tutaj chodzi — poprawił surowo. —

Mogłem Henrykowi

przebaczyć do czasu wszystkie szaleństwa, licząc, że młodość
wyszumić się musi,

ale teraz lekkomyślność jego zatrwajające przybiera już roz-

miary. Niepomny na grosz, krwawo przezemnie zapracowany, trwoni
wszystko bez

celu, z rozrzutnością bezmyślnego chłystka, próżnuje całymi miesiącami,

odstrasza klientów, demoralizuje podwładnych.

Pani Berta chlipała głośno.

— Niepomny obowiązków względem ciebie, ani przyszłości syna, zamiast pracować

na stanowisko w świecie, chce je rozrzutnością i szaleństwami zdobyć, a przytem

Dorę pociąga za sobą.

— To jej wina! — wybuchnęła stara fabrykantowa wściekle. — Jemu nie czas się

było żenić! Po co mu jakaś hrabianka? Ja bym mu znalazła pannę z piniendzmy, z

porzondnego domu, gospodynie, co męża prowadzić umie.

Ira, bardzo blada, wrodzonym taktem i wstrętem do kłótni trywialnych kierowana,

ani jednego nie odrzekła słówka. Pozostawiała im najzupełniej do ocenienia, kto

w związku tyra więcej tracił: moralnie, społecznie i duchowo.

— Z mężem - ciągnęła rozsierzdona jędza, trzeba umieć postępować, trzeba go

wziąć w garść i ostro trzymać, na nic nie pozwalając. W małżeństwie i

gospodarstwie musi być ład, inaczej, jak kobieta za wielka pani,

wszystko na psy

pójdzie.

— Daruje pani, ale jak szłam za mąż, nie godziłam się za guwernantkę, któraby

pana

Korskiego prowadzić i kierować nim miała. Co zaś do zbytków, lożą one nie w

mojej, lecz w Henryka naturze.

Wypowiedziała to w chwili oburzenia, do żywego słowami teściowej dotknięta.

Wspomniawszy jednak natychmiast zasadę, że: "Drzewo milczenia rodzi najlepsze owoce: jedność i zgodę", postanowiła na wszelkie dalsze zarzuty, ani jednej nie odrzec sylaby.

Groźne spojrzenie Korskiego powstrzymało rozpędzoną wymowę jego żony. Wiedziała, że są chwile, w których sprzeciwiać się mężowi nie jest rzeczą bezpieczną.

— Moja Irenko — łagodził Korski — osobiste zarzuty do niczego nie doprowadzają;

faktem jest wszakże, że się chyba dobrowolnie usuwasz od wpływu na Henryka.

— Nigdy go nie miałam; a dziś, zbyt mało widuję mego męża, abym o oddziaływaniu na niego marzyć mogła.

— Wiem o tem i zrozumieć cię nie mogę. Tak piękna, jak ty kobieta, powinnyby młodzieńczy jego temperament owładnąć, poskromić i przykuć do siebie.

Dla ludzi tych, w gruncie pobłażliwych na wybryki syna, miłość istniała tylko w formie swej najbrutalniejszej; o treści jej duchowej zdawali się nie mieć

najlżejszego pojęcia.

Ira uśmiechnęła się gorzko.

— Aa, nie masz widzę zamiaru, ani ochoty próbować.

— Nie; bo do roli, wyznaczonej mi przez ojca, nie czuję się na siłach.

— Spróbuj, Iro. W imię przyszłości własnego dziecka, nic nie powinno ci być trudnem. W przeciwnym razie, o ile ty nie potrafisz. Henryka na drodze szaleństw i życia pozadomowego powstrzymać, zmuszony będę ja środki zaradcze

przedsięwzięć. Jakkolwiek więc posag Dory jest zabezpieczony,
jednakże, nie
chcąc, aby moje wnuki bosy chodziły, odsunę Henryka od zarządu
interesami, a
płacić mu będę jedynie pensyę na wasze utrzymanie. Położy to raz na
zawsze kres
marnotrawstwu i takim, jak wczorajsze, wybrykom.

— Co za wstyd! Co za wstyd! — jęczała jego żona, coraz szybciej
poruszając
drutami.

— Wstydu niema, jest tylko zbyt późno niestety, przedsięwzięty
środek zaradczy.

Gdy i ten pomódz nie zdoła, będę zmuszony energiczniejszego
poszukać.

— Może ojciec być pewny, że co do mnie zgodzę się najchętniej na
wszelkie

ograniczenia — przyznała Ira powstając. — To życie nieustannego
blichtru i zabaw

ciężarem mi się już stało.

— Jeszcze jej źle! — syknęły druty.

— Pragnę też gorąco powrócić raz do normalnego bytu, strzedz domu
i syna mego.

Wszak proponowałam, iż w wolnych chwilach zajmę się chętnie dołą
robotników

fabrycznych i ich dziećmi.

— To niepotrzebne. Od tego trzymam ochroniarkę. Po co im w
głowach przewracać.

Odmawiał, propozycja jednak sama już rysy jego rozpogodziła.

— Ojczy — mówiła Ira, korzystając z tego — na wszystko się
zgadzam, lecz proszę

o rzecz jedną: Niech ojciec raczy tak sprawą całą pokierować, aby
oszczędzić

możliwie miłość własną Henryka. O ile go znam bowiem, może, raz
zadrażnięty,

przy dzisiejszem swem ciąglem podnieceniu i zdenerwowaniu,
posunąć się do
jakiegoś ostatecznego kroku, którego żałowałby później?
— Więc cóż radzisz? Mów; wszak tu o was chodzi?
— Możeby, przy ograniczeniu pieniężnem Henryka, zachować mu
jednak pozory
zwierzchnictwa i jakieś stałe zajęcie. Zmiana mniej by go upokarzała
w ten
sposób.
— Tytułu jej się zachciewa — syknęła Berta z Müllerów. — Paniom
dyrektorowom by
została.

Ira powstała i, wyprostowana, zwróciła się ku niej:
— Nie, pani. Że o tytuły nie dbam, sędzę, iż dałam dowód,
wyrzekając się na
zawsze tego, do którego urodzenie dawało mi prawo. Godność
wreście
"dyrektorowej" może tylko imponować na podwórku fabrycznem,
lecz nie w świecie,
do którego pochodzeniem i wychowaniem należę.
— Wilhelm, ona mi ubliża!
— Nie ubliżam, bo wiem, jakie względy teściowej się należą. Nie
rozumiem
wszakże, po co zawezwaną zostałam? Jeżeli dla zdania sprawy z
przebiegu
wczorajszego wieczoru, to Dora lepiejby to uczyniła; ona bowiem, nie
ja, w
owacych brała udział.
— Ba — westchnął Korski zcicha — gdzie jej szukać? Od rana
przecież na mieście.
— Jeżeli nie dla naradzenia się nad przyszłością Henryka, bo ta
bezemnie z góry
postanowioną została, lecz dla słuchania wymówek i impertyneneyi,
do których nie

przywykłam, nikt bowiem dotąd mówić mi ich nie śmiał, w takim razie, dla przerwania przykrej tej sceny, pozwoli pani, że ją pożegnam.

Skłoniła się i spokojnie ku drzwiom zwróciła.
— Arogantka! — dobiegł ją za progiem skrzekliwy i syczący głos świekry.

ROZDZIAŁ XIV.

— Proszę cię, powtórz raz jeszcze. Słowa te, tak cudnie tłumaczą urok pocałunku!

Ira, opuściwszy haft na kolana, z igłą podniesioną w prawej ręce, cała w słuch

zamieniona, patrzyła rozpromienionemi oczami w ponsowe usta

Halińskiego,

skandujące umiejętnie:

"Un secret qui tend la bouche vers l'oreille,
Un instant d'infini, qui fuit un bruit d'abeille
Une communimi, ayant un gout de fleur
Une manière d'un peu se respirar le coeur
Et d'un peu, se goûter, au hord des levres — l'ame".

Opuścił książkę i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ciche, jak szum skrzydeł anielskich, westchnienie, podniosło pierś kobiety i, szmerem swym niepochwytym, pierwsze przerwało ciszę.

— "Et d'un peu se gouter, au hord des levres — l'ame" — powtórzyła z rozmarzeniem, jak gdyby siła wyższa, w duszy utajona, zmuszała ją do

wypowiedzenia słów tych głośno. — Jakżeż ta poetyczna przenośnia
uprzytomnia
subtelnie czar idealnego uczucia.

Oczy ich, siłą wewnętrzną przykute do siebie, rozpierzchły się nagle i
odwróciły. Lica Iry zróżowita leciuchna jutrzienka rumieńca.

Podniosła haft, jakby dla pokrycia doznanego wrażenia i, pochylona
nad nim,
mówiła:

— Prawdopodobnie, bawiąc we Francyi, musiałeś widzieć "Cyrano"
na scenie? Słowa
te więc są ci dobrze znane.

— Tak. Słyszałem je z ust Coquelin'a i czytałem; ale...
Zawahał się.

— Ale?

— Ale piękność ich pojąłem w tej chwili dopiero... Są wyrazy, które
nabierają

wtedy zaledwo znaczenia, gdy je mamy z kim podzielić; gdy je
wypowiadamy

istocie, godnej ich treści, a zdolnej do zrozumienia piękności ich i
uczuc,

jakie wywołują.

Mówił tak miękko i serdecznie, iż nie groziła mu tym razem
paluszką za

niedozwolony komplement.

— Wiesz. Iruś, nie wyobrażam sobie nic słodszeo i głębszego, nad
przywiązanie
braterskie. Takie tu wszystko proste i szczere, takie wolne od obłudy
form

towarzyskich. Czasem zdaje mi się, że się w tym twoim saloniku
urodziłem i że w

grunt jego tak potężnymi wzrosłem korzeniami, iż żadna burda
wyrwać by mnie stąd

nie mogła. Nawet "Cyrano de Bergerac", przebrzmiały już i znany,
nabiera nowego

znaczenia i nowego uroku, gdy go wraz z tobą czytam.

Podniosła ku niemu oczy, głębokiem uczuciem tkliwości rozjaśnione.
— Dziękuję, Alfredzie. I mnie teraz lepiej, różniej na świecie... Odłóż jednak

książkę i pomówmy o tobie.

— "Jakto, nie chcesz słuchać dalszych dziejów tego pocałunku, nieuniknionego:

a cause De sa inoustache blonde, et de votre levre rose.

Spojrzała na jasne wąsy Halińskiego, i jakby obawą jakąś kierowana, przecząco

wstrząsnęła głową.

— Nie, porzucmy poezję, a przejdźmy do prozy. Czy zostajesz na zimę w

Warszawie?

— Bezwarunkowo. Urządzam stary nasz dom na Nowym-Świecie; daję w nim również

przysłówek "Słońcu", bo tak ci panowie chcą nazwać nowy nasz dziennik.

— A więc namówili cię na pożyteczne to wydawnictwo?

— Nie oni; nie Orański ze swym altruistycznym i społecznym optymizmem, lecz

jedna pani powiedziała mi raz, że czas, abym część pieniędzy, rozrzucanych dotąd

zagranicą, obrócił na dobro kraju, stając na pierwszej niezajętej, a pożytecznej

placówce.

— Ja tego nie mówiłam.

— Aleś myślała i dała do zrozumienia, a ja z radością, za wskazówką poszedłem.

Serce dobrej kobiety odgadnie często, samą intuicyą, swą, najpożyteczniejszą

drogę, jaką mężczyźnie powinienby wskazać zdrowy rozsądek, gdyby go w właściwej

dozie posiadał.

— I nie boisz cię "mnożyć półgłówków o zapalonych mózgach, a pustych

kieszeniach? Nie lękasz się, szerzyć "dziedziny uczuć głupich, a niepraktycznych, egzaltujących u ogółu niepotrzebne pojęcia" — pytała żartobliwie cytując słowa, wygłoszone niedawno przez swego męża.
— Nie — odparł Haliński z uśmiechem. Troska o puste kieszenie mnie będzie obciążać, byle tylko zapal mózgow tych dał się przetopić na szczere złoto rzeczywistego talentu.

Szarpięcie dzwonka przerwało dalszą rozmowę. Ira drgnęła i, nasłuchując niespokojnie, podniosła głowę.
— Henryk wraca; lękam się, że miał o ów wybryk w teatrze niemiłą z rodzicami przeprawę.
Korski, uściskawszy w milczeniu dłoń hrabiego, a nie witając żony, siadł chmurny i zły widocznie.
— Cóż — odezwał się wreszcie, z gryzącą ironią: haft i książka? Romans pewno?
To ideał, stworzony dla Iry. Dziwię się nieraz doprawdy, jak można, żyjąc w świecie, chodzić wiecznie po chmurach i tak mało mieć sprytu. Ty jak ozdobna roślina, zostałam widocznie nie do czynu, lecz do wegetacyjnego istnienia przez Opatrzność przeznaczona.
— Czy popełniłam co złego?
— Niema co mówić, byłabyś nas pięknie ubrała! Gdybyśmy mieli wyjść z torbami, to byś też widać palca nie zagięła, aby mnie od podobnego uchronić losu.
— Nie rozumiem, Henryku.
— Po co to udawanie, moja Iro? Zawezwana przez rodziców, w sprawie głupiej

owacyi teatralnej, zamiast ich ująć i rozbroić, zamiast dać poznać, że wstyd, aby się w takie drobiazgi mieszała, ta udaje obrażoną i doprowadza swem dzikiem, pewno "pełnem godno-

ści" zachowaniem, do tego, że mi chcą do połowy obciąć dochody.

— Nie byłeś tam, Henryku, więc nie wiesz jak bolesne zarzuty czyniła mi twoja matka.

— A któż ci kazał na takie idyotyczne gadanie zwracać uwagę? Bierz przykład z

Dory; oto dzielna, a praktyczna dziewczyna! Nie słuchając nawet bzdurnych

oskarżeń, wywróciła, jak to mówią, kota ogonem w worku, zaimponowała starym,

wprawiła ich w najlepszy humor i doprowadziła do tego, że nie tylko nie ma mowy o

żadnych zmianach w interesie, ale jeszcze rzucili mi się na szyję.

— Ojciec cytował fakty, którym nie mogłam zaprzeczyć.

— Dora też nie przeczyła, ale nadała im takie oświecenie, że stary gębę

rozdziawił.

— Doprawdy, nie pojmuję.

— Bo ty niczego nie pojmujesz; z księżycyca widocznie spadałaś!...

Dora ma rację,

nazywając cię "chodzącą ekstazą". O, tamta to stworzona do życia i walki o nie..

Główka nie od parady; spryt i bystrość aż się w niej iskrzą. Dobrze, że ona

przynajmniej będzie mi jakąś pomocą.

— Wierzaj, Heniu, że pragnęłam postąpić jak najlepiej. Matka twoja jednak...

— A cóż z tą matką wyjeżdżasz! Od tego są na świecie świekry, żeby były

wiecznie

z żon swoich synów niezadowolone. Każde dziecko wie o tem; ona
zaś fakt, znany
od potopu, dziś dopiero spostrzedz raczyła! Uderz zresztą w strunę
własnego
interesu teściowej, a zaraz będzie dla ciebie czuła i serdeczna. Zrobiła
to za
ciebie Dora, tak, że możesz teraz jechać na Leszno, a przekonasz się,
że matka
przełamie nawet sknerstwo swoje, i, na twoje przyjęcie tłustego cielca
zabić
każe.

Na myśl tę rozśmiał się sam nagle. Jak u wszystkich ludzi, żyjących
gorączkowo i
tem zdenerwowanych, rozdrażnienie i gniew, szybko powstałe, a
niepohamowanie
wybuchające, ustępowały u Korskiego równie prędko miejsca
przygnębieniu lub
dobremu humorowi. Spokój tylko, w obecnem usposobieniu, mało mu
był znany.

Spostrzegłszy przytem, że hrabia był świadkiem "sceny", jaką robił
jego

siostrze, zawstydził się i pragnął wrażenie to zatrzeć co najrychlej.

Przysunął

się więc i, ujawszy rękę żony, pocałował ją na znak łaski.

— No, już zgoda. Iro, tem więcej, że złe naprawione, a twoje
przymioty

ozdobnej, pałacowej rośliny, będą mi teraz więcej, niż kiedykolwiek,
potrzebne.

Spójrzała na niego pytająco:

— Wyobraź sobie, że Dora, widząc burzę na jaką się zanosi, skoczyła
ojcu na
kolana,

objęła go za szyję i pyta, patrząc prosto w oczy:

— A cóż to, tatuś nie chce zapewne swej jedynaczce ani szczęścia,
ani

przyszłości, ani stanowiska w świecie? Myśli ojciec może,
zamarynować mnie w

garbarni i wyprawić ze mnie, jak z cielęcia lub krokodyla, skórę na
portmonetki?

Stary oczy szeroko roztworzył i zgłupiał. Ona zaś chustką ociera
powieki i mówi,

raz łzy, raz pasyę udając:

— O, ja nieszczęśliwa, żem się w tem piekle garbarnianem urodziła!
Tu przecież,

na to Leszno ohydne, królewicz po mnie nie przyjdzie, a za żadnego z
waszych

fabrykantów ja też nie pójdę. Wolę umrzeć, wolę się utopić!

— Herr Je! Herr Je! — krzyknęła matka.

— Gdy więc — ciągnęła Dora — w skóry Zapatrzeni, o własne
dziecko nie dbacie i

dla

jego szczęścia nie zakrzywicie palca nawet, to któż ma o tem
pomyśleć, jeżeli

nie brat rodzony? Kto mi na ziemi zostaje, oprócz niego? Jeżeli jednak
za to, że

mnie w świat wprowadza, że chcą mnie świetnie wydać za mąż,
czasem jaki balik

wyda, lub do teatru mnie zawiezie, ma pokutować i mieć ciągle piekło
od

rodziców, to i ja stąd precz pójdę, w świat, między obcych w służbę.

Szlochała. Ojcu jakoś głupio robiło się na sercu. Zaczęli patrzeć z
matką

porozumiewawczo na siebie, a mnie śmiech tłumiony mało nie udusił.

Dora, widząc zwycięstwo po swej stronie, zeskoczyła z kolan ojca i
wołała

tragicznie:

— Weźcie sobie wszystko, nie chcę ani grosza z tej fortuny, o której mi ciągle mówicie! Rozumiecie, ani grosza! — Tu pięścią w stół huknęła. — Niech wam te pieniądze zastąpią dzieci rodzone! Nacieszcie się nimi! Chodź Henryku — wołała, wyciągając do mnie rękę, — my, wypędzeni, dla marnej garści złota, pójdziemy stąd precz na zawsze, pójdziemy w świat w jednej nawet koszuli!... I ciągnęła mnie za rękę ku drzwiom. Matka w bek. Dora zatrzymuje się:
— Po co płakać? — woła. Przecież, zamiast dzieci i wnuków, będziecie mieli pieniądze!...
Dora ma minę bogini-mścicielki, rzucającej przekleństwo. Matka szlocha spazmatycznie, ojciec nie wie co ma robić. W progu wreszcie dajemy się zatrzymać i przebłagać. Następują uściski, łzy, przebaczenia i wśród zobopólnych narad i wylewów, staje wniosek, abyśmy celem nietamowania przyszłości Dory, w jak najkrótszym czasie, wieczór tańczący, respective, bal wielki wydali.

Był taki komiczny w zapale opowiadania, gestykulując i przybierając, już to pełne wyrzutów i oburzenia, już tragiczno-rozpaczne pozy i intonacje Dory, że zarówno hrabia, jak Ira śmiali się mimowoli.

— Oto machiawelizm i spryt niewieści, przed którym czoło pochylić kończył Korski. — A teraz, twoja kolej, Iro; będziemy bowiem mieli bal; nikt zaś tak go urządzać, i nikt wśród niego tak królować nie potrafi, jak moja piękna pani.

Ira spoważniała. Gdy komiczna werwa opowiadania przebrzmiała,
wydało jej się to
wszystko płytkiem, trywialnem i nad wyraz smutnem.
Haliński odczuł i zrozumiał jej wrażenia.
Dla Henryka tylko były one księgą zamkniętą.
— Co do balu zresztą — kończył, możemy jeszcze poczekać.
Rodzice wobec nalegań
Dory, muszą mnie sami o to parokrotnie poprosić.
I, dumny z polityki swej, myślał już tylko o tem, jakby się z domu na
miasto
wydostać.
Tryumf, odniesiony nad Korskimi, nie był tak niespodziewany, jak się
ich synowi
zdawało. Grunt do niego przygotowywała panna Dora oddawna. Obca
swojej bratowej.

z którą jednej wspólnej nie miała myśli, trzymała się od niej zwykle
zdaleka,
poprzestając na zbliżaniu się ku niej, na oficjalnych tylko przyjęciach.
Teraz,
gdy z taktyki jej wypadło, aby być codziennym gościem Iry, postarała
się o pozór
do nagłej tej zmiany. Tarapaty więc Henryka, zaproszenie jego i
wyrażna pod tym
względem wola rodziców, miały aż nadto usprawiedliwić zmianę
frontu z jej
strony.
Bardzo zacofany, a iście mieszczański dom na Lesznie, zbyt jej się dał
we znaki,
aby w nim dłużej pozostać pragnęła. Stosunki towarzyskie rodziców o
zgrzyt zębów
przyprawiały ją tylko. Rada więc, nie rada, musiała poprzestawać na
domach
dawnych przyjaciółek i towarzyszek z pensyi, wybierając rzecz prosta,
bardziej

tylko znane i wyżej od siebie postawione w hierarchii społecznej. Ładna mieszczańeczka, wstydząca się fabryki ojca i ubogiej jego rodziny, a naśladowca bezmyślnie gusta i zwyczaje wielkich pań, przyjmowaną tu była, zarówno dla wielkiego swego posagu, jak dla wszywającej trochę, a pełnej temperamentu urody, oraz dla nieposzlakowanej opinii, jakiej ojciec jej, bądź co bądź, w sferach kupieckich używał. Hymen wszakże, z tych przyjaźni szkolnych, córa. inną wyrywał; panna Dora zaś

spozstrzegą, że ani jej oczy czarne, ogniem i życiem tryskające, ani szyk sportsmeński i błyszczący, świetny na pozór umysł, nie zdołały dotąd przykuć do niej nikogo. Męskie jej upodobania i ruchy bawiły, paradoksy, poczerpnięte z trzeciej ręki i swobodna zalotność zachwyciły, ale nie tych, dla których tyle zadawała sobie trudu.

W takiej to chwili na horyzoncie jej świata, ukazał się stryjeczny brat Iry.

Posag i uroda nie wystarczały od dawna pannie Dorze.

Do atutów posiadanych, pragnęła gorąco dołączyć: szlachectwo stare a autentyczne stosunki, koligacje i wpływ w sferach, które dotąd niedostępne dla niej były.

Idealów tych nikt nie mógł ziścić łatwiej od Alfreda Halińskiego.

Wprawdzie i brat jej ożenił się już w tych kołach, ale owa

"egzaltowana

arystokratką", przyjęła przecież nazwisko męża, a była sierotą, odciętą od

rodziny. Hrabia Alfred BończaHaliński, to rzecz inna. Najpierw dawał jej imię znane, o historycznej tradycji i prawo do arystokratycznego tytułu. Następnie był jeszcze od niej bogatszym, spokrewnionym z najlepszymi rodzinami w kraju, przystojnym, utalentowanym, rozumnym. Takiego premjum z rąk się nie wypuszcza. Skoro zaś był blis-

kim krewnym jej bratowej, skoro lubował się w towarzystwie tej "chodzącej po chmurach ekstazy", należało zbliżyć się do niej i korzystać z tego, by z kart, trzymanyh w ręku wyciągnąć dla siebie wielką wygraną. Czy plan zgadzał się z poczuciem godności kobiecej, nie zastanawiała się nawet. Gdy cel zostanie raz osiągnięty, któż pyta o drogę, jaką zwycięzca do niego doszedł? Sieci jej zresztą pajęczce zbyt były delikatne, aby je czyjekolwiek oko dojrzeć mogło. Pamiętna zasady: "Nie mów przyjacielowi rzeczy, o której nie chcesz, aby się wróg twój dowiedział", nie zdradzała zamysłów swych nawet przed ojcem lub bratem. Roily się one tylko w śmiałej jej główce, coraz nowe przybierając tam kształty.

ROZDZIAŁ XV.

— Stalugi i blejtram z niepokalanem płótnem w twoim salonie Iro? Co to znaczy?

— To ja jestem tak śmiały, że uzyskawszy pozwolenie Henryka, spróbuję uwiecznić

bratową pani.

Pan maluje?

— Troszeczkę, po amatorsku. Że zaś, w Halsku posiadamy galerye portretów rodzinnych, pragnąłbym dorzucić do niej wizerunek Iry, jako ostatniej z rodu.

— Ostatniej? A przyszła żona pańska?

— Ta buja jeszcze w przestworzach; a że może z nich nie zejść nigdy na ziemię,

tymczasem więc Ira pada ofiarą dyletanckich mych pokuszeń.

— Nie wierz mu, Doro, — wtrąciła, podchodząc ku nim pani Korska.

— Kto w

Salonie paryskim brał nagrody, ten nie może powoływać się chyba na amatorskie

próby swego pędzla; jest bowiem publicznie uznanym, wytrawnym artystą.

Młoda panna o krok w tył się cofnęła.

— Hrabia pozwoli — mówiła żartobliwie, przyjrzeć się potomkowi wielkich

praojców, który, gwoli dalszego uświetnienia rodu, szyszak i buławę przodków na

pędzel zamienił.

— Pani — odparł Haliński, z głębokim, dworskim ukłonem, rękę do piersi

przykładając, — gdy zbroję rdza zjadła, a buławę do muzeum zamknięto, dumny

jestem, że mogę leroiesz-gęsią, boćkowskiego zaś, paletą zastąpić.

Skłonili się sobie nawzajem, z ceremonialnością, godną dworu

Ludwików.

Dora miała swój sposób "brania" ludzi. Rozśmiała się więc, ukazując zdrowe, jak

perły zębki, i mówiła z lekką arogancją.

— Może to być zgodne z duchem czasu, lecz niemniej, nie wątpię, że
gdy tak
dalej pójdzie, potomkowie rycerskich rodów będą, w XXI wieku
dzieci kołysać i
pończochę robić.

— Chyba "błękitną", bo ich to do wpływu i towarzystwa pań zbliży.

— Co za ładny marivaudage — wtrąciła z uśmiechem Ira — Nie
poznaję cię
Alfredzie.

— A jednak, jakkolwiek w formie żartu, wygłaszani jedno z
głębokich mych
przekonań: odkąd rycerstwo, poetyczne w opowieściach tylko, a tak
drogie sercu

panny Dory, zabił militaryzm —

— A sport? Zapomina hrabia o sporcie, rozkoszy bogów!

— Bogowie inne, mam nadzieję, znali rozkosze. Sport, ów śmieszny,
surogat

rycerstwa, posunięty zbyt daleko, tracąc własności higieniczne, staje
się wprost
idiotycznym.

— Kończ myśl pierwotną — prosiła Ira.

— Otóż, odkąd rycerstwo zastąpił i zabił militaryzm, a wytwórczość
fabryczna,
niezbędna dla bogactwa kraju i podtrzymania bezrolnego płoletaryatu,
uwalnia
kobietę od robienia pończoch i wielu prac domowych, obowiąz-

kiem jest wszystkich, którzy na chleb nie pracują, zajmować się
gorliwie życiem

umysłowem i dążyć do pomnożenia duchowego dorobku
społeczeństwa. W dziedzinie

zaś tej wzajemne oddziaływanie na siebie mężczyzny i kobiety
powinno być równie

potężnem, jak w rzeczywistości.

— Sądzi pan, że płatne siły tu nie wystarczają?

— Nie pani, bo artyzm, to zazdrosna kochanka, której się trzeba poświęcić bezwzględnie. Gdy więc na kogo czar swój rzuci i zaprzęże go do swego rydwanu, wybraniec taki powinienby zwolnionym być przez społeczeństwo od ciężkiej o byt walki. Żyjąc czas dłuższy zagranicą, w kołach literackich i artystycznych, a śledząc głównie rozwój naszych rodzimych talentów, dość licznych w kolonii polskiej, bo dążących na Zachód po światło i wiedzę, po nowe prądy i nowe kierunki, przekonałem się dowodnie, jak wielkim szkopułem jest dla nich brak środków materyalnych, jak wiele ognistych umysłów spala się własnym, przez biedę stłumionym żarem, jak potężne nieraz talenta łamią się i rozbijają na okruchy monety zdawkowej, w codziennej, gorzkiej walce o prosty kawałek chleba.

— A przecież, według przyjętej zasady, przeciwności wyrabiają ludzi.

— Charakter, lecz nie talent. Zresztą, jeden jak drugi może się przetopić na czyste złoto, w ogniu wielkiego uczucia, lub wielkiego nieszczęścia, lecz okopci się tylko, zbruka i popeka na dymiących głowienkach zawiści, lub na żarze doskwierającej biedy. Głęboki ból życiowy uszlachetnia niekiedy duszę i umysł ludzki; ciągle wszakże, codzienne, a trywialne, groszowe troski, muszą wypaczyć usposobienie i zwichnąć zdolności, muszą połamać skrzydła najczystsze nawet natchnienia.

Haliński mówiąc to, rzucał równocześnie śmiało rysami pierwsze kontury na

plótno, bokiem do pań ustawione.

Przez chwilę głębokie panowało milczenie.

-- Cóż za podniosłe zadanie ratować takie skarby duchowe od zagłady

— mówiła Ira

z przejęciem. Gdybym była osobiście bogatą kobietą, szczęśliwą czułabym się,

używając w ten sposób majątku.

— Zapominasz — wtrąciła Dora, że masz syna, dla którego musiałabyś strzedz

każdego grosza.

— Niech Bóg broni, Doro. Troska o przyszłość dziecka daje się doskonale

połączyć z poczuciem i spełnieniem obowiązku obywatelskiego.

Szczęście, jakim

syn mój jest dla mnie, powinno i innych promieniami swymi

ogrzewać; w przeciwnym

razie, czyżbym go

w atmosferze egoizmu i filisterstwa zdołała na pociechę i dumę swą wychować?

Czarne oczy panny Dory zmatowały się, tracąc blask swój stopniowo.

Cała ta

dysertacja zbyt długo dla niej trwała. Inteligencja jej i sławiony sprycik

salonowy nie zwykły były sięgać na tak daleką metę. Zresztą, w dzisiejszym

Kuryerze nie czytała nic o tem. Skąd ci dwoje chorowali na równie "ciężki

pedantyzm"?

Hrabia, w którego palcach kreda szybko się poruszała, mówił tymczasem dalej:

— Niestety, pojedyncze usiłowania, przy najlepszych nawet chęciach, stają się

często bezowocne i nie wiele tu zdziałać mogą. Tylko akcyja zbiorowa byłaby skuteczną.

— W jakież sposób możnaby ją zorganizować, Alfredzie?

— W jeden jedyny. Wśród ludzi dobrej woli, tych, którzy zapisami swymi składają

stopniowo miljony, martwe nieraz w rękach filantropii, powinnyby znaleźć się

umysły, pojmujące, że ratowanie: dziadów, bab i włóczęgów, nie jest jedynem

zadaniem dobroczynnem w społeczeństwie.

Panna Dora ożywiła się. Z wyrazem filantropia poczuła w powietrzu przedsmak:

rautów, balów i przedstawień, zwykle na cel jej urzą-

dzanych. Tu była w swym żywiole; taką działalność pojmowała nareszcie.

— Rozumiem — wtrąciła — naprzykład przedstawienia amatorskie na rzecz...

— Nie, pani — przerwał poważnie. — Są cele, których nie znieważa się ofiarą

jałmużny; są ludzie, tak dumni, że umierając z nędzy, jeszcze nie przyjęliby

wsparcia. Niekiedy, przed królewską powagą ubóstwa, przed jego szlachetnem

dostojeństwem i snob nawet pochylić musi głowę.

W głosie Halińskiego lekceważenie drgnęło. Umysł jednak panny Dory zbyt był

gruboskórnym, aby je pojąć i odczuć?

— A więc? — pytała.

— A więc, skoro rzecz taka niemożliwą jest, jako instytucya rządowa, powinien z

zapisów prywatnych, na ten cel składanych, zostać ufundowany rodzaj wieczystej

narodowej "Akademii literatury i sztuki", która, oceniwszy samoistnie, bez

niczyjej prośby o to, pierwsze prace danego autora czy malarza i znalazłszy w nich talent bujny, a rzeczywisty, wyznaczyłaby mu stałą pensję dożywotnią, zabezpieczającą przyzwoite środki do życia, a tem samem możność zupełnego oddania się pracy twórczej, bez uciążliwej, często zaś upokarzającej gonitwy za zarobkiem, za zdobyciem chleba dla siebie i swoich.

— Co za projekt szlachetny — zapalała się Ira.
— Pensya taka — ciągnął, myślą swoją pochłonięty Haliński — jako wyznaczona "za zasługi", przez instytucję społecznej doniosłości, nie upokarzałaby nikogo. Przeciwnie, ułatwiając pracę owocną, a ukochaną, byłaby zaszczytem i podniętą zarazem do dalszych wysiłków ducha, do dążenia ku ideałom piękna, prawdy i dobra, które, stanowiąc najwyższe moralne bogactwo narodów, powinnyby uwieńczyć nareszcie tyłowiekowy wzlot ludzkości ku słońcu. Żrenice Iry wzruszeniem promieniały.
— Szlachetny! Poznaje cię, jak zawsze. Oby się projekt ten ziścił najprędzej!
Uśmiechnął się do niej.
— Ludzie trudniejsze już utopie wspólnemi siłami w czyn wprowadzali. Tu zresztą, powinienby nami kierować" wprost dobrze zrozumiany interes własny. Wszak chodzi jedynie o oszczędzenie społeczeństwu, i tak ubogiemu, marnujących się corocznie, najlepszych i najszlachetniejszych sił jego. Tego już było za wiele dla ptasiego mózgu "sprytnej" panny. Przywykła do

ciągłego podziwu, nie mogła znieść, że hrabia zapominał widocznie o jej obecności. Postanowiła

więc zadziwić go głębokością praktycznej swej uwagi.

— Zanim powstanie akademia taka — mówiła, mogliby tymczasem ludzie "z towarzystwa" nie odbierać chleba tym biedakom i nie robić im konkurencji.

— Ludzie z towarzystwa, jak ich pani raczy nazywać, nie pozbawiają nikogo zarobku, gdyż malują i piszą nie dla zysków, lecz dla przyjemności, dla dostojności, jakie im ta uszlachetniająca praca nadaje. Najlepszym tego dowodem, że wśród autorów współczesnych spotyka się sporą liczbę nietylko książąt krwi, lecz nawet głów ukoronowanych. To zaimponowało nareszcie panie Dorze a zarazem, ujawniwszy jej silniej wartość Halińskiego, kazało dążyć tem bardziej do zwrócenia na siebie wyłącznej jego uwagi.

Zerwawszy się przeto, stanęła przy stalugach.

— Co — zawołała — w przeciagu kwadransa Ira, jak żywa? Hrabia się rozśmiał.

— Kontury tylko, bo nie chcę jej na razie męczyć pozowaniem.

— To będzie portret? Tak mały?

— Nie, pani. Główna jej tylko, jako studyum, któremu możnaby według woli, dać tytuł: "Poezya", lub "Zamyślenie" Ile razy są-

dzi, że nikt na nią nie zwraca uwagi, ma w oczach ten niepochwytany wyraz

słodkiej zadumy, który bardzo pragnąłbym ująć i odzwierciedlić tutaj.

— Podpatrywać tak tajniki duszy cudzej to zdrada, Alfredzie.

— Nie cudzej, lecz twojej, a więc duszy siostrzanej — odparł ze spojrzeniem,
pełnem niewysłowionej tkliwości.

Panna Dora kręcąc naiwnie główką, bacznie ich jednak obserwowała.

— A jakież — pytała, pochylając się kokieteryjnie nad stalugami,
robi na panu
wrażenie moja głowa?

Hrabia wnet ton zmienił, patrząc zaś na nie bacznie — odparł z udaną
powagą:

— Główni prześlicznie uczesanej.

— Takie określenie fryzyerskie, to impertynencya.

— Ach, pani nie chodzi o wygląd zewnętrzny, lecz o treść? Rzecz
trudna do
odgadnięcia... Skoro pani jednak każe...

Patrzył jeszcze chwilę, jakby wyszukując rysy znamienne:

— Robi wrażenie uroku młodzieńczego samowoli i zalotności.

— Czy to grzech?

— Zalotność? Nie pani; to prawo pięknej kobiety. Przyroda jest
celową; broń ta
więc

złożona w rączki niewieście, ma swoją, rację bytu. Co do mnie
bardzo cenię

zalotność, ostrzegając mnie bowiem, jak ów napis na kolejach:

Gardez-vous des

voleurs! gwarantuje mi poniekąd swobodę ruchów i bezpieczeństwo.

— Bezpieczeństwo? Czego?

— Serca lub swobody... To jak znak ostrzegawczy na głębiach
wodnych. Me voila

prévenu! Poczem, o ile wola, mogę się rzucić na głowę w nurty
niebezpieczne.

Jeżeli zaś nawet, zamiast skapać się i orzeźwić w letejskich falach
flirtu,

wypląnąłbym z bezdni tej, z obrączką na palcu, moja pani mogłaby powiedzieć, że uczciwie, bez podstępów, z odkrytą przyłbicą i w jawnym boju, wzięła załogę w niewolę. Śmiały się obie.

— Więc pan nie jest przeciwnikiem kokieteryi?

— Przeciwnie, uważam ją za jedną z cnót dobroczynnych, a przytem za strzałę najmniej groźną w kołczanie ładnej kobiety.

— Więc żadna śmiertelniczka nie jest dla panów niebezpieczną.

— I owszem pani — odparł hrabia z ukłonem, — jest nią zawsze ta, które wobec nas nie zniża się... nawet do zalotności.

ROZDZIAŁ XVI.

— Mój drogi Henryku, mam do ciebie wielką prośbę. Wstawali od drugiego śniadania, które dla Iry wyjątkową było uroczystością, synek ich bowiem maleńki, zajął po raz pierwszy, na wysokiem swem krześle, samoistnie miejsce przy biesiadnym stole rodziców. Obecnie, młoda kobieta, wzięwszy go na ręce, posadziła delikatnie na kolanach ojca, a sama obok nich obu miejsce zajęła. Chłopię złotowłose, jak ojciec, lecz o matowej cerze matki i czarnych, poważnych jej oczach, miało jakiś smutek przedwczesny w twarzyczce.

Onieśmiałe przytem ceremonią śniadania, a z ojcem widać nieoswojone, zamiast szczebiotać swobodnie, oparło tylko główkę o długich, złocistych lokach, o pierś

Korskiego, patrząc mądrymi swemi oczami nieśmiało ku niemu.

— Mój drogi Henryku, mam do ciebie wielką prośbę — powtórzyła.
— Przyszliśmy

oboje z Heniem prosić tatusia, więc niech nam nie odmawia.

— Bardzo dobrze, ale dla czego niańka nie zabiera chłopca; wiesz, że nie lubię tych czułości.

Ira zasmucona, wyciągnęła ręce po syna. Korski, musnąwszy jasną jego główkę ustami, powstał z miejsca.

— Nie wątpisz, że go kocham, ale doprawdy nie mam czasu na te tkliwe ceregiele.

Chłopię, poczuwszy się w ramionach matki, zarzuciło jej rączki na szyję, a liljową swą twarzyczkę przytuliło do zasmuconych, ślicznych jej rysów.

Tworzyli tak porywającą pięknem swem grupę, że nawet Korski raczył to zauważyć.

— Szkoda, że was Alfred w tej chwili nie widzi; miałby gotowy temat do obrazu.

— Szczęścia rodzinnego — podsunęła, tuląc skarb swój silniej do piersi.

— Nie, prędzej Madonny z dzieciątkiem. To twój i jego rodzaj. Szkoda tylko, że ja takich świętości nie lubię.

— Ale, à propos, jakże postępuje ów osławiony portret?

— Studium jest na ukończeniu.

— Nie pytam się o tę dziwną "Tęsknotę", czy "Marzenie". Chodzi mi o duży portret, w balowej sukni. Chciałbym, aby go jak najprędzej wystawił. Taki

wizerunek pani Henrykowej Korskiej, malowany przez brata jej, hrabiego Bończa -

Halińskiego, powinien dużo wrzawy narobić.

Młoda kobieta posmutniała bardziej jeszcze.

— To naprawdę dzieło mistrzowskiej roboty — zapew niała.
— Tem lepiej. Każę je przepysznie oprawie. Ramy wspaniałe,
rzeźbione, z
jasnego, matowego orzechu, ze złoceniami, w czystym stylu rococco,
z Bończę i
hrabiowska, koroną u góry. Niech wszyscy podziwiają i zazdroszczą.
— Herb, niewłaściwie umieszczony, popsuje styl ramy.
— Naiwna jesteś: mitra, korona i złoto, nigdzie stylu nie psują.
Zadowolony chodził dokoła stołu, gryząc zawzięcie cygaro.
— Wspominałam Henryku, że mam prośbę do ciebie — zaczęła
ponownie.
— Byle nie pieniędzy. Mów tylko prędzej, bo mi się spieszy.
Ira wyjęła list z kieszeni i położyła go na stole.
— Otrzymałam nowe pismo od wuja Tadeusza Boreckiego. Henryku,
on mnie prawie
błaga o pomoc.
— Kobieto, zwaryowałaś chyba! Ja sam nie wiem zkad kozy gnać i
rady sobie dać
nie moge, a ta mi z wujem wyjeżdża!
— Chodzi tylko o dopózyczenie tysiąca rubli. Resztę już wuj ma; bez
sumy tej
jednak zlicytują Borów, który od trzystu lat jest w ich ręku.

— A to niech go również trzysta dyabłów porwie. Cóż mnie to
obchodzi!
Powtarzam: sam jestem w opałach.
— Henryku oni ranie wychowali. Ja pod ich dachem całe me życie,
do dnia ślubu,
spędziłam.
— To powiedz to hrabiemu. On bogacz i tkliwy na stosunki rodzinne,
nie ma
przytem starego na karku, to może im dopomódz.
— Już bym to zrobiła, ale wuj zastrzega przed nim tajemnicę.
— Jak mu się podoba. Ja umyvam ręce.
— Heniu, proś tatusia; powiedz mu, że to tylko pożyczka na kilka
miesiący.

Chłopię wyciągnęło ręce Korski szarpnął się niecierpliwie i sięgnął po kapelusz.

— Proszę cię — syknął, nie doprowadzajcie mnie do ostateczności.

Ja głupiego

balu wydać nie mogę, chód mi to potrzebne do interesów, zarżnięty

jestem po

szyję, urzędnicy mają niepopłacone pensye, a ta mi jakieś długi

wdzięczności na

kark chce wsadzić. Pewno taki posag wielki wziąłem, że aż się teraz

zarżnąć dla

nich mogę.

Ira pobladła.

— Henryku, czyżbyśmy tak źle stali?

— Głupstwo, ofuknął. Korscy nigdy źle nie stoją. Firma, jak mur

solidna; aleja

mo-

gę mieć swoje osobiste kłopoty. Proszę, oderwij się raz od twoich
książek, haftu

i jedynaka, ubierz strojnie i wraz z Dorą, razem, oddajcie wszędzie,
gdzie

można, wizyty. Trzeba się. od czasu do czasu pokazać. Możecie

jechać również do

teatru, pod opieką Alfreda. Co do mnie, prawdopodobnie nie wrócę

dziś do domu,

bo mi wypadnie pewno w pilnych interesach pojechać do Łodzi.

Pocałował pospiesznie żonę, dotknął wąsami główki syna i już był za
drzwiami.

Ira, przytuliwszy dziecko, głowę smutnie opuściła na piersi.

Zdenerwowanie

Henryka i nagle jego wyjazdy coraz częściej się powtarzały. Pomimo

dostatków

czuła jakąś groźbę w powietrzu, jakąś zmorę zawisłą nad ich losem.

Nie chodziło

jej o męża, bo miłość dla niego, wobec jawnego zaniedbania i

obojętności, dopóty

błękitniała i bladła coraz bardziej, aż stopniowo w nicość się rozwiała.
W

poczuciu tem, Ira, jak ucieczkę swą moralną, objęła drobne ciało
syna, rączki

jego i buzię gorącymi obsypując pocałunkami.

Nie lękała się o przyszłość jego materyalną, bo nad nią czuwał
dziadek, a ten mu

krzywdy zrobić nie pozwoli. Strach ją wszakże przejmował przed
próżnią moralną,

jaka wkradłszy się do ogniska ich rodzinnego, dzie-

cię to, od kołyski już, otaczad zaczęła. Może, w intuicyjnym poczuciu
krzywdy

tej, tak przedwczesna powaga biła z jego oczów. W źrenicach Iry łzy
gorzkie, łzy

zawodu i upokorzenia stanęły. Łudzono ją, że będzie ogniwem,
łączącym dwie

sfery, dwa światy; że w kołach finansów zdoła zaszcześcić miłość
tradycji

rodzinnych i kult narodowych ideałów. Czczą ułuda! Barwna bańka
mydlana,

pryskająca pod dotknięciem i pierwszym podmuchem rzeczywistości.
Nie mogła

przecież zachować dostojęstwa własnego ogniska nawet, nie mogła
jedynemu

dziecku zapewnić ojcowskiej miłości i opieki, stworzyć atmosfery
pogody i

jasności do jakiej miało prawo.

Darmo, dwa odrębne a samorodne pierwiastki nie zjednoczą się i nie
spoją

nierozzerwalnie, chyba, że praca wieków dokona tego przeistoczenia.

— Synku mój jasny, synku maleńki — powtarzała, okrywając go
pieszczotami, —

obcy tu jesteś i osamotniony; obcy krwią, jak będziesz kiedyś obcy
uczuciami.

Ale matka twoja potrafi ci wszystkich zastąpić, potrafi cię otoczyć
taką siłą
uczucia, aby dzieciństwo twe, jak słońcem, ogrzane nią zostało.
Dwie łzy grube staczały się po jej licach.
Chłopię całowało je świeżymi usteczkami.

— Nie płacz, mamó — wołało swym pieśczośliwym, dziecinnym
głosikiem. — Henio
nie chce, żebyś płakała; bo i Henio płakać będzie.
I drżące, jego różowe wargi, złożyły się w podkówkę.
— Cicho dziecino — szeptała, cicho. — Jeżeli tu jesteśmy wszystkim
obcy, jeżeli
tam w Borowie, nie uwierzą, abym nic dla nich zrobić nie mogła, i też
mnie za
obcą poczytają, to ty mi świat cały zastąpisz, ty będziesz słońcem i
życiem, ty
tarczą i obroną twojej matki.

W parę godzin później, w bardzo długiej sukni z białej mory, z
obnażonemi
ramionami, w perłach na szyi i z gwiazdą brylantową w misternie
spiętrzonych
włosach, stała Ira przed wielkiem, na stalugach rozpiętym płótnem, z
którego
spoglądała ku niej, druga, taka sama postać.
Był to ów portret w stroju balowym, do którego mąż jej tak dużą
przywiązywał
wagę. Malowany z rzadkim nakładem zamiłowania i pracy, był on już
na ukończeniu.
Wspaniały obraz gotów zupełnie, wymagał tylko ostatnich dotknięć
mistrzowskiej
ręki i rozkochanego w dziele swem pędzla.

Aby przyspieszyć ukończenie, hrabia Alfred Haliński pracował nad nim codziennie,
a Ira w ostatnich dniach, gwoli akcesoryom i strojowi, pozostawała w pełnej toalecie.

Stanąwszy, w oczekiwaniu na artystę, przed własnym wizerunkiem, młoda kobieta po raz pierwszy, pięknem tego dzieła, została wprowadzona w zdumienie. Strój jej cały, prócz białej barwy, na życzenie Alfreda, żadnej innej nie posiadał. Tworzyło to dla malarza szkopuł wielki i nader trudne studyum do wykonania. Mięsiłość i mieniący się blask srebrzysto białej mory, błękitnawe i śmietankowe jej odcienie w załamach, wykończanie pajęczych, a matowo znów białych koronek, blask pereł i przepysznie oddana karnacja białego ciała, świadczyły o niepospolitem opanowaniu wszystkich tajników techniki i mistrzowskiej brawurze wykonania.

Ale nie te szczegóły zajmowały kobietę. Nie patrzyła na brylanty, które się na palcach jej i we włosach iskrzyły nieledwie, nie spoglądała na zdumiewające szczegóły malarskie. Wzrok jej zawisł jedynie na delikatnych, matowo-bladych licach i źrenicach, które, z rozmarzoną a smutną powagą, wprost jej w oczy patrzyły. Tak piękną nie była chyba;

tak uduchowioną nie wydawała się sama sobie nigdy. I widok tej królewskiej postaci, tak plastycznej, że aż ze stalug zdawała się na ziemię zstępować i iść ku niej, uprzytomnił jej nagle cały olbrzymi nakład

pracy, uczucia i dobrej woli, jaki Haliński w dzieło to włożył.
Równie piękną nie była; nie! To, on, oczami swej duszy taką ją
widział i taką
odtworzyć pragnął. Wyidealizował ją i podniósł do wyżyn jakiegoś
duchownego
majestatu, mocą własnego tylko uczucia.
Portret ten, zajmujący całe tygodnie, które im obojgu zbyt krótkimi się
zdały,
coraz więcej ich zbliżał, coraz bardziej jednoczył i spajał.
Nie było dziedziny, w której nie szybowaliby razem, nie było myśli,
której nie
podzieliliby nawzajem.
Ta słodycz wzajemnego obcowania, przerywana tylko hałaśliwymi
wizytami i pustym
zalotnym szczebiotem Dory, otwierała przed młodą kobietą, dzięki
niepospolitej
inteligencji Alfreda, coraz szersze horyzonty.
I serce jej, uprzytomniwszy sobie to wszystko nagle, głęboką dla
niego zabiło
wdzięcznością.
Nie czekała długo.

Z wydzwonieniem oznaczonej godziny, na progu stanął Haliński.
Uniósłszy portyere, stał i patrzył oczarowany. Człowiek i malarz,
miłość własna
i artyzm, jednakowego doznały olśnienia.
— Iro — zawołał podchodząc. — Co jest obrazem, a co
rzeczywistością? Z daleka
nie mogę was odróżnić.
Przystanął, pojął wzrok z kolei obu postaciami.
Jakby przez figiel chochlika, zwierciadło przeciwległe odbiło mu
trzecią jeszcze
Ire, w długiej, srebrzystej sukni, z gwiazdą błyszczącą we włosach.
Przesunął ręką po oczach i uśmiechnął się smutnie.
— Los samotnemu wędrowcowi zsyła zwykle miraże, które, za
zbliżeniem, w nicość

się rozwiewają. Proszę cię więc, Iro, nie zniknij mi czasem, w przestrzeni.

Nie podejmując aluzji, wyciągnęła obie ku niemu ręce.

— Alfredzie — mówiła słodko, dziękuję ci za wszystko, coś w portret ten zaklął,
a czego warta nie jestem.

On ręce te ucałował, a patrząc w oczy jej z jakimś nieuchwytnym, smętnym

rozrzewnieniem — mówił z brzmieniem głębokiej szczerości:

— To ja tylko jestem twoim dłużnikiem, Iro. Obejmując przed chwilą, wzrokiem salon ten i ciebie, w potrójnej postaci, myślałem właśnie, jak wielkie a niespodziane premjum aesłalami Opatrzność, jako artyście i człowiekowi. Jeżeli bowiem z jednej strony, rzadko zsyłają losy model, któryby łącząc warunki piękna z cechami wybitnego indywidualizmu i duchowego życia, pozwolił malarzowi nie tylko rozwinąć całe bogactwo palety, ale tchnąć w dzieło swe odbłysek ducha, zakląć w nie, zarówno psychologiczne właściwości portretowanej osoby; to z drugiej strony, nigdy, nigdy może wędrowiec, wyczerpany samotną a bezcelową wólczą po świecie, nie znalazł tak w porę bratniego ogniska, przy którym ogrzać się i sił do życia zaczerpnąć mu dano.

Usiedli na otomance, wprost portretu ustawionej.

— Ty nie wiesz — Iro — mówił Haliński, ze smutnym ogniem w źrenicach, — na jakim rozdrożu byłem, przychodząc tu po raz pierwszy. Do kraju popchnęła mnie, po prostu, rozpacz wyczerpanych sił życiowych. Zwiedziłem wszystkie cuda,

napilem się ze wszystkich źródeł, ze wszystkich czar sławionych.
Piana ich
obryzgała mnie nieraz, gorycz mętów, pozostała na dnie duszy. Nawet
kastalskie
wo-

dy czystej nauki i sztuki nie umiały mi już sił dodać. Roślina,
wyrwana z gleby,
na której! wzrosła, choćby ją pod jaśniejsze przeniesiono niebo,
umiera często.

Dziś, patrząc retrospektywnie w przeszłość, dochodzę do wniosku, że
i mnie ta
sama gnębiła dola.

— Biedny — wybiegło ze współczuciem na usta kobiety.

— Tak — podjął z goryczą. — Biedny — bogacz, milioner —
nędzarz... Ludzie nawet

nie przypuszczają, jak często pozorny ten paradoks staje się w życiu
rzeczywistością. Nicość istnienia, nieokreślona tęsknotą za czymś
lepszym, żarła

mnie i sił duchowych pozbawiała. Napróżno na starcze to
wyczerpanie,

przychodzące w sile wieku, szukałem lekarstwa. Mityczna eau de
Jouvence istnieje

w nas samych tylko, z mego zaś serca wypłyły ją harpie przesytu i
niemocy.

Lękałem się, że struny życiowej, która raz tam pękła, nic już nawiązać
nie
zdoła.

Ira, zasłuchana, ze łzą w źrenicy, jakby dla otuchy, rękę jego w dłonie
swe
ujęła.

— Powtarzam — ciągnął, — znalazłem się na rozdrożu duchowym, z
którego nie ma
powrotu. Przeszłości przywrócić nie mogłem, przyszłości nie byłem
ciekawym; nie

czułem poprostu sił, potrzebnych do przetrwania jej. Na myśl, że
trzeba będzie
przebyć tę bezbrzeżną

pustynię, życiem zwaną, lęk i przerażenie mnie zdejmowały. Po co
obnosić po
świecie organizm żywego trupa, w którym wszystko zamarło: pustka
w sercu, pustka
w duszy, a w mózgu popioły ze strawionego, żarem zwątpień
przepalonego umysłu.

— A kraj? — szepnęła Ira.

— Wyjechałem tak młodym, wchłonałem w siebie tyle pojęć o
międzynarodowości
sztuki, o szczytnym kosmopolityzmie, iż kraj, w którym nie miałem
jednej żywej,
bliskiej sobie duszy, z którym żadne nie wiązały mnie stosunki,
wydawał mi się,
w moralnym swem znaczeniu, abstrakcją, sferą uczuć dla mnie
nieodległą. Idea
jego nie umiała ani zapłodnić czczości mego ducha, ani
przeciwdziałać
beznadziejnemu jego zwątpieniu. I przyszła chwila, w której ręka
sięgnęła mimo
woli po rewolwer, po kulę zbawczą...

— Alfredzie!...

— Tak, Iro. Ale widzisz: n'etre plus ce n'est rien; l'epouvante c'est de
s'en

aller, jak po wiedział któryś ze szerszych autorów. Pojęcie niebytu
nie

przerażało mnie; sam akt jednak przejścia do nicości, sama rola
autokata,

przecinającego nerwy życia, samo pojęcie plebejuszowskiej
trywialności takiego

kończenia rachunków z istnieniem, obrażało mój arystokratyzm
poczuć

wyrafinowanych. Po

co zbiegowisko ciekawego motłochu, po co ta kopnięcie i policzek
dany światu,
skoro on nic sobie z tego nie robiąc, pokraje cię za kare na sekcji, lub
w

Morgue na widok publiczny wystawi. W myśli zaszumiały mi brzozy
naszego

cmentarza w Halsku, błysnęła gotycka wieżyca rodzinnej grobowej
kaplicy i, w

błyskawicznym tem porównaniu, nie ochota do życia, lecz wsręt do
gawiedzi

paryskiej przeważył.

— Odruchowym nieledwie instynktem, kierowany wydałem rozkazy,
aby rzeczy za mną

do kraju wysłano, sam zaś w godzinę później siedziałem już w
wagonie, pędząc

pierwszym pociągiem pod szare, a drogie mi w głębi duszy, niebo
Polski.

— To uczucie bezwiedne zbudziło się dopiero z pierwszym
tchnieniem pól

rodzinnych. Zdumiony zrozumiałem, że nostalgia za nią, za rodzoną,
była tłem

głównem moralnej mej choroby.

Zamilkł wyczerpany.

Ira powstała cichutko, a zbliżywszy się do przygotowanych na
bocznym stoliczku

owoców i wina, podała mu kieliszek ożywczej madery.

Wychylił go, wdzięcznym spojrzeniem dziękując jej tylko.

— Mroźne powietrze Warszawy orzeźwiło mnie, a los sam podał
lekarstwo. Rzuciwszy

okiem na pierwszy dziennik przy śniadaniu, spotkałem w nim, na
czele jakiegoś

dzieła filatropijnego twoje nazwisko. Czytałem wyraźnie: pani Ira z Bończa - Halińskich, Henrykowa Korska. Jaktó, zdziwiłem się na razie, więc prócz mnie istnieli jeszcze inni Halinscy? Wtedy to przyszło mi na myśl, blade dziewczątko o ciemnych, smutnych oczach i żałobnej sukience; w pamięci drgnął obraz szczupłego podlotka, który mi przy powrocie na wakacje tak tkliwie rączkami oplatał szyję, a dalej stanęła w oczach karta, zawiadamiająca o tym ślubie. Wieczorem byłem już tutaj... — Dziękuję — szepnęła. — Wychodząc ztąd, znałem już drugą przyczynę moralnej mej choroby: Była nią tęsknota, bezwiedna znów, za tobą, lub istotą tobie podobną. Aby móżd tu wracać, aby być ciągle z tobą, wymyśliłem pretekst tego portretu. Obecność zaś twoja, wpływ rozumny a słodki i praca ta, uzdrowiły mnie... Zamyślił się chwilę, poczem podniósłszy głowę, kończył z roziskrzonym wzrokiem: — Wiem teraz, że żyję, że wszystkie fibry jestestwa do ziemi mię wiążą. Czy ty rozumiesz, Iro, radość i upojenie takiego moralnego zmartwychwstania? Czy pojmujesz roz-

kosz człowieka, który, zwątpiwszy wpierw o wszystkim, dziś wierzy i kocha, czuje się potrzebnym i użytecznym, widzi piękno świata i czar istnienia? Powstał i ukląkł przy niej. — Metamorfozy tej — mówił z roziskrzonym wzrokiem — tyś dokonała. Tyś

zmarłwiałego mego ducha do życia napowrót powołała. A teraz
powiedz, kto jest
czyim dłużnikiem, o biała pani moja?
Ira zmieszana, wzruszona, starała się wybuch jego w żart obrócić.
— Nie ja, lecz tamta biała pani, lecz sztuka, życia twego mistrzyni,
zbudziła
cię z odrętwienia; zbudziła cię, mam nadzieję, na zawsze, na chwałę i
dobro
kraju.
— Czego wujcio szuka na ziemi? — zabrzmiał obok głosik dziecinny.
— Ja wujciowi
pomogę i zaraz znajdę.
Przed Iraw i Halińskim stał Heniuś w błękitnej swej sukience, z jasnymi
puklami,
opadającymi na kołnierz koronkowy.
Ciemne jego oczy biegły od strojnej postaci matki, do klęczącego
wuja i dywanu,
na którym, jak sądził, hrabia musiał szukać upuszczonej na ziemię
zabawki.
Ira, porwawszy dziecię w ramiona, do piersi je przytuliła.

Haliński powstał, ręką przeciągnął po oczach i kilkakrotnie przeszedł
po
salonie. W rysach jego odzwierciadliła się natężona praca myśli i
woli.
Po chwili przystanął przed stoliczkiem z zastawą, nalał sobie drugi
kieliszek
mastery i duszkiem wypił.
To do reszty przywróciło mu równowagę.
Stał jeszcze minut parę wpatrzony w uroczą grupę, z kobiety i dziecka
złożoną,
poczem przystąpiwszy ku nim, Iraw w rękę, a Henia w złote pocałował
włosy.
— Iro — mówił spokojnie, trzeba mi przebaczyć czasem zbyt silne
objawy uczucia,

lub zbyt głośne wybuchy. To wina porywczej, artystycznej natury.

Pamiętaj

zawsze, że słowem, ani spojrzeniem, nigdy zadrasnąć bym cię nie chciał.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

— Pamiętaj — powtórzył z mocą, że masz we mnie brata, dla którego ty i twoje dziecko świętością jesteście.

ROZDZIAŁ XVII.

Czerwona luna zachodu oblewała Warszawę szkarłatem i purpurą.

W Alejach, gdzie mury nie zakrywały pysznej gry światła, skrzyła się ona barw

tysiącem, rozsypując po śniegu miryady gwiazdek lśniących, o

blaskach dyamentów,

rubinów i topazów.

Przed trotuarem, po którym szedł ku miastu hrabia Alfred Haliński, zatrzymały

się gwałtownym ruchem maleńkie saneczki.

Ponsowa siatka okrywała rącze i zgrzane konie, czarne niedźwiedzie wyściełały

siedzenie.

Prosta, wysmukła, w krótkim, silnie wciętem futerku, którego stojący kołnierz

do pół jej lica zakrywał, w wielkim kapeluszu o masie piór czarnych, jechała w

miniaturowym tym ekwipażu panna Dora Korska.

Zarumieniona od mroźnego powietrza, z maleńką mufeczką, w zabezpieczeniu od

prądu powietrza do ust podniesioną, ujawniała ona tylko, między rondem kapelusza

i stojącym kołnierzem, parę rozbawionych oczów czarnych i nasek zadarte,

wychylający się na świat ciekawie.

Halinski odkrył głowę.

Panienka opuściła wzamian mufeczkę, odsłaniając dwa lica puszyste, do dojrzałej

brzoskwini podobne,

— Hrabia wraca do miasta?

— Tak, pani.

— Proszę siadać tu obok i towarzyszyć mi do Iry. Zabierzemy ją i będziecie mi

państwo oboje "chaperonować" na ślizgawkę.

I własną rączką odpięła szybko fartuch, niedźwiedziami podbity.

— Nigdybym nie śmiał zabierać pani miejsca — reflektował ją

Haliński. — Zresztą,

niezmieścilibyśmy się tu nawet oboje.

Panna Dora rozśmiała się srebrzyście.

— Właśnie o to chodzi; bo to mój prywatny ekwipaż, moja osobista własność, którą

pierwszy raz na miasto wyjechałam.

— Śliczny zaprząg. Niech pani raczy jechać do Iry, ja tam zaraz nadejdę.

— A więc nie zemną? Sama propozycja pana gorszy? Shocking? Co?

Ależ to tylko

parę minut drogi, a i tak wszyscy wiedzą, że pan jest bratem Iry.

Wszak Henryk

wyjeżdżając, kazał prosić, aby nam hrabia, jak preux chevalier,

wszędzie

towarzyszył.

Haliński zapiął pośpiesznie pętlicę fartucha.

— Ha, haha! — zadzwonił zbyt głośny śmiezek. — Zgorszyłam pana!

Gdy hrabia doszedł do domu Korskich, obie panie schodziły już ze schodów.

Dora bowiem, wskutek zbliżającego się zmierzchu, o pośpiech nalegała.

Ponieważ dzwoniące przed bramą saneczki za małe były na trzy osoby, postanowiono więc, przejść do Doliny Szwajcarskiej piechotą. Luna zachodu zamieniła się w złoto i fiolety, od których śnieg błękitnych nabierał odcieni. Karmin zorzy wieczornej różowił lica kobiet. Jańczary i dzwonki, srebrnym echem, odbijały się o ściany parku. Na rogu Pięknej, gdy mieli przejść na drugą stronę, szereg sanek zatamował im drogę. Hrabia drgnął nagle. Wiedział, że odwrócić uwagę Iry było dziełem jednej chwili; któż zdoła wszakże powstrzymać gadatliwość jej towarzyszki. W rzeczy samej panna Dora klasnęła już w rączki. — Iro, patrz — wołała — wszak to Henryk! O tam; trzecie sanki z kolei! Ależ tak; on sam! Pędzi z jakąś damą w stronę Łazienek!

Ira, nie tracąc panowania nad sobą, odprowadziła wzrokiem męza, który, podniósłszy dla mrozu jakoby, kołnierz od futra, udał, że ich nie widzi, a pochylony ku damie o wielkim, czerwonym kapeluszu, mówił coś do niej z ożywieniem. Takt jej wszakże nie udzielił się ani na chwilę szwagierce. — Nie rozumiem — szczebiotała z naiwnością podlotka, — po co Henryk udaje nieobecność, a tymczasem urządza sobie z damami szlichtady po Alejach. Telefonował, że wyjeżdża do Łomży za interesami, a tu paf! spotykamy go, oko w oko, na zakręcie. I przechodząc do tonu bezwiedniego cynizmu — dodała: — A to noceurl

Huczne tony wojskowej orkiestry i elektryczne światła Doliny
uśmierzyły na
szczęście jej roztrzepanie.
W chwilę później, krótko ubrana, a lotna jak jaskółka, mknęła z
zadziwiającą
zręcznością w takt melodyjnego walca.
Haliński i Ira zostali na brzegu.
Przed nimi, światłem elektrycznym oblany, kolorowemi lampionami
ozdobiony
jeszcze, skrzył się lodem i błyszczącą stałą łyżew, a roił mrowiem
publiczności
sztuczny teren ślizgawki. Za nimi, ściany pałacyku Doliny

odcinały ją od ulicy i świata, chroniąc od wiatru zarazem.
Byli sami prawie
Ira powiodła okiem po drzewach, kiściami śnieżnymi strojnych, po
gotyckich,
jakby z wieżycami swemi na strażnicy stojących domach przy ulicach
Chopina i,
pomimo barwności malowniczego tego obrazku, nie przerywała
milczenia.
Haliński, śledzący grę jej rysów, nie śmiał również przemówić.
Czytał w jej myślach, lecz równocześnie dostrzegł z zawstydzeniem,
że w własnym
jego sercu, zamiast gniewu i oburzenia na tę jawna, zdradę Henryka,
czaiła się
jakaś radość podstępna. Nikczemność i plebejuszowski beztakt
tamtego, pewną
satysfakcję mu sprawiały.
Nie zmniejszało to jednak współczucia jego dla młodej kobiety.
— Iro — prosił tkliwie — nie myśl o tem. Uśmiechnęła się blade.
— Nie o mnie mi chodzi, lecz o dziecko. Co zrobię, gdy będzie
starszy, gdy na
młodzieńczej jego duszy, jak na wosku, każde odcisnie się wrażenie?
Jak trudnym
będzie zadanie moje w tych warunkach.

Podniesiona rączka panny Dory przywołała ich nad brzeg lodu.

Śliczna była: rozbawiona, rozfalowana, a, jednak z dąsem na ustach purpurowych.

— Nudzę się — oświadczyła. Nikogo ze znajomych. Nie lubię tak sama kręcić się, jak fryga. Mam tego dosyć.

Oparła się ręką o balustradę i podniosła nogę do góry.

— Proszę, niech mi pan odepnie łyżwy. Patrzyła zalotnie i drwiąco na zakłopotanie Halińskiego.

— Och, jaki hrabia niezgrabny! Proszę wzięść silnie za nogę, o tu, powyżej kostki, nachylić się i odsunąć sprężynę łyżew.

Ira, pochłonięta przez myśli swe i zapatrzona w dal, nie zwracała na nich uwagi.

— Moja bratowa, a pańska siostra, buja po chmurach, jak zawsze. Mogłabym się wykraść z hrabią i nie zwróciłaby na to uwagi.

Haliński, trzymając ciągle nóżkę "powyżej kostki", szczerze ubawiony, podniósł ku niej rozśmieszony rąsy.

— Przypuszczam — mówił, że mógłbym w tej chwili stanowić motyw do "Kuszenia św. Antoniego".

Pochylona ku niemu, błysnęła białymi ząbkami.

— Wie pan, to pyszna myśl! Będę hrabiemu pozować do takiego obrazu.

— Ze wszystkimi akcesoryami?

— Właśnie bez akcesoryi — odparła. A cóż tam potrzeba? Las, grotta, rozpuszczone włosy; oto wszystko, o ile pamiętam.

— Chryste! Naiwność, czy tak głębokie zepsucie? — pomyślał Alfred i, prostując

się z łyżwami w rękę, spojrzał jej w oczy.

— Jak się pani podoba postępowanie jej brata? — zapytał bez ogródek!

Spoważniała.

— Wstyd mi za niego — odparła stłumionym głosem. — Wstyd i żal Iry. Tak nie postępuje człowiek uczciwy.

— Aa, więc twoje zepsucie, panienko, jest poza" brawurą źle wychowanego dziecka

— pomyślał Haliński. — Masz wrodzone poczucie prawości, a jesteś przejściowym

tylko typem rozpróżnionego człowieka, która, poważne obowiązki i wpływ rozumny

mogą jeszcze uratować od moralnego zwyrodnienia. No, z tem wszystkim nie

chciałbym brać na siebie roli ratującego cię mentora.

Lecz Dora, jakby dla zatarcia wybuchu szczerości, skakała już z naiwnymi minkami

dokoła bratowej.

— Iro, Irenko, złoto drogie, tu niema dzisiaj co robić! Jedźmy więc w trójkę do

teatru na "Dagę od Maksyma", to taka podobno za-

bawna farsa!... Zobaczysz, jak się uśmiejemy i jak ci dobrze zrobi!

Tym razem jednak przebrała miarę.

Gdy więc, nie słuchając łagodnej perswazji, powtarzała z uporem rozpieszczoną

dziewczynki:

— Koniecznie na "Dagę od Maksyma"! Ja cię proszę na "Dagę od Maksyma"...

Pani Korska doprowadzona do ostateczności — odparła:

— Daj pokój, Doro. Widowisko to zostaw dla twego brata, bo i on pewno, panią

swych myśli zechce zawieść na stosowne dla niej przedstawienie do teatru.

Panna Dora po raz wtóry spoważniała.

— To niedobrze, Iro, za brzydkie czyny Henryka mnie kazać pokutować — wyrzekła z łagodną wymówką.

— Masz rację, dziecko. Przepraszam cię za słowo porywcze. Chodź lepiej do nas na górę. Spędzimy wieczór razem; to stosowniejsze nad wydekoltowane widowiska.

W nowym pałacu sztuki przy ulicy Mazowieckiej tłumno było i gwarno.

Publiczność, nie oswojona jeszcze z pięknym, acz skromnym gmachem, chętnie, a z dumą pewną do niego się garnała.

Każde świeże, wybitniejsze dzieło, przyciągało tu z podwójną siłą. Dziś zaś, dla

lubowników piękna, dzienniki zapowiedziały ucztę nielada.

Hrabia Alfred Bończa-Haliński, pan dużej fortuny, przyszły wydawca i założyciel

"Słońca", niedawno przybyły do kraju, więc nieznany tutaj, lecz głośny zagranicą

z niepospolitego malarskiego talentu, po obrazach dużej miary, nagrodzonych w

Salonie paryskim, wystawił u nas z kolei ostatnie dwie swoje prace.

Do wzmianek tych, rozniesionych prawdopodobnie po pismach przez przyszłych

redaktorów i współpracowników "Słońca", przybyła w najpoczytniejszym z Kuryerów

bardzo szybko dana, wyczerpująca, a nader pochlebna ocena.

"Wytrawny sprawozdawca działu tego, znany z oryginalnego a samoistnego sądu,

przyznawał z całą szczerością, iż dzieła tak potężnego talentu, dawno, nawet na

międzynarodowych wystawach sztuki, spotkać mu się nie zdarzyło.

To nie portret, nie studyum, lecz istny poemat rozkochanego w sztuce
swej
artysty, poemat, w idealne barwy zaklęty.
Następowały szczegóły techniczne, z erudycją malarską i estetyczną
wyjaśniane,
kilka określeń, godnych filozofii sztuki i krytyk

złożywszy pokłon mistrzowi, sam ręce składał do oklasku.
Sfery więc dziennikarskie, żywo zajęte osobistością, wydawcy
filantropa i
wydawcy nababa, jak jeden mąż stawiały się na Mazowieckiej.
W ślad za władcami rozgłosu i reklamy, podążył świat artystyczny, w
którym, ten
nowy, nieznany, i na uboczu trzymający się a utytułowany kolega,
najżywszą
budził ciekawość. Szła z koteryą tą, zwartą ławą: miłość ludzi,
należących do
jednego cechu, pobleżanie, radość z cudzego tryumfu, gorąca chęć
przybrania
laurem czoła nowegcrwspółzawodnika, na arenie przyjacielskiej
zapasów
artystycznych.
Gdzie tłoczą się ciekawi, tam nie brak eleganckich próżniaków.
Hrabiego Halińskiego pamiętała zarówno haute finance warszawska,
jak koła
bogatego przemysłu i kupiectwa, z rautu u Korskich.
Później, w rozmaitych okazjach, widziano go tam również; a że
przejrzyste aluzye
podsuwały, iż chodzi tu o portret pięknej pani Korskiej, więc i ta
koteryą
podążyła tłumnie do pałacu sztuki.
Prasowe powodzenie obrazów, miłem było nad wyraz Halińskiemu.

Korski pozwolił mu robić portret swej żony, pod tym jedynie warunkiem, iż zostanie on w Warszawie wystawiony. Występując publicznie po raz pierwszy w kraju, pragnął, zarówno ze względu na siebie, jak na Irę, stanąć na wysokości zadania. Szlachetna ambicja i, łatwo zrozumiała, miłość własna artysty, kazała mu więcej może dbać o sady w kraju, niż o wyrok jakiegoś zagranicznego jury. Wniknąwszy głębiej w duszę własną, byłby tam może odkrył jeszcze inne czynniki, z jakich wypływała ta niezwykła u niego żądza powodzenia. Oto z jednej strony, nie zdając sobie z tego sprawy, pragnął gorąco wprawić świat w podziw nad niezwykłą królewską urodą Iry, z drugiej zaś, chciał podziw ten i sławę własną, jako hołd najwyższy, rzucić jej pod stopy. Wmieszawszy się więc w tłum, który go nie znał, a na pozór inne oglądając obrazy, krążył Halinski, w głównej sali, dokoła wielkich stalug, na których portret Iry, we wspaniałych ramach rococco, z hrabiowską koroną u góry, śnieżną swą białością, przyciągał dusze największych nawet profanów. Zachwyty prasy i urok, wiejący od natchnionej pracy, zrobiły swoje. Publiczność wprost oczarowaną była. Uwagi pełne podzi-

wu dla kobiety, dla piękności jej i uduchowionego wyrazu, dla stroju, techniki malarskiej i mistrzostwa artysty, krzyżowały się na przemiany. Artyści przypominali, również wyłącznie w białym tonie utrzymaną, "Pierrotkę" Wacława Szymanowskiego, panie przytaczały damę w bieli Gażyczowej, inni wreszcie

cytowali rozmaite przykłady portretów i obrazów, w jednej barwie tworzonych.

Wszelkie wszakże porównania wypadały zawsze na korzyść

Halińskiego, który,

czując, że, od pierwszego występu, staje się podziwianym i sławnym, upojony,

coraz więcej promieniał.

Pomimo tego, zobaczywszy grupę osób, znanych z rautu u Iry, cofnął się

ostrożnie, po za rząd innych obrazów.

Dwie damy, przesadnie ubrane, a szeleszczące jedwabnymi spodami i pan,

ucharakteryzowany na lalusia z roku, przysunęli się najwpierw.

Strzepy

tylko rozmowy ich dochodziły hrabiego.

— Korska z tym, swoim głupim, egzaltowanym wyrazem, tylko bardzo pochlebiona —

mówiła jedna.

— No, ten ją upiększył i wyidealizował — zawyrokowała druga.

Szeptaly czas jakiś.

— To dla tego tak w ostatnich miesiącach odsunęła się od towarzystwa i tak mało bywała...

— Cela crève. les yeux.

— Ale to sławne, — zapiszczał gogo z -go roku. — Patrzcie panie: tu obok znów

głowa pani Korskiej, tylko zatytułowana: "Zaduma".

— Widocznie ten panicz nic innego nie robi, tylko maluje panią Korską.

— Pewno mu się to opłaca — syknął laluś. — Vieilles pècores! — zgrzytnął

Haliński. Słuch jego wszakże, raz zaostrzony, czynił coraz nowe odkrycia w tym

kierunku.

— Malować z takim pietyzmem portret, może tylko człowiek,
rozkochany w swym
modelu — dowodził jeden ze znanych mistrzów polskiego pędzla.
Hrabia wysunął się niespostrzeżenie i ku domowi skierował. Wśród
ulic jednak
gwarnych i w ciszy własnego gabinetu, gnały go jak mściwe
Eumenidy, w mózg się
wwiercały i w sercu, ostrzem zatrutem, ryły słowa prorocze:
"Malować z takim pietyzmem portret, może tylko człowiek,
rozkochany w swym
modelu".
Hrabia ujął głowę w obie dłonie, jak gdyby mu czaszka rozsadzeniem
groziła i, z
unie-

sień radości w otchłań niemocy i zwątpienia rzucony, próbował zebrać
rozpierzchłe myśli.
Czy mu te słowa, z głęboką znajomością duszy ludzkiej
wypowiedziane, odkryły
nieznane tajniki własnych uczuć?
Nie; on wiedział o tem od dawna. Wiedział, że ciche a słodkie
braterskie
uczucie, wkradając się coraz głębiej do duszy, wśród pustki, tam
znalezionej,
rosło, potężniało, aż duszę tę zbudziło z letargu i do życia powołało.
Na
gruncie zaś, raz przez siebie użyźnionym, zapuszczając powoli coraz
głębiej
korzenie, stopniowo w serce i w krew przeszło. Że krew ta, żarem
płomiennym,
znieważała białe bożyszczce, że z wyżyn ideału zniżała je niekiedy na
poziom
ludzkich pożądań, to pojmował hrabia Haliński doskonale.
Ciemia ta wszakże, nie przerażała go, bo czuł takie skarby słodczy i
tkliwości

dla Iry tak głękoką a czystą była ta miłość jego, iż wierzył, że potrafi
panować
nad nią zawsze.

Nie pragnął nic, nie żądał niczego. Chciał tylko, w świecie obcym a
wrogim, być
jej bratnią opieką i pomocą, chciał żyć w jej pobliżu i patrzeć na nią;
otrzymać
jej spojrzenie i okrucieństwo.
Droga była niebezpieczną i śliską; wiedział o tem. Ale cóż miał
zrobić? Po tylu
latach

włóczęgi, dobiwszy zaledwo do portu, skazywać się znów na
bezcelowe,
bezużyteczne życie i uciekać, wyjechać?
Nie — do tego nie miał siły!

ROZDZIAŁ XVIII.

"Panie hrabio".

"W sprawie, zarówno obchodzącej nas oboje, a niecierpiącej zwłoki,
mam zaszczyt

prosić pana uprzejmie o łaskawe zobaczenie się ze raną, dziś, o -ej z
południa,

w mieszkaniu moich rodziców, na Lesznie.

W nadziei, iż raczy pan prośbę powyższą uwzględnić, łączę uprzejme
wyrazy

szacunku. Doru Korsaka".

Lakoniczny ten bilecik nic nie mówił, a jednak ton jego urzędowy, tak
niepodobny

do wyzywającej zalotnej panny Dory, zaniepokoił Halińskiego.

Zdumiony, czytał go raz wtóry, list w ręku obracając.

Papier był gładki, angielski, nie licujący powagą swoją, z
rozpieszczeniem

kapryśnej je-

dynaczki. Przecież widywał nieraz, u Iry, owe fantastyczne kwiaty i
ptaszki, na
których pisywała swe również fantastyczne bileciki.
Raz nawet pamiętał kartę brystolu, z romansową, winiętą, Hermana i
Doroty, pod
którą widniał złożony autograf: "Dorotea Korska".
Gdzież się podziały niebotyczne owe pomysły? Przytem wzywała go
do mieszkania
rodziców, jakkolwiek nie lubiła, by znajomi Henryków bywali na
Lesznie.
Hrabia raz jeden, ze względu na szwagra, złożył tam wizytę, lecz
nieupoważniony
do tego, chętnie nie powracał więcej.
"W sprawie, zarówno obchodzącej nas oboje, a niecierpiącej zwłoki"
— czytał raz
jeszcze...
Czyżby?...
Nie, co za myśl szalona! Przecież pisała do niego naiwna,
rozpieszczona
dziewczyna, dla której zabawa i błyszczenie w świecie ideą fixe były.
Pewno chodziło o wciągnięcie młodej jego sławy, a starego nazwiska,
do jakiejś
kampanii filantropijnej.
Uspokojony i pewny siebie, dzwonił o wskazanej godzinie, do
mieszkania starych
Korskich.

Pseudo "salon", zimny i sztywny, o brzydkich krzesłach, w
rynsztunku bojowym
ustawionych, pustym był, Śmiały się w nim tylko, wulgarnymi
barwami, bibułkowe
róże na lampach, szydziły z poczuć estetycznych i dobrego smaku,
szydełkowe
patarafki.

Po chwili, na progu stanęła panna Dora, uprzejma, lecz poważniejsza i skromniej,
niż zwykle ubrana.

— Hrabia pozwoli do mego buduaru — wyrzekła podając mu rękę. —

Tu
przeszkodzonoby nam może.

Miękkie, zbytkowne gniazdko, urządzone według nowoczesnych wymagań, a gustem panny Dory, stanowiło odpowiednie ramy dla gorącej południowej jej urody.

Zajęli miejsca.

— Panie hrabio — zaczęła bez żadnych wstępów, — stosunki towarzyskie tak są u nas hypokrytyczne, iż po paromiesięcznym nawet obcowaniu w salonach, ludzie znają się z fizynomii jedynie. Pan, jako wielki artysta, powinienby być psychologiem, głębiej w tajniki duszy wnikającym. Aby jednak dojrzeć i widzieć, coś więcej nad powłokę zewnętrzną, trzeba patrzeć; nie sądzę zaś, aby pan hrabia względem mnie trud sobie ten zadawał. Wystarczała panu, przyrośnięta do mnie etykieta

ładnej i pustej dziewczyny. Nie mogę mieć to pretensyi, bo taką dla świata być
chcęi taką jestem nawet.

— Pani — chciał przerwać Haliński. Uśmiechnęła się tylko, powstrzymując nakazującym ruchem jego słowa.

— Powierzchowna obserwacja, jak wielu, tak i pana hrabiego omyliła tym razem.

— Szablonowa metoda wychowania, zakuwając indywidualizm dziewcząt wgotowe formy

i formułki, nie pozwala nam, młodym pannom, być poważnym, a szczerym i uczciwym człowiekiem. Szczególniej bogatym wolno raczej bawić się, naśladować zalotnością i strojem kokoty.

— O — przerwała, pan hrabia już drgnął? — Taka śmiałość wyrażenia razi pana w ustach "młodej panny".

— Otóż, — ciągnęła — świat nam prędzej przebaczy, gdy naśladujemy "te panie", szykiem i zachowaniem, niż gdyby która z nas, zajrzawszy jakiej kwestyi życiowej śmiało w oczy, jak człowiek dojrzały, uczciwie i odważnie wypowiedziała o niej swe zdanie.

Haliński, zdumiony powyższemi słowami, musiał jej w duszy przyznać rację.

— Zaznaczam to wszystko dla tego — mówiła spokojnie, bez śladu zwykłych swych minek naiwnych i spojrzeń zalotnych, aby zwró-

cić uwagę pana hrabiego, jako rozumnego i postępowego człowieka, że nawet typowa

"młoda panna", lub "panna z towarzystwa", jeżeli hrabia woli to określenie, ma

prawo w przełomach życiowych, ważnych dla siebie, czy dla swej rodziny, potargać

więzy szablonu, odrzucie śmieszna maskę wiecznej inyènue i mówie do obcego jej

mężczyzny tak, jak dwaj uczciwi ludzie mówie do siebie zwykli. Czy pan hrabia

pozwala mi na podobne zerwanie z tradycją obłudy?

— Pani, filisteryzm towarzyski nie był nigdy moim sztandarem.

— Tem lepiej. Pragnąc bowiem przekonać pana, nie chciałabym wszakże dotknąć

niczem, pojęć" jego lub zasad.

Przez chwilę głębokie zapanowało milczenie.

Panna Dora zbierała myśli, czy też szukała stosownych wyrazów.

— Panie hrabio — zaczęła z prostotą — byłam wczoraj na wystawie. Poruszył się mimowoli.

— Przy pięknych pańskich, obrazach zastałam całe grono znajomych mi osób. Dziś

już odebrałam, wskutek tego, obłudne wizyty kilku pań...

Haliński spróbował strategii.

— Czy im się portret nie podobał?

— Sądziłam po zastrzeżeniu, zrobionem przezemnie z góry, że nie będziemy się uciekali oboje do drobnych, a niegodnych nas wybiegów. Proszę pana o absolutną,

bezwarunkową szczerłość i sama dam zaraz jej dowody.

Hrabia skłonił się w milczeniu.

— Obraz pański jest nie tylko pięknym, lecz można go nazwać poprostu natchnionym. Co do mnie, stosuję to szczególnie do główki Iry, dla jej

niepospolicie pochwyconego nastroju i wyrazu. Ta psychologiczna głębia obu

studyów, stała się wszakże zgubną dla mej bratowej. Ludzie zawistni, zestawiając

świadectwo wymowne owych portretów, powrót pański do Warszawy, odsunięcie się

równoczesne Iry od zabaw zgiełkliwych, z ciąglem przebywaniem pana hrabiego w

jej domu, wyciągają ze wskazówek tych ubliżające dla niej wnioski.

— Jestem najbliższym krewnym, bratem prawie pani Korskich.

— Nie przeszkodzi to światu powiedzieć, że jesteś pan również — jej kochankiem.

Haliński zbladł, jak płótno.

Ta kobieta torturowała go od kwadransa, aż pomimo silnego panowania nad sobą,

krew wszystka, kropla po kropli, zbiegła mu do serca, twarz
pozostawiając trupio
blada,
Zbudzony, pod wykwintną powłoką, człowiek pierwotny, był w stanie
rzucić się na
nią.

— Pani, gdyby mężczyzna ośmielił się powiedzieć mi takie słowa —
— To byś mu je pan, ostrzem szpady, wtłoczył napowrót do gardła.
— A więc racz pani nie nadużywać" przywilejów, jakie ci płeć
nadaje.

— Panie hrabio, uniesienie złym jest doradcą, a gniew niczego nie
tłumaczy i
nic nie dowodzi. Jeżeli doprowadza pana do wybuchu troska o dobro
imię Iry, to
proszę pamiętać, że wzgląd to jedyny, dla którego poniżam się do
obecnej rozmowy
z panem, bo to samo imię i ja także noszę.

— Niech mi pani raczy wskazać nikczemnych, którzy się przed
ohydą podobnej
potwarzy nie cofnęli?

— Czy będzie pan hrabia walczył ze stugłową hydrą plotki, jak Don
Quichotte z
wiatrakami? Smutna utarczka, bo podczas gdy, pan, zadość czyniąc
podnieceniu,
wyładuje energię swą na jakiegoś śmiałka, żądło pokątnego
oszczerstwa zatruje,
jadem swym, życie Iry, a samo pańskie wystąpienie napiętnuje
publicznie dobrą
jej sławę.

— Więc co mam czynić, na Boga?

— Nie wiem i dla tego pozwoliłam sobie zawezwać pana, celem
wspólnej narady.

Czuję tylko, że my dwoje powinniśmy rato wad ich szybko,
dyskretnie i
skutecznie. Wszak

prócz mnie i pana, nie mają nikogo bliższego sobie krwią i duchem. Mówiła chłodno, wytrawnie, ze ścisłą logiką, męskiego umysłu. Sam spokój ten dawał jej w tej chwili znaczną nad Halińskim przewagę.

— Pani zna nieskalane życie Iry, zna zasady jej i czysty jak łąza charakter...

Jesteśmy ostatni z rodu; prócz niej, nie mam na świecie żadnej rodziny, cóż więc dziwnego —

— Wiem to wszystko i hymnów na cześć mojej bratowej, nie potrzebuje mi pan śpiewać. Niemniej, pomimo zachwycających jej zalet, — tu głos Dory drgnął lekką ironią, — świat nieprzyzwyczajony do tak wielkiej miłości między stryjecznymi kuzynami, nie uwierzy nigdy w ów czysto braterski, święty jej charakter.

Zresztą, panie hrabio, szanując spokój Iry, nie należało malować poematów z jej rysami, ani na widok publiczny ich wystawiać.

- Przedewszystkiem zaś — dodała z nagłą stanowczością, — źle tu kwestyę stawiamy. Daruje pan hrabia, że będę do gruntu szczerą, brutalną poniekąd. Panu zdaje się chodzić głównie o abstrakcyjną kwestyę dobrego imienia pańskiej siostry i pańskiego rodu. Mnie, mniej wyrafinowana chłopska krew każe mieć przedewszystkiem na uwadze, bardziej dotykalne a złowieszcze skutki, jakie krzywda,

plotką tą wyrządzona przynieść może i musi mojej rodzinie. Pan hrabia nie zastanowił się może, że gdy wieść ta bolesna dojdzie do Henryka, wszystkim moim najbliższym grozi zupełne wykołajenie i złamanie życia. Brat mój znany jest z niepohamowanej gwałtowności; pierwszym też skutkiem wybuchu jego będzie rozejście się z żoną, skandal i rozwód. Czy pan hrabia rozumie, że Ira, ta pańska czysta i wyniosła Ira, będzie w takim razie wytykana palcami, a dziecko jej pozostanie bez ojca? Haliński poruszył się porywczo.

— Ira ma brata, który się za nią ująć i bronić jej potrafi.

— Bronić? Przeciw komu? Przeciw jej mężowi, który zażąda od pana krwawego zadośćuczynienia.

— Dam mu je z rozkoszą.

— Zapominasz pan jednak, że pojedynek między wami, między szwagrami, to nowy skandal i nowa hańba...

A przykrywając dłonią oczy, jakby przed strasznym tym obrazem — dodała:

— To śmierć dla moich rodziców! Śmierć dla starego ojca, który, ani wstrząsnień podobnych, ani niedoli ukochanego jedynaka nie byłby już w stanie przeżyć.

Haliński, steroryzowany śmiałością jej i obrazami, jakie przed nim roztaczała, pod-

niósł się blady bardzo i zapytał z wyrazem stanowczości:

— Pani! Wiem, że opinia kobiety, jak szata biała, pyłem oszczerstwa dotkniętą być nie może. Są przytem istoty tak czyste i słoneczne, że jak niegdyś żony

cezarów, podejrzaniu nawet uleż nie powinny. Do kategorii ich
należy siostra
moja, Ira. Uznając też fatalistyczny zbieg okoliczności, który według
słusznych
uwag pani, tworzy tu nierozzerwalne błędne koło, przetnę je w jedyny
sposób, nie
przynoszący nikomu krzywdy i dziś jeszcze opuszczę na zawsze
Warszawę.
Takie jednak rozcięcie gordyjskiego węzła nie leżało snąć bynajmniej
w planach
panny Dory.
Nie powstając skrzyżowała ręce na piersiach i oczy tylko smutne,
jakby z
wyrzutem, podniosła ku Alfredowi.
— Kto ucieka, ten się przyznaje do winy, ocalając zaś siebie, innych
na cel
pocisków naraża. Wszak rozgłoszono, urbi et orbi, we wszystkich
dziennikach, że
pan się na zawsze w kraju osiedla, wszak rozesłano już zapowiedź
pisma, które
pan ma wydawać. Wczoraj wieszowano sztuce polskiej, że jej
przybywa mistrz nowy,
który, tu, u najżywoźniejszego ogniska życia umysłowego, ma szerzyć
kult jej i
idea

ły. Dziś rano jeszcze czytałam wzmiankę, iż mahrabia zamierza
podobno, otworzyć w
Warszawie salony, w których przedstawiciele: arystokracji i
ziemiaństwa
łączyliby się, na gruncie neutralnym, ze światem inteligencji,
literatury i
sztuki.

— Prawda; żywiłem taki zamysł.
— W jakież szyderstwo i ironię zamienią się te hymny pochwalne,
gdy świat dowie

się nagle, że ów mistrz i rycerz zwinął namioty i, jak prosty tchórz, z pola walki uciekł.

— Pani!

— Arystokratyczne instynkta pana hrabiego oburzają się na wyraz tak ostry, jak

"tchórz", lecz pozwalają równocześnie uciec, pozostawiając niewinną kobietę pod

pręgierzem opinii publicznej, która, na słabszą, a przez pana samego potępioną

ofiare, z podwójną zażartością się rzuci.

Haliński bardzo blady czuł, że się wyczerpuje reszta sił jego i reszta cierpliwości. Ani przebyta niedawno choroba woli i anemia duszy, ani

usposobienie wrodzone nie czyniły go popędliwym. Śmiałość też dziewczyny młodej,

która, w imię dobra swoich najbliższych, nie wahała się poruszać, wobec niego,

tak drażliwego przedmiotu, podziwem go na razie przejmowała.

Jakkolwiek wszakże, nagła zmiana moralnej jej fizyonomii i zdumiewająca odwaga

przekonań, zaimponowały mu z początku, niemniej, torturowany zarzutami jej, z

wyrafinowaniem, jak sądził, okrucieństwem, był pewnym, że piękna panna działa w

jakimś celu, którego on dotąd przeniknąć tylko nie zdołał.

Aby przeciąć sprawę, spróbował uderzyć w samo jądro kwestyi:

— Nie wątpię — mówił siląc się na spokój, że przyjmując na siebie niezrozumiałą

a bolesną dla mnie rolę prokuratora, nie uczyniła pani tego, w celu dręczenia

mnie jedynie. Nie przeczę również, że błaha ta na pozór plotka, wobec przeróżnych powikłań, może stać się powodem nieszczęścia bardzo

drogiej mi

istoty, a zarazem doprowadzić do starć tragicznych w rodzinie

państwa. Gzy

jednak w przekonaniu pani, skoro ani walka z oszczercami, ani mój
wyjazd niejest
dopuszczalny, nie ma już żadnego wyjścia, z ciemnego labiryntu tych
moralnych
powikłań?

Panna Dora powstała i, wyprostowana, spokojna, śmiało spojrzała mu
w oczy.

— Położenie bez wyjścia, wyjaśniła, posiada jedno tylko ocalenie:
pogłoskę, iż
bywa pan u Henryków, nie dla Iry, lecz celem starania się o moją
rękę. Zada to
kłam opinii, zaszachuje rodziców moich ?, zamiast roz-

dzielić, zbliży Henryka z żoną, wybawi Irę...

Steroryzowany dotąd jej śmiałością, Haliński wyprostował się teraz
dumnie.

— Nigdy! — wybiegło na jego usta. Zmierzyli się równie głębokim i
równie
rozognionym wzrokiem.

— Nigdy? — powtórzyła. — A więc wybiera pan: skandal, pojedynek
i śmierć

Henryka, lub swoją własną?

— Raczej śmierć!

Oczy Dory paliły się, pierś jej falowała gwałtownie.

— Hrabia wybiera śmierć, lecz — ja na nią nie pozwalam.

— Jakiem prawem?

— Prawem miłości — brzmiała śmiała odpowiedź. — Prawem tem,
że kocham cię od

dawna, że kocham również, choć inaczej, mego brata i, że wbrew
własnej nawet

waszej woli, ocalić was obu muszę.

Była imponująco, porywająco piękną w tej chwili. W rysach jej,
mieniących się z

każdym słowem, widniała i brawura i zawstydzenie dziewicze i cecha
głębokiej

szczerości. A jednak, to upokorzenie jej właśnie, zamiast podbić,
oburzyło
raczej hrabiego.
Cofnął się o krok w tył.
— Doprawdy — mówił, smagając ją ostrzem bezlitosnej, krwawej
ironii, upokarza
mnie pa -

ni swoją dobrocią; sądzą bowiem, iż, na zaszczyt podobnego uczucia
niczem nie
zasłużyłem i niczem zasłużyć się nie starałem.
Dora zbladła. Ręka jej, jakby pod uderzeniem celnego strzału,
bezwiednym ruchem
do serca się podniosła; trwało to wszakże sekundę tylko.
Poczuciem własnej potęgi zbrojna, jak rumak w którym bój śmiertelny
zaostrza
temperament i ogień ujawnia, wyprostowała się, a czując, że w walce
tej o życie
idzie, wyższa, wyszlachetniona, pałającym wzrokiem zmierzyła
przeciwnika.
— Omyliłam się... Teraz dopiero widzę, że szablon zabił w panu
serce. Razi cię,
iż, zrywając z bezdusznym konwenansem, mówię o uczuciach mych
sama, że pierwsza
je wyznałam. A więc, wolno mi dopuścić się takiej śmiałości. Dumna
jestem, że
krew moja młoda, chłopska, nie wyschła jeszcze do tego stopnia i nie
zwyrodniała, aby mi kajdany form towarzyskich życie złamać' miały.
Panna Dora
Korska bawiła się i ubierała ekscentrycznie, ale po zatem nikt nie
ośmielił się
nic jej zarzucić. Zbyt więc jestem nieskazitelną, zbyt wysoko stoję
moralnie i
finansowo, aby mnie, jedną z najposażniejszych jedynaczek, posądził
ktokolwiek o

interesowność. Mogę przeto z dumą i czystą intencją pierwsza
wyciągnąć rękę...

Milczałabym wszakże, pomimo

wszystkiego, gdyby nie ta groźba katastrofy, wobec której czuję się
uprawnioną,
do bronienia własnego szczęścia, do ratowania spokoju i honoru
własnej rodziny,
do ocalenia życia wybranemu przezemnie człowiekowi, tem jednym
słowem: kocham,
kocham, kocham!...

Była porywająco piękna młodością i temperamentem, śmiałością i
uniesieniem.

Haliński, zapatrzony w nią, jak w objawienie nowej, a nieznaney mu
istoty, czuł,

iż kruszeje i rozpada się w sercu jego mur uprzedzeń i niechęci. Był
przecież

tylko człowiekiem i — mężczyzną.

Upajające więc słowa miłości, rzucane przez świeże a piękne usta,
musiały i dla

niego posiadać urok, musiały czarem swym niezwykłym i na nim
wywrzeć wrażenie.

Przyjąć jednak — było to: dać sobie patent na tchórza, którym nie był,
a zarazem

odpłacić jej nieuczciwością; bo przecież nie kochał tej dziewczyny i
kochać jej

nigdy nie mógł.

Haliński pochylił przed nią głowę, z czcią głęboką.

— Panno Doro — mówił miękko, — obraz chwili tej, pozostanie mi
jasnem na całe

życie wspomnieniem. Proszę wierzyć, że pamięć jej, jak skarb
najcystszy w sercu

zachowam. Nie byłbym wart jednak, szlachetnego uczucia pani,
gdybym dla obrony

własnej, lub czczego,

a pogardzonego przez panią konwenansu, przyjął ofiarę twą, nie
mogąc wzamian
odpłacić, poświęceniem życia całego.
Była to najformalniejsza odmowa.
Po licach kobiety stoczyły się dwie łzy, — łzy rozdrażnienia i
upokorzonej dumy.
Haliński wziął je za wyłączną oznakę bólu i, wzruszony, ugiął kolano.
— Zaskarb najwyższy, jaki kobieta ofiarować może, za serce dobrej i
prawej
istoty, tak tylko godzien jestem dziękować, na Klęczkach, lecz —
podziękować
nakazuje mi szacunek dla siebie i dla pani.
Dora zamyśliła się, poczem, smutna, lecz spokojna i słodka,
wyciągnęła do niego
przyjaźnie rękę, którą on powstając ucałował.
— Nie mam żalu do pana — zaczęła, osuwając się na najbliższy
fotelik, — bo wolę
zawsze szczerłość nad udanie. Skoro tak jednak, skoro prawda, raz
wyznana, łączy
nas dzisiaj, a wpływ pański od dawna lepszą mnie czyni, podajmy
sobie życzliwie
dłonie i spróbujmy, wspólnem! siłami, ocalić tych, których kochamy
oboje.
Haliński, znów dobrocią jej ujęty i rozbrojony, a wyrzucający sobie,
że istotę
tę źle sądził, mówił długo i serdecznie, uspakajając przesadne, jak
sądził jej
obawy.

Panna Dora raz jeszcze wyciągnęła rączkę do niego.

— Niech mi hrabia pozwoli być zupełnie szczerą, niech mi wolno
będzie odsłonić
przed panem, jak przed wypróbowanym przyjacielem, całą głęboką
moją troskę.

Henryk na zły jest drodze; że majątek traci, mniejsza o to, stać
jeszcze
Korskich, aby długi jego pokryli tak, jak pokrywają powagą
uczciwego nazwiska
dzisiejsze jego szaleństwa. Co gorsza jednak, brat mój rujnuje się
moralnie.
Niepowściągliwie hulaszczą natura zabija go; ja zaś i żona jego
możemy to
jedynie ukrywać przed światem i ojcem. Gdybym była mężczyzną,
być może, iż
potrafiłabym go uratować: jako "młoda panna" jestem, niestety, w
powikłaniach
tych bezbronną.

— Biedna pani — wyszeptał Alfred.

— Tak, i równie biedną, jest Ira. Pocóż więc przysparzać jej łez, poco
wobec
plotek i zawiści, przyspieszać wybuch katastrofy, która i tak może na
włosku
tylko wisi nad nami? Instynkt uczucia, intuicyą kobiety ostrzega mnie
przed
ostatecznością... Czy nie lepiej więc użyć "pobożnego kłamstwa",
które nikomu
nie szkodząc, wszystkich uratować może? Niech pan poprostu wobec
osób trzecich
stara się asystować mi trochę... Wszak dla nas, dodała ze smutnem
wejrzeniem —
stosunek taki

nie będzie miał żadnych niebezpieczeństw, żadnych niespodzianek.
Dla świata zaś
posłuży znów za "pnevillon qui couve la marchandise". Wkrótce, w
maju naprzykład,
rozjedziemy się; pan na miejsce portretów wystawi inne swe prace, a
ludzie, raz
odwróciwszy uwagę od ogniska Iry i mego brata, będą, mieli czas
zapomnieć o

bezpodstawnych swych podejrzaniach.

Manewr taki wydał się wstrętnym Halińskiemu. Stosunek jego do przybranej siostry zbyt był czystym, imię jej zbyt nieskazitelne i dumnie noszonym, aby potrzebowało "osłaniania". Nie śmiał jednak, odmawiając, okazać się brutalnym względem istoty, która w trosce o szczęście najbliższych, poświęciła mu przecież, przed chwilą, i dumę swą i godność.

— A więc, mam grać rolę konkurenta pani? — pytał żartobliwie.

Dora uśmiechnęła się smutnie:

— Po co aż konkurenta? Proszę tylko wobec obcych i Henryka zajmować się mną trochę. Niech mu to tłumaczy zbliżenie pańskie do jego domu, niech zamiast nienawistnym, droższym mu pana czyni. Pan nie straci z oczów Iry, o co — dodała, patrząc mu prosto w głąb duszy, — wiem, że hrabiemu przedewszystkiem chodzi, ja zaś będę spokojniejszą

o pana i o Henryka, o szczęście starych rodziców moich.

— W każdym razie to kapitulacja przed gawiedzią — bronił się jeszcze Haliński.

— Kapitulacja w imię spokoju tych, których oboje najwięcej kochamy — odparła mu z takim spojrzeniem i naciskiem, iż hrabia, jak winowajca opuścił głowę.

Teraz nie wątpił, że znała jego tajemnicę.

Stało się więc zadość życzeniom pięknej panny.

Haliński stchórzył moralnie i wiedział o tem. Wolał się jednak zdać na łaskę,

lub niełaskę tego kameleona, zmieniającego moralną swą fizyonomię, wolał uledez

kapryswi kobiety, która poświęcała dla niego najdroższe swe uczucia, niż wyrzec się widoku tamtej.
Pomimo zwycięstwa, jakie odniosła jego miłość własna i próżność mężczyzny, hrabia wychodził z Leszna z uczuciem odniesionej porażki. Ten kompromis z sądem ulicy, poniżał go we własnych oczach, odbierał całą radość wczorajszego tryumfu. Czuł przytem, że zaciągnięte względem Dory zobowiązanie może go zaplątać w cały szereg kolizyi.
— Wszak stek naszych własnych głupstw nazywamy najczęściej "losem", który nas prze-

siaduje — mruknął filozoficznie. — Opuszczać zaś w tej chwili Warszawę, zrywać i porzucić rozpoczętą tu działalność, pozbawiać się jedynej siły i jedynej racyi bytu, jedyne szczęście w życiu, byłoby nie głupstwem już, lecz samobójstwem moralnem.

ROZDZIAŁ XIX.

Stanąwszy nazajutrz przed Iżą, hrabia Alfred Haliński patrzył z niepokojem w rysy jej, bardzo w ostatnich czasach pobladłe. Mocą spojrzenia tego pragnął odgadnąć, co z wydarzeń dnia wczorajszego doszło do jej świadomości. Czy wiedziała już, że w pieniącej czarze rozgłosu i sławy, jaką go upajano, istniało kilka kropel mętów, któremi zawistni nie wahali się bryznąć na czystą jej duszę. Ira spokojną była i nieprzeniknioną.

Przed nią, obok roboty i książki, leżał otwarty list oraz fotografia borowskiego pałacu.

— Prosiłam, aby mi ja, przysłano — mówiła, pokazując wizerunek hrabiemu. Tyle tu dni w nieświadomości życia szczęśliwie prześniłam, że dziś, gdy Borów ma przejść, drogą przymusu, w obce ręce, chciałam tę chociaż mieć po nim pamiątkę.

— Nie będzie już sprzedanym, Iro. Siedziba, w której wzrosłaś i wychowałaś się, gniazdo, które kilka wieków było w ręku Boreckich, zostało znów na długo wujostwu zapewnione.

— Jakim cudem?

— Bez cudów, Iro. Poprostu wuj, niesłusznie, wskutek jakiejś starej urazy, nie zwrócił się w chwili krytycznej do mnie. Dowiedziawszy się o niej, od osób trzecich, posłałem tam mego plenipotentą, który, względnie niewielką sumą, spłacił natrętnego wierzyciela, dla nieurazenia wuja wszedł w jego prawa, subhastę zaś, rzecz prosta, natychmiast umorzył. Mogą teraz Boreccy spad spokojnie.

— Ty i zawsze ty — wyszeptała, patrząc na niego z podziwem. — Tak pragnęłam im dopomóc. — ale nie mogłam...

— Henryk odmówił stanowczo, a oni nie wierzyli pewno, aby strojna i klej notami pokryta pani Korska niebyła w możności nic uczynić dla swoich najbliższych, dla kawałka ziemi, w której leżą prochy jej rodziców... Bogatą przecież jestem —

dodała z goryczą. — Zasta-

piłeś mnie w spełnieniu rodzinnego obowiązku. Dziękuję ci,
Alfredzie.

Milczał, zawstydzony jej podziękowaniami, wtedy, gdy miał prawo
wyrzutów się
spodziewać.

— Wszystko dobre od ciebie mi przychodzi — zapewniła, podnosząc
weselej głowę.

Henryk — tak zdenerwowany i wprost nieprzystępny w ostatnich
czasach, dziś
promienieje.

— Mąż twój?

— Ależ tak. Wczorajsze twoje laury w najlepszy wprawiły go humor;
uważa on je

za własność, nie twoją osobistą, lecz całej rodziny, a nawet poniekąd
swoją. W

zachwyty go wprawia portret, wyidealizowana jego piękność, strój mój
bogaty, a

nawet ramy, przedewszystkiem może, owe wspaniałe ramy rocooco

— zaśmiała się

lekko.

— A ciebie, Iro, co zachwyca?

— Mnie? Ty mój mistrzu! — wyznała szczerze — wyciągając ku
niemu rękę.

— Mistrzu?

— Wszak tak cię w prasie nazwano. Jeżeli zaś dla kogo, to
przedewszystkiem

jesteś nim dla mnie, Alfredzie. Każda myśl jasna, a szlachetna, od
ciebie mi

przychodzi; wszystkie uczucia lepsze, nieświadomie kiełkujące w mej
duszy, przez

ciebie dopiero powołane zostały do życia. Gdyby nie twój przyjazd,

byłabym prawdopodobnie i tę zimę jeszcze przetańcowała całą; zbyt bowiem byłam

słabą aby się oprzeć prądowi, jaki zwykle unosi Henryka. Pełnię cichego

rodzinnego życia, pełnię inteligentnej, a rozumnej, nie goniącej za blichtrzem

egzystencji, tyś mi dopiero dał poznać, Alfredzie.

— Jak ty mnie, pierwszą, jaką spotkałem na drodze mego życia, czystą duszę

niewieścią.

— To też dziś — ciągnęła, nie zważając na przerwę, — gdy mi zabrano ów portret,

który się zrosł niejako z mojem istnieniem, chciałam ci podziękować, Alfredzie,

za niezapomniane chwile, przy malowaniu jego spędzone. Chciałam powiedzieć, że

nie zapomnę nigdy horyzontu jasnych myśli, podniosłych zasad i szlachetnych

uczuć, jaki wśród długich godzin, pracy oddanych, otworzyłeś przedemną, mój

mistrzu.

Haliński wzruszony spróbował żartobliwy ton przybrać.

— Wpływ mój, Iro, ograniczył się do roli nurka, który, w głębiach bogatej twej

duszy, wyławiał perły cenne i, pokazawszy ci je na dłoni, na światło je wydobyl.

Milczeli chwilę.

— Odrzucając piękne wyrazy, jako niezasłużone pochlebstwo, na myśl twą zgadzam

się o tyle, iż życie próżniacze i rozbawione,

jakie wiodłam, nie zadowalało ranie nigdy — przyznała Ira. — Natura moją potrzebuje pewnego skupienia i jakiejś cichej przystani wielkiego uczucia.

Małżeństwo, pozbawione go, jest przewlekłą chorobą, która wielu na zawsze

druzgocze, powodując śmierć moralną, lub także kalectwo. Nawet ci,
którzy ją
szczęśliwie przebędą, jeszcze na dnie duszy ślady jej na długo
zachowują. Od
tego losu tyś mnie, Alfredzie, poniekąd wybawił, przeciwstawiając
rzeczywistości, która wyklucza żonę z całego duchowego życia
mężczyzny, rodzinę
szlachetniej pojętą z jej moralną atmosferą i siłą, ze wspólnością
myśli, celów
i dążeń. Nie mogąc ideału tego osiągnąć, zrozumiałam, że wolno mi
przynajmniej
bronić duchową mą istotę od zagłady, wolno pracować nad
odrodzeniem własnym,
skupiając siłę uczucia na dziecku mem, na jego przyszłości i na tobie,
mój
mistrzu.
Haliński usiadł obok niej na kanapce, a ujmując obie dłonie młodej
kobiety,
serdecznie spojrział w jej oczy.
— Iro. błagam cię, nie używaj względem mnie, ani takich słów, ani
takich
porównań. Bo gdy ty będziesz mówić o mistrzu, ja z konieczności
wspomnę o
Beatryczy, która mi była w pracy tej podniętą i natchnieniem. Wszak
tobie
zawdzięczam najmilszą erę mego istnie-

nia, a zarazem dzieło, w które, zbudzony wpływem twym do
działalności, część
tego zmartwychwstającego życia przelałem. Wczoraj, czczy pionek na
szachownicy
ludzi "z towarzystwa", znany tylko z nazwiska, jakie przodkowie moi
zasługą
okryli, dziś, do aureoli jego nowy dodałem promyk.
— Promień jasny i trwały — przerwała żywo.

— Co więcej — ciągnął hrabia — czuję, iż w kreację tę, tyle wlałem ideału, tyle marzeń i gorącego ukochania, że nietylko tu, lecz wszędzie, gdzie gwiazda sztuki jasnym świeci blaskiem, przyniesie mi ona laury i uznanie, które twoją wyłączną są własnością, którebym tobie, Iro, powinien i pragnął rzucić pod stopy.

Przysłoniła mu usta dłonią, którą on ucałował, a potem dalej dowodził:

— Tygodnie, wspólnie z tobą, przy pracy tu prześnione i obrazy te będą między nami jednym więcej łącznikiem. Ale, Iruś, po co mówić to sobie? Są uczucia, których stokroć lepiej słowem nie dotykać... Białe i nieskalane, niech śpią w nieświadomości... Nie mistrzem i Beatryczą, nie siłą męską i niewiesciem natchnieniem, lecz bądźmy sobie w życiu, podporą i otuchą, światłem i ciepłem rodzinnem.

Głos mu drżał lekko. Chciał słowami temi uczynić ją przygotowaną, i odporną na możliwość potwarczego pocisku lub złośliwej plotki,

— Podporą i otuchą, światłem i ciepłem rodzinnem — powtórzyła z cicha. —

Pamiętaj Alfredzie, że na słowa te będę miała prawo powołać się zawsze.

Spojrzeli sobie w oczy, przeciągle, smutno, jak gdyby wyrazy te były słowami

rozstania, jak gdyby żegnali niemi niepochwytne marzenie, które od tej chwili

widmem stawało się tylko.

Ira zbladła, Haliński powstał, dla odpędzenia snąc mary natrętnej, ręką po

oczach przesunął i do okna się zbliżył.

— Patrz, Truś — mówił po chwili, zwykłym, serdecznym tonem, —
słońce urąga już

zimie. Wiosna wyprawi niedługo przyrodzie, takie gody weselne, że
wszyscy

zechcemy podążyć na nie. Coprawda przychodzą dnia, w których
miasto zaczyna mnie

dławić... Wsi rodzona, wsi kochana — trawestował, — kiedyć wolno
mi będzie

sposzczać pośród twojej ciszy?

— A co ci w tem przeszkadza, Alfredzie?

— Próżność i głupota. Wydaje mi się bowiem, że z mojem
usposobieniem w mieście

pożyteczniejszym być mogę. Cóż chcesz, ka-

zdy z nas to obraz niebotycznego zarozumienia.

— Czy państwu nie przeszkadzam? — zabrzmiał niespodzianie głos
ironiczny.

Zaskoczeni nim z nienacka, oboje obejrżeli się żywo

W drzwiach, widocznie wzburzony, z czerwonymi wypiekami na
twarzy, stał Henryk

Korski.

Postanowił snąć być spokojnym i poprawnym, bo całą, siłą woli
panował nad sobą,

usta tylko, pełne a zmysłowe, wykrzywił mu uśmiech gniewu i
szyderstwa.

Jeden rzut oka wystarczył obojgu do oceny sytuacji.

Ira odgadła, że zaszło coś niezwykłego; Haliński pojął, iż echo plotki,
doszedłszy Henryka, zdołało go już wytrącić z równowagi.

— Osłonić Irę... Przedewszystkiem i za jakąbądź cenę, osłonić
niewinną kobietę!

Myśl ta, jak rozkaz wyższy, jak prawo obowiązku i nakaz honoru,
błyskawicznie

przebiegła mu przez głowę.

— Gzy państwu nie przeszkadzam? — powtórzył tymczasem Korski
z ironicznym

naciskiem.

— Skąd to pytanie, Henryku? Zawsze nam miło widzieć cię —
zapewniła Ira. — Ale
co tobie? Czy się co złego stało?

Postąpił naprzód, przywitał ich ukłonem i odparł, zawsze z tą samą
sztuczną
grzecznością:

— Cóż znowu? Mnie tylko same przyjemności spotykać zwykły...
Cieszę się, że
zastaję państwa razem, ciebie i twego brata. Zresztą zdaje się, że
państwo
zawsze razem jesteście. Nikt nie podniósł rękawicy. Ira nie zrozumiała
jej może.

Haliński. odwrócony tyłem do okna a więc z twarzą w cieniu ukrytą,
stał z rękami
skrzyżowanymi na piersiach, przyrzekłszy sobie, że żadnym słowem
nieostrożnym
wybuchu nie przyspieszy, ani nie usprawiedliwi. Świadomość, że
Korski jest silnie
podniecony, nie tylko może moralnie, lecz i fizycznie, że wraca
pewno z jakiego
sutego w mieście śniadania, kazała mu stać tem silniej na straży
wrażeń swych i
wyrazów.

Położenie stawało się kłopotliwe. Zamiast je przerwać, Korski, jak
dziecko
okrutne, które motyla powoli na szpilkę wbija, rozkoszując się jego
męką,
powiódł wzrokiem ironicznym, od pięknej twarzyczki żony, do gościa
jej,
stojącego w pół cieniu. — Żałuję doprawdy — mówił z piekącem
szyderstwem, — że
rozliczne zajęcia i interesy, nie pozwoliły mi korzystać z tak częstych
podobno
wizyt pana hrabiego w moim domu.

Nawet Ira zrozumiała już, iż chodzi tu o rozmyślną, zniewagę.
— Co to ma znaczyć? — zapytała, podnosząc dumnie głowę.
Na dźwięk słów tych, Korski posunął się ku niej gwałtownie.
Zniknęła cała sztuczna, a demoniczna jego grzeczność, ustępując
miejsca
tłumionym dotąd, pierwotnym instyktom mało kulturalnego
człowieka. W pozornym
światowcu zbudziło się nagle zwierzę dzikie, niejednym kieliszkiem
koniaku dziś
już podsyczone.
— Co to ma znaczyć? — syknął, wyrwawszy z kieszeni list zmięty i
rzucając jej
go na stolik. — Ha, to już chyba pani sama, lub hrabia jej brat, raczą
mi to
wytłomaczyć!
— Czytaj prędzej! — huknął, widząc, że żona spokojnie papier ze
zmiętej koperty
wyjmuje.
— Głośno! — rozkazał, pięścią w stół bijąc.
Przywykła rachować się, w chwilach podobnych wybuchów, z
niepohamowaniem jego
brutalstwem, Ira spróbowała czytać głośno:
"Jeżeli panu miły chonor —
— Co, honor przez eh — zawołała i odwróciwszy kartkę a nie
znajdując na niej
podpisu: dodała. — Fe, anonim! I ty, Henryku, każesz mi brukać się,
dotykaniem
takiego plugastwa?

— Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! — syknął, — Czytaj!...
Spojrzała. Rysy miał wstrętne wykrzywione, oczy krwią nabiegłe.
"Jeżeli panu railey chonor — brzmiały słowa anonimu — każ zabrać z
wystawy te

portrety, które cię na ogólne pośmiewisko narażają. Ten hrabski malarz, nie dosyć, że od kilku miesięcy romansuje z twoją żoną o czym wie cała Warszawa, ale widać chce jeszcze, aby cię palcami wytykano". Błada jak płótno, z rozszerzonymi źrenicami, Ira zatrzymała się, a papier z palców jej wysunął się na posadzkę. — Henryku — zdołała tylko wymówić z grozą rozpaczłą: — Henryku! — dodała błagalnie. On, jak na zdobycz cenną, rzucił się chciwie na upuszczony papier. — Dla czegoż to pani nie kończy? — szydził zjadliwie: Arystokratyczne jej usta cofają się przed grubymi wyrazami? Co? Czyn łatwiejszy od nazwy? A więc ja ją za panią przeczytam: I, podejmując brudną kartkę — wygłosił: "Widać chce jeszcze, aby cię palcami wytykano, skoro wystawia na widok publiczny swą hrabską kochankę".

— Henryku! — wybiegło na ustalry, w męce najwyższej. Między nią jednak, a mężem, stał już Haliński. — Tchórz tylko — zawołał z najwyższym oburzeniem — może się tak małodusznie znęcać nad kobietą. Policzek ten moralny otrzeźwił Korskiego. Jak zwykle u pasjonatów, w chwilach najwyższego gniewu, krew aż do kropli ostatniej zbiegła mu do serca, pozostawiając rysy trupio blade. Nie był w stanie słowa wymówić; szczeka dolna tylko poruszała mu się nerwowo. Hrabia skorzystał z tej sekundy przewagi. — Wolno panu — mówił z siłą, — żądać odemnie wszelkich wyjaśnień i wszelkich

satysfakcyi; lecz jako brat Iry, zakazuję ci, rozumiesz, zakazuję torturować ją i znieważać równie bezecnem, a hańbę przynoszącem ci oskarżeniem. Korski o krok w tył się cofnął.

— Dosyć rządów w moim domu! — zawołał. — Dosyć tego braterstwa! Uchodzi ono może wśród waszych arystokratycznych brudów! Mnie jednak krwią za nie odpowiesz.

I znów człowiek pierwotny, ten, który, w niedawnych jeszcze pokoleniach, zwykł pięś-

cią, i pożogą krzywd swych dochodzie, zbudził się w nim z dziką siłą. — Krwią mi za nie odpowiesz — powtórzył z tą skoncentrowaną siłą nienawiści,

która sama zwykła wymierzać sobie satysfakcję, gdy nagle, w chwili, kiedy był

zdolny rzucie się nieledwie na Halińskiego, dwie sprężyste ręce oparły mu się o

ramiona i siłą swą" do miejsca go przykuły.

Między nim a wrogiem, którego widok sam przytomność mu odbierał, stała, w

odwadze swej imponująca, a wolą potężna, Dora Korska.

— Szaleńcze! Czy mało z przyczyny twej trosk i nieszczęść! Kto ci krwią odpowie?

— Precz! To do ciebie nie należy...

— Tylko do mnie. Ja przedewszystkiem mam prawo zapytać, jak śmiesz przemawiać w

ten sposób do mego narzeczonego?

— Twego na-rze... czo... ne... go?...

— Pięknie przyjmujesz go do rodziny Korscy są plebejuszami, lecz podwójnymi

bratobójcami nie byli jeszcze nigdy!

I, odwracając się z pogardą i oburzeniem do Henryka, zbliżyła się szybko do

hrabiego Halińskiego, a opierając złożone ręce o jego ramię, jak
gdyby go
chciała osłonić tarczą własnej osoby — szepnęła:
— Na Boga, ręka w rękę ze mną!

A głośno dodała:

— Co się tu stało?

Alfred wskazał jej brudny świstek, leżący na dywanie.

— Anonim — objaśnił.

— A, zawiść rynsztokowa... Jad, pełzający w cieniu. Poznaję
Henryka. Ale

proszę, pan mu to przebaczy przez wzgląd na ranie — dodała słodko.
Pewna zaś, że Korski wyciągnie teraz rękę z przeproszeniem do
swego gościa,

podbiegła do Iry, jak widmo bladej, a otaczając kibić jej ramieniem —
szepnęła

cicho:

— Nie wierz, Iruś, to wybieg, którym chciałam ocalić ich obu!

ROZDZIAŁ XX.

Dusza ludzka podobną jest często do tafli spokojnego jeziora.

Patrzący, na zwierciadlaną jego powierzchnię, nie przypuszcza nawet,
że jeden

podmuch burzy, jeden grom wystarcza, aby toń ową

przejrzystą, zamienić w żywiołową, zniszczeniem ziejącą siłę.

Gdy złowieszczy wicher potwarzy zawył nad Iryą Korską i szarpnął
głębiami jej

duży, zbudziły się w nich nurty i wiry zawrotne, o których ona sama
nic nie

wiedziała dotąd.

Toń uśpiona a tak spokojna, iż błękit nieba zdawał się w niej odbijać,
zawrzała

nagle; skłębione uczucia: głuchego buntu, zwątpienia rozpaczy,
poszedłszy z sobą
w zapasy, groziły zupełnem rozbiciem moralnego jej bytu i woli.
Pozostawiona samej sobie, Ira wiedziała, że ją dotknął jakiś cios
straszny,
druzgocący całe jej istnienie; czy był nim jednak ów anonim z
nikczemną
potwarzą, czy obraz Dory, imponującej siłą, wyszlachetnionej
uczuciem, a
wspartej obu rękami o ramię Halińskiego, z tego nie zdawała sobie
sprawy na
razie. W oczach jej tylko stał ciągle ów ruch rąk, zarzuconych na
ramię, ruch,
znamionujący prawa własności, w uszach zaś brzmiał głos
nakazujący:
— Jak śmiesz przemawiać w ten sposób do mego... narzeczonego?
Chwilę tę, równającą się dotkliwej torturze, powtarzała ciągle,
odtwarzała z
uporem maniaka.

Napróżno pamięć przywodziła jej jeszcze inny obraz: Dory,
otaczającej ją tkliwym
ramieniem i szeptającej do ucha.
"Nie wierz, Iruś, to wybieg, którym chciałam ocalić ich obu".
Młoda kobieta, wyobrażając sobie, iż słowa te podyktowane zostały,
przez
współczucie dla niej jedynie, odrzucała je, jak zniewagę, uważając za
dowód
tylko, iż Dora targnęła się na jej własność.
To określenie oprzytomniło dopiero Irę.
Wrodzone poczucie uczciwości i dumy sta wiło czoło sofizmatom, a
sąd trzeźwy
wziął górę nad plątaniną sprzecznych wrażeń.
Jej własność... Jakąż to własnością jej był hrabia Alfred Haliński?
Jakie prawa

miała do niego, do jego uczuć i życia? Brat stryjeczny, droższy od
rodzonego,
jedyne krewne, towarzysze dzieciństwa i młodości — ślicznie; ale
podobny stopień
pokrewieństwa nie upoważnia jeszcze do nierozdzielności stosunku,
do spędzenia
razem życia całego. Skoro ona poszła za męża, ma Alfred również
prawo ożenić się
z Dorą, lub z kim mu się podoba.
Nie wiązało ich zatem pokrewieństwo, lecz powinowactwo z wyboru,
jedność ducha i
marzeń, tajemna nie sympatya, rosnąca z wolna w zatrważającą potęgę
swą uczucie.

Ira, blade jak kreda oblicze, w obu ukryła dłoniach.
— Miłość — wybiegło szeptem stłumionym na zbiegające jej usta.
— Miłość, której moc upajająca obcą jej była dotąd... Znała brutalną
jej formę;
szlachetna wszakże treść tego uczucia, duch jego i kwiat subtelny, jak
tchnienie
poety, ozłacający życie, dziś dopiero objawiała się, jej w całym
uroku i sile
wszechpotężnej.
Zapóźno!... Korona, wieńcząca rozkosz istnienia, nie dla niej była
przeznaczoną, nie miała prawa spocząć na jej głowie; odpychały ją
bowiem dwie
wątłe rączyny, przysłaniał sobą obraz maleńkiego synka Iry. Cóż ta
drobina
zawiniła w życiu, aby matka rodzona krzywdziła ją, oddając myśli
swe i życie
komu innemu, ściągając wstyd i hańbę na niewinne imię własnego
dziecka?
Z uświadomieniem uczuć bezwiednych dotąd, przed Irą otworzyła się
otchłań
zwątpienia i rozpacz.

Raz spojrzawszy prawdzie w oczy, wiedziała już, że miłość ta
zdradna,
przybierająca postać braterskiego przywiązania do Alfreda, a
podsycana podziwem
dla jego wyższości duchowej i umysłowej, oraz wspólnością tradycji i
ukochań,
dążeń i ideałów, opanowała

podstępnie całą, jej istotę, wszystkie tajniki serca i ducha.
Wiedziała, że hrabia kocha ją również, pojmowała stopniowe
wzrastanie tego
nieświadomego siebie, lecz z każdym dniem potężniejszego uczucia.
Za co ta kara Boża? Jakimże była wyrodkiem, aby tak nisko upaść
moralnie?

Upaść? Nie! Po godzinach męki i pasowania się z sobą, ten jeden
wyraz zbudził ją
znów do życia.

Podniosła dumnie bardzo blade, lecz rozegzaltowaniem myśli i siłą
postanowienia
jaśniejące oblicze.

— Mogę być nieszczęśliwą, bo to krzywdy dziecku memu nie
przynosi; nie wolno mi
jednak być nikczemną. Podłością zaś byłoby, rzucać na niewinne
czoło mego syna
cień hańby; podłością puszczać go w świat ze stygmatem wstydu,
którym lada
chłystek może bryznąć mu w oczy; podłością napiętnować
występkiem
plebejuszowskie, lecz uczciwe dotąd imię, jakie, przezżycie całe, ma
dziecku
memu za tarczę i list polecający w świecie służyć; podłością skalać
sromotnie
tamto dawne, rodzinne nazwisko, które z aureolą czci i honoru, przez
długie
szeregi przodków, przekazane mi zostało.

I w myśli jej stanęła jedna z najtragiczniejszych życiowych sytuacji:
oto, wobec
syna jej, dorosłego już, rzuca ktoś cieniem hańbiącego zarzutu, na
przeszłość
jego matki. Henryk, w obronie czci jej, droższej mu nad honor
własny, odpowiada
wyzwaniem. Nazajutrz zaś składają, u stóp występnej, skrwawione
zwłoki jedynaka.
Śmiertelnie blada, z rozszerzonymi źrenicami, w przestrzeń
utkwionemi, widziała
martwe jego ciało, z rozerwana, u szyi koszulą i raną głęboką w piersi.
Krew,
sącząca się z niej, kropla po kropli, niby ołów roztopiony, padała na
jej
sumienie. Ten trup, jak upiór, miał nie opuszczać jej do zgonu, o
obłąd i
samobójstwo przyprawiając.
— Przenigdy! Przenigdy! — zawołała. — Mogę być nieszczęśliwą,
niebędę wszakże
występną. Złe, czy dobre są pęta moralne i ustawy społeczne, nie
potargam żadnej
z nich! Nie skruszę żadnego ogniwa w łańcuchu tym, który,
egoistycznie, a
lekkomyślnie przezemnie zerwany, mógłby się zamienić w kajdany
galernika dla
mego dziecka.
I, z walki tej długotrwałej, z otchłani bólu i rozpacz, w jaką ją ona
pograżała, wyszła silniejsza i czystsza, na wzór złota, które w ogniu
próby tem
większej nabiera wartości.
Uspokojona, postanowieniem powziętem mocną miała zamiar nie
unikać Halińskiego,

lecz, dzięki ukończonem posiedzeniom malarskiem, wizyty jego
uczynić rzadszemi,
a z pierwszym promieniem wiosny wyjechać, wraz z synem, na czas
dłuższy do
Borowa.

Skołatana jej dusza i poszarpane nerwy potrzebowały wprost odżyć
wśród ożywczej
atmosfery pól i lasów.

Spokój ów wszakże, z trudnością, zdobyty, nie miał hyc
długotrwałym.

Do komnaty, w której siedziała z synkiem, jako ciągłym obecnie
towarzyszem jej
myśli i zabaw, wpadł pewnego dnia Henryk.

Od progu już widziała, że jest poruszony i zgorączkowany.

Zaczął od cierpkiej, zniecierpliwionym głosem rzuconej wymówki:

— Że też z tobą nigdy swobodnie pomówić nie można!... Tyś się
doprawdy urodziła

z usposobieniem na szwaczkę, lub bonę, lecz nie na wielką panią.

— O co ci chodzi?

— Wiecznie dzieciak przy tobie Grasz z nim, widzę, w jakąś
idiotyczną zabawę.

Winszuję!... Wrodzone instynkta niańki. To tylko chłopca
demoralizuje. W Anglii,

gdzie wychowanie jest przecież wzorowem, dziecko do lat -iu nie
wychodzi po za

drzwi nur sery, a rodzicom prezentuje się raz na dzień, wieczorem, na
minut,

przy deserze. Inaczej

wszystkie sprawy w łeb by wzięły, człowiek zaś musiałby zgłupieć,
schodząc do
stanu niemowlęctwa.

Spostrzegłszy, że Ira milczy, gładząc włosy siedzącego u nóg jej
synka, rozkazał

niecierpliwie:

— Odeślij że go raz do bony, bo chcę z tobą pomówić poważnie.

Nachyliła się i powiedziała słów parę do chłopca.
Heniusz popatrzył na nią smutnie, wyciągnął różowy swój dzióbek do pocałowania i,
odrzuciwszy jasne pukle, na palcach opuścił pokój.
Ira odprowadzała go ku drzwiom spojrzeniem głębokiej miłości.
To blade, ciche dziecko, któremu wesoła hałaśliwość rówieśników
nieznana była,
zdawało się odczuwać już, instynktem, atmosferę smutku i
rozdwojenia, panującą w
domu.

Korski z szyderstwem patrzył na żonę.

— Cóż, czy rozstania nie oblejesz łzami? Ty już w krwi masz
przesadę i
egzaltację. Po prostu nie jesteś stworzona do realnego życia. A
tymczasem,
zamiast chłopca na mazgaja wychowywać, lepiej byś o jego
przyszłości pomyślała.

— W jaki sposób?

— W bardzo prosty. Ostatni rok tak był niepomyślny, wszystkie
spekulacje tak
mnie zawiodły, że na razie znajduję się w bardzo trudnym położeniu.

— Zwróć się do ojca.

— Do ojca! Do ojca! A cóż ja smarkacz jestem, żebym się ze
wszystkiem
opowiadał?

— Interesa są, przecież wspólne.

— Właśnie, że nie. Chcąc wam przysporzyć dobrobytu, chcąc
wystarczyć na bale i
klejnoty...

— Byłam im zawsze przeciwna.

— Mnie na złość. Zresztą nie znasz się na tem. To nie romans, lecz
życie, w
którem trzeba umieć stanowisko swe utrzymać. Dla tego też, celem
pomnożenia

majątku, przedsięwzięciem interesu na własną rękę, bez wiedzy
starego. Jeżeli
nie poprę ich, natychmiast, większą sumą, mogę się znaleźć w
położeniu bardzo
krytycznym, bez wyjścia.
Nie przyzwyczajona do zwierzeń męża w kwestyach interesów, Ira
patrzyła na
niego, ze zdumieniem. Czuła, że zmierza do jakiegoś celu ukrytego,
którego
jeszcze ani pojąć, ani odgadnąć nie umiała.
— Czy ty rozumiesz — podjął z naciskiem — co to jest położenie
bez wyjścia? To
gorzej niż niezapłacony dług honorowy, gorzej, niż zwykłe
bankructwo...

— Więc tak źle jest z nami? I ty mi nigdy nie wspomniałeś o tem?
— Nie miałem o czem mówić, bo to są, komplikacje jednej chwili.
Zarabia się lub
traci, wzbogaca lub kulę w łeb sobie pakuje.
Jakiś błysk dziki w jego oczach ostrzegł Iredę, że to nie fanfaronada,
nie chęć
nastraszenia jej, przez rozmyślne przesadzenie niebezpieczeństwa.
— Nie wolno ci tak mówić — przerwała ze zgrozą. — Masz ojca
starca, stojącego
nad grobem i syna, na którego życie rzuciłbyś cień wiecznej żałoby.
— Siebie, Iredę, wyłączasz, jak widzę. Dziękuję. W ostatnich czasach,
pod wpływem
komplikujących się interesów i rozdrażnienia, obraziłem cię
parokrotnie; w
małżeństwie jednak, nie wolno brać takich rzeczy na seryo i trzeba
sobie wiele
nawzajem wybaczyć.
Zrozumiała aluzję.
— Na dowód — ciągnął po krótkiej przerwie — w chwili trudnej, a
dla mnie
przełomowej, przyszedłem bez wahania prosić cię o pomoc.

— Jeżeli chodzi o moją sumę posagową, proszę cię, rozporządzaj nią,
jak uznasz
za stosowne.

Uśmiechnął się lekceważąco z równie dziecinnej naiwności. Sądziła
snać, że
pieniądze te leżą nienaruszone.

— Nie; idzie mi o rzecz inną. Kredyt mój na razie wyczerpany; na
rachunek firmy
nie wolno mi, bez podpisu ojca, żadnych zaciągać zobowiązań.

Tymczasem,
potrzebuję i muszę mieć jutro, piętnaście tysięcy rubli. Tylko w ten
sposób

zdołam zaszachować wierzycieli i uratować sytuację. Sumę tak
znaczną może mi
dostarczyć, na poczekaniu, jeden hrabia Haliński tylko.

Ira drgnęła i pobladła,

— Wobec jednak ostatniego przemówienia się naszego, trudno mi
zwracać się do

niego z prośbą podobną. Zresztą, obrażony, nie przychodzi tutaj.

Widać pomimo

tajemnicy, jaką otaczają zaręczyny swe z Dorą, przesiaduje na
Lesznie, a tam ja

znów nie pójdę. Pozostaje więc jedna tylko droga: poślij jutro po
Alfreda i

poproś go o sumę tę w twojem imieniu, żądaj jej, jako grzeczności dla
siebie.

Ira nie wierzyła własnem uszom. Cała jej duma, każda kropla krwi
patrycyuszowskiej oburzyła się i zbuntowała przeciw podobnemu
postawieniu

kwestyi, przeciwko kupczeniu wszelkimi względami honoru, ambicyi
i delikatności.

Jedna wsteczna błyskawica ukazała jej ohydną scenę z przed dni kilku. Widziała ów brudny anonim, słyszała syczący głos Korskiego, czytającego ustęp o "hrabskiej kochance".

Rumieniec wstydu falą gorącą oblał jej lica; w ciemnych źrenicach iskry zapały.

— I ty mi to proponujesz? — zawołała z oburzeniem. — Ty, który znieważyłś nas oboje podejrzeniem zakazanego stosunku, ty, który, nie pojmując uczuć czystych, chciałeś przywiązanie nasze skalać podejrzeniem brudnych miłostek. — Egzaltacją, egzaltacją, egzaltacją!... — przerwał Korski niecierpliwie. —

Każdy mąż na mojem miejscu, postąpiłby tak samo. Powinno ci to pochlebić nawet.

Dyabli go wiedzieli, że się starał o Dorę tymczasem. Ja tu z wami nie siedziałem. Zresztą, rzecz ta, raz wyjaśniona, z pieniędzmi nie ma nic wspólnego. Rozumiem, że Dorze trudno byłoby prosić narzeczonego o pożyczkę, ale

ty, to co innego. Po jakiegoż licha ma się krewnych bogatych, jeżeliby w chwili

potrzeby nie wolno było odwołać się do nich. Paradował ze swemi braterskimi uczuciami dla ciebie, wysiadywał tu wiecznie, głupotą więc byłoby nie skorzystać z tego.

— Zapominasz, żeś przed paru dniami wypędził go, wołając: Dostyc rządów w moim domu! Dostyc tego braterstwa!

— No dobrze, aleśmy sobie potem podali ręce. Zresztą, tyś mu niczem nie ubliżyła; a skoro cię tak kocha, niechże, gdy tego potrzeba, płaci.

Piersć Iry podnosiła się oburzeniem, gniew i niesmak słowa jej tamowały.

— Zajście między nami nie przeszkadza tobie prosić go, o tak drobną dla

Halińskiego sumę, jak piętnaście tysięcy rubli — dodał Henryk.

— Nie uczynię tego nigdy.

— Co?

— Żadna moc ziemską nie zmusi mnie do podobnego poniżenia i podobnej niegodziwości.

Korski powstał drżący z gniewu.

— Więc nie rozumiesz chyba, że tu chodzi o ratowanie tonących, że te piętnaście tysięcy rubli, wniesione jutro przed -tą do kasy, mogą mnie od zguby ocalić?

— Weź wszystkie moje klejnoty, wszak są u ciebie w kasie. Sprzedaj je, zastaw...

Uśmiech, jaki przebiegł przez usta Henryka, wskazał jej aż nazbyt wyraźnie, że kosztowności te już zużyte zostały.

— Jeżeli chcesz, pojedę do ojca, do Dory. Wszak posag jej cały jest podobno w gotówce. W przykrem położeniu oni najlepszą będą ucieczką.

— Za pośrednictwo do mojej rodziny pokornie ci dziękuję — szydził zjadliwie

Korski.

— Współdział twój, w tym kierunku, byłby conajmniej zbyteczny. Że, gdy chodzi

o pieniądze, umiesz tylko na Korskich patrzeć, otem też wiedziałem.

Sądziłem

wszakże, iż samo poczucie sprawiedliwości i ambicyi każe ci domowi, w którym od

lat kilku wszelkiego możliwego używasz zbytku, przyjść czemkolwiek z pomocą.. I

kobiecie nie zawsze wolno być tylko ozdobną, a bezużyteczną,
rośliną.

— Henryku, zrobię wszystko co każesz, lecz tego jednego odemnie
nie żądam.

— Tak; nie żądam tego, co mi jedynie jest potrzebnem, co uratować
nas może. Nie
wiedziałem, że hrabiowska korona spadnie ci z głowy, gdy poprosisz
przybranego
brata o pożyczkę.

— Po wszystkim, co zaszło?

— A właśnie — przerwał, że teraz to jest usprawiedliwione. Skoro
zamiast
zakazanych uczuć dla ciebie, Halińskiemu podobało się rozkochać w
Dorze, skoro
łączy się z nami podwójnymi węzłami pokrewieństwa, masz wszelką
możliwość i prawo
odwołać się do jego pomocy.
Wszystkie pojęcia czci i honoru, wszystkie uczucia w duszy Iry,
podniosły bunt
głuchy. Nie potrzebowała namysłu lub walki.

Żądać pieniędzy od człowieka, który, jak to czuła i wiedziała, siłą,
wszechpotężnej woli tylko, powstrzymywał na ustach gorące wyrazy
miłości,

znaczyło to upoważnić go do wyznań, zdać się na łaskę i niełaskę
niebezpiecznego, a wszelkie węzły targającego uczucia.

Propozycja podobna, czyniona przez Henryka, przez tego, który
powinienby stał

jej za tarczę obrony, za puklerz honoru, wydawała się Irze, ostatnią
kroplą w

kielichu goryczy ostatnią hańbą i zbezczeszczeniem jej godności
niewieściej.

Podniosła hardo głowę:

— Zawiodłeś się na ranie. Powtarzam, iż żadna moc ziemska nie
zmusi mnie, do
podobnego poniżenia i podobnej niegodziwości.

— Korski porwał się, z nieukrywaną już furją,
— Odmawiasz?
— Stanowczo i nieodwołalnie.
— Strzeż się! Upór ten podaje cię w podejrzenie. Anonim musiał mieć rację.
Zamknęła się w milczeniu pełnem godności.
— Czy słyszysz? Ty może naprawdę byłaś jego kochanką?
Nieme spojrzenie, pełne wyrzutu i pogardy, jaką dręczona ofiara czuć musi dla swego oprawcy, jedyną stanowiło odpowiedź.

Ten upór zacięty a cichy, którego nie mógł przełamać ostrzem zniewagi nawet,
doprowadził Korskiego do ostatecznej pasyi.
— Tak — mówił porywczo, wybuchem własnego uniesienia zaślepiony; — dlaczego nie miałaś sobie pozwolić na wyrafinowane zepsucie? Wszak bliskie pokrewieństwo zapewniało ci bezkarność, a Dora za doskonały ekran służyła. Każdy inny na mojem miejscu zabiłby cię, jak ostatnią, nędznicę.
— Pamiętaj, że znieważasz matkę twego syna.
— Stokroć by lepiej było dla niego, aby jej nie miał nigdy! Matka, która bądź to zniesławia go, bądź chce narazić na nędzę i ubóstwo!...
Ira, śmiertelnie blada, podniosła ku niemu spojrzenie głębokiego wyrzutu. Z ust jej drżących, zbielejących, z trudnością, wychodziły słowa.
— Henryku, błagam: opanuj się i zastanów... Jesteś w sprzeczności z samym sobą.
Jeżeli wierzysz w ohydny obelgę, którą w twarz mi rzuciłeś, to jakżeż możesz wobec niej żądać, abym prosiła Alfreda o pieniądze?
Korski spostrzegł, iż wpadł we własną pułapkę, że sam sobie uniemożliwił interes.

Wzgląd ten, a może i lepsze poruszenie duszy, które kazało żałować
zniewagi, wy-

ządzonej żonie, pozwoliły mu zapanować na nowo nad własnym
wzburzeniem.

Przesunął się żywo.

— Iro, daruj, nie chciałem cię dotknąć. Nie wiem sam, co mówię; ale
wiesz, ja

te pieniądze mieć muszę, muszę, rozumiesz?..

— Skończmy — przerwała. — Przyjmę chętnie nędzę, lecz hrabiemu
Halińskiemu

o żadną sumę mówić nie będę. To ostatnie moje słowo.

Głos jej stanowczy rozkiełznał wszystkie szatany we wzburzonym
umyśle Korskiego.

— Bezżyteczniejszego nad ciebie stworzenia nie widziałem na
świecie. W

strupieszalej arystokracji, z której cię wyrwałem, egoizm przetrwał
krew i

serce, wyżarł wszystkie uczucia. Zamieniwszy hrabiowskie wątory na
moją

mieszczzańską fortunę, umiałaś dotąd używać jej tylko. Gdy trzeba
pierwszy raz

okazać mi pomoc czynną, cofasz się przed taką nawet głupią
przysługą. Dora,

która wniesie mężowi posag znaczny, potrafi z pewnością oprócz
tego, wspierać go

radą i zabiegami w całej jego działalności. Ja tylko, szalony, dałem się
wziąć

na pozory cieplarnianego kwiatu. To śliczne za czasów
narzeczeństwa. Szkoda, że

gdy kwiat taki stężeje w egoizmie, może się stać kulą u nogi.

— Henryku... Henryku...

— Kobieta z krwi i kości, kobieta serca, może zbłądziłaby prędzej od ciebie,
lecz umiałaby iść ze mną ręka w rękę przez całe życie. Wolę to, nad twoją
problematyczną nieskazitelność. Ta wieczna egzaltacją, przesada i chodzenie po
chmurach, świętemu zbrzydłyby nawet... Poetyczna ekstaza dobrą jest w kościele;
w codziennej wszakże egzystencji musi każdemu stanąć kością w gardle.

— Nie wiedziałam, że cię tak nieszczęśliwym czynię.

— Nieszczęśliwym... Ha, ha, ha! Pies ulitowałby się nad mym losem, nad kajdanami, jakie sobie sam zgotowałem. To bezecne jest, aby tak pokutować za jedną chwilę szału!

Chodził gorączkowymi krokami wzdłuż pokoju, roztrącając meble, wściekły,
wzburzony, drżący cały.

Ira, świadoma, iż wobec furii podobnej, najlepiej głuche zachować milczenie,

słuchała, jak skazaniec wyroku, tej długiej listy oskarżeń.

Korski zatrzymał się nagle przed nią.

— Do kroćset, wydobędziesz te pieniądze od Balińskiego, czy nie?

— Nie.

Zacisnął pięść ruchem groźby; reszta jednak przytomności kazała mu ją, w porę powstrzymać.

— Precz! — syknął — poczem, hamując się dodał:

— Żegnam panią... Sądzę, że wobec obojętności i wyrafinowanego uporu, z jakim chcesz przyczynić się do mojej zguby, mam prawo dom ten opuścić na zawsze.

Ludzie, których nic z sobą nie łączy, powinni dla własnego dobra rozstać się i

oswobodzić nawzajem.

I, odwróciwszy się, trzasnął drzwiami na pożegnanie.

Zgnębiona nowym ciosem moralnym, jaki w nią uderzył, upokorzona gwałtowną brutalnością burzliwej tej sceny, Ira ukryła głowę w poduszkach kanapki, gorzkim wybuchając łkaniem.

ROZDZIAŁ XXI.

Przed dom Korskich w Alejach zajeżdżała jednokonna, nędzna dorożka.

Siwa, stara szkapa, o zapadłych bokach a pracowitej przeszłości, ziajała

jeszcze, tak ją śnać w pośpiechu popędzano.

Z wnętrza budy wychyliła się, apoplektyczna zwykle, a dziś sinawa, od uderzenia

krwi do mózgu, głowa Wilhelma Korskiego.

Pomógł wysiąść jeszcze sztywniejszej, jeszcze chudszej, niż dawniej, pani Bercie

z Mullerów. Włosy jej były bardziej szarobezbarwne, usta zwężone do szerokości

ściągniętego sznurka; nad czołem piętrzył się kapelusz, którego pochodzenie z

Długiej ulicy, dla nikogo nie mogło być" tajemnicą.

Ruszyli na górę.

W przedpokoju lokaj, zapytany o panią Korską, objaśnił, że jest w domu, ale

cierpiąca i nikogo nie przyjmuje.

— Co to "nie przyjmuje"? — ofuknął fabrykant, kierując się w głąb mieszkania. —

Mnie przyjąć musi, rozumiesz?

Służący zaszedł mu drogę.

— Przepraszam, jak godność?

Dwie pary oczów, zaokrąglonych od zdumienia, zwróciły się ku niemu.

— Moja godność nie wyciera się, po przedpokojach i do ciebie nie należy —

rzucił goić z pasya.

Po wygolonych ustach lokaja przewinał się drwiący uśmiech.

— W takim razie proszę o kartę.

— Co za kartę?

— O bilet wizytowy, abym wiedział, kogo meldować" jaśnie pani.

— Gott! — westchnęła pani Berta. — A cóż tam z temy biletamy; przecież dziś nie

żadne imieniny, żeby bilety posyłać.

Portyera podniosła się w tej chwili.

W cieniu jej, zwabiona głośną sprzeczką, stanęła Ira.

Była bardzo blada i wyraźnie chora. Delikatny, z miękkiej materii szlafrok,

wycięty trochę u szyi, otulał ją całą, spływając długimi fałdami ku ziemi.

— Pani synowo — mówił zdławionym głosem stary Korski, — twoja służba nie

pozwała nam wejść do mieszkania.

— Przepraszam ojca... Tomasz jest u nas niedawno i dlatego tylko, nie znając

rodziców, a biorąc ich za zwykłą wizytę, dopuścił się podobnej pomyłki. Proszę

do salonu.

— Co za ceremonie, co za ceremonie!..! — wyrzekął fabrykant, przestępując próg mieszkania.

Gdy stanęli w gabinecie syna, pani Berta zatrzymała się, a wyciągając wskazujący

palec ku młodej kobiecie — zauważyła.

— Powiedzieli, że pani chora, a ty, jak widzę, na bal się wybierasz.

— Nie. Jestem silnie cierpiąca i z domu nie wychodzę,

— A cóż to za strój? — pytała cna matrona, z palcem wciąż ku Irze wyciągniętym.

— Luźne domowe ubranie. Zwykły szlafrok.

— To ma być szlafrok? To jest szlafrok? Ubawiona zdumieniem i zgorśzeniem tem

Ira, uśmiechnęła się mimowoli.

— W takim razie, — ciągnęła stara mieszcza z głębokiem westchnieniem — nic

dziwnego, że przy podobnych fanaberych syn nasz się zadłużył i zrujnował.

— Strój ten pochodzi z mojej wyprawy — wyjaśniła z niezamąconym spokojem młoda kobieta.

— Zawsze to na Hendrysia spada.

— Nie pani, ubierałam się i ubieram do tej pory własnym kosztem.

Tak była rzecz

ta ułożona między mną a synem pani — sprostowała z lodowatą grzecznością.

— Gospodynią inaczej w domu chodzić powinna. Samemy sługamy trudno się wyręczać.

Tym razem Ira zamilkła, pozostawiając ostatnie słowo teściowej.

— Mutter, nie zwracaj głowy drobiazgami — przerwał pan Wilhelm porywczo. — O

ważniejsze tu sprawy chodzi.

A zwracając się do synowej, zapytał drżącymi ustami:

— Czy Irenka wie, że Henryk wyjechał wczoraj wieczorem potajemnie zagranicę?

Że uciekł po prostu, ku hańbie firmy, rzucając mi na głowę pozaciągane przez

siebie długi i znaczne, dziś płatne weksle.

Ira pobladła silniej jeszcze.

— Wiem, że opuścił Warszawę; zawiadomiono mnie o tem telefonicznie z kantoru.

Nie sędzę wszakże, aby się to równało ucieczce. Przeciwnie; mam dane mniemać, że po tygodniu lub dwóch, sam powróci. Stary odetchnął głęboko i, jak tonący, który za słomkę chwyta, rzucił się ku młodej kobiecie.
— Jakie dane? Na miłość Boską, jakie dane?
— Może mi ojciec oszczędzi wymieniania ich tutaj. Byłoby to dla mnie przykrością i upokorzeniem zarazem.

— Więc nie rozumiesz chyba, że mnie tu więcej, niż o życie chodzi? Pozwalam mu być lekkomyślnym, lecz niechce aby był nikczemnym. Bolesny uśmiech przewinał się przez blade usta Iry. Pojęła, iż "nikczemność" stosowaną jest jedynie do zarwania wierzycieli i firmy.
— Przedewszystkiem — objaśniła — dłuższy pobyt zagranicą 'wymaga pieniędzy, a wiem, że ich nie miał, bo przed wczoraj jeszcze żądał odemnie, abym mu wyrobiła u rodziny mojej większą a szybką pożyczkę.
— Ograbił kasę firmy. Zabrał z sobą wszystko co do ostatniego szeląga.
— Następnie zaś — ciągnęła ze smutnym uśmiechem — doniesiono mi już dzisiaj, że wyjechał nie sam.
— Jakto?
— Towarzyszy mu jakaś artystka z "Fantazyi", czy innego teatru. To każe mniemać, że fundusz zabrany tem prędzej się wyczerpie, przywracając państwu niedługo syna. Efekt był piorunujący i... niespodziewany. Pani Berta porwała się, jakby prądem elektrycznym rażona.

— I ona to śmie powiadać? Ona mówi tak spokojnie?

Ira zmierzyła ją zimnym wzrokiem.

— A cóż mam zrobić? Jakaż w tem moja wina?

— Twoja, pani synowo — potwierdził fabrykant. — Żona powinna umieć męża

przywiązać do siebie, przykuć do domu; powinna mieć na niego wpływ moralny.

— On taki młody! Taki młody! — zawodziła pani Berta.

Ira, dotknięta tem niesprawiedliwem, a ciasnem i jednostronnem zapatrywaniem, z

trudnością panowała nad sobą.

— Taki młody — jęknęła raz jeszcze teściowa.

— Nie wątpię, że dla swej matki pozostanie zawsze "dzieckiem"; dla mnie jednak

i dla świata musi być pełnoletnim i za czyny swe odpowiedzialnym, skoro nie

wahał się ożenić i założyć rodzinę, której nie ja, lecz on powinien być obroną i

opieką Nie sądzą więc, aby było słusznem czynić mnie, jako żonę, za czyny męża

odpowiedzialną.

— Powinnaś była prowadzić go i kierować.

— Jestto możliwe tam — wyznała Ira ze smutkiem — gdzie małżeństwo opiera się na

wielkiej miłości i jedności, zarówno pojęć, jak uczuć. Niestety, Henryk nie

kochał mnie nigdy.

— To pocóż się żenił? Ja mu tu przecież radziłam panny z takimi posagami! Z

takimi posagami... biadała pani Berta.

Przez umysł Iry przebiegła słynna skarga Dumasa: "Boże! Czemużeś sprzął konia z

os. łem?" Stłumiła ją wszakże, a wiedząc z doświadczenia, że wszelkie zasady etyczne i psychologiczne, wszelkie rozumowanie wogóle, niedostępnym jest dla ciasnego umysłu i małomieszczańskich pojęć" pani Berty, skłoniła tylko głowę i odparła z gorzkim pośmiechem:

— Nie moją jest rzeczą oceniać pobudki, jakie kierowały synem pani; bo czy na dnię ich leżała próżność, czy chwilowe zaślepienie, małżeństwo nasze nie przestaje być przez to smutną, bardzo smutną pomyłką...

— Tak, smutną pomyłką — przyznał Korski. — Ja zawiniłem pierwszy, bo nie umiałem nałożyć pęt wybujałej jego naturze, ty, pani synowo, zawiniłaś następnie, bo widząc to usposobienie płocze alekkomyślne, nie umiałaś steru domu we własne ująć ręce. Tak, zawiniłaś — ciągnął z gniewem, własnymi zapalając się słowami, — bo zamiast zejść do sfery męża, chciałaś tu wasze pańskie i arystokratyczne wprowadzić zwyczaje. Dziad jego bosy chodził, po cóż mu salony i lokaje? W długich butach, w fabryce, tam jego miejsce. Gdyby go

pilnował, wzroslibyśmy w potęgę, zamiast wstyd ściągać na moje siwe włosy.

— Tyle piniendzy! Tyle piniendzy! — jęczała teściowa. Honor, zasady, uczucia nie przychodziły jej na myśl wcale. Wzmianka o "piniendzy" rozogniła starego Korskiego, dolewając oliwy do ognia jego gniewu.

— Nie pozwolę — wołał, aby przez szaleństwa Henryka ucierpiała firma, lub posag Dory. Nie pozwolę — aby one ujęły zasłużonej sławy fabryce.

— Sprzedać... Wszystko to sprzedać... poddała mu żona, wskazując
ruchem
półkolistym na urządzenie salonu.

— Tak. Każę wszystko zlikwidować na rzecz wierzycieli. Dopóki ja
żyję, fabryka
nie może cierpieć, ani być ogołocona z funduszków. Liczę, pani
synowo, że
zechcesz zastosować się do tego.

Ira podniosła się i stanęła wyprostowana z ręką o krzesło wspartą.

— Miałabym prawo protestować w imieniu mego syna; ale nie
uczynię tego. Skromny
posag matki wystarczy na życie i wychowanie Henia; wolę zaś nawet,
kosztem
utraconej dla niego fortuny, wyrwać go z otoczenia,

w którym troska o pieniądź zabija: w ojcu honor, w dziadku serce dla
rodzonego
wnuka.

Korski zachnął się i milczał, jak gdyby go słowa te spoliczkowały.
Zanim jednak oprzytomniał, między nim a Irą stała już małżonka jego,
z wypiekami
na ostro-kościstych policzkach i blaskiem radości w wybladłych
oczach. Ręka jej
sucha, żółta, o płasko ściętych i ciemnym brzeżkiem otoczonych
paznokciach,
ubrana w uroczystą czarną mitenkę, wyciągnęła się tryumfalnie ku
młodej
kobiecie.

— A jedź! jedź! — wołała. — Hendryś wróci do nas, będzie mieszkał
z namy na
Lesznie, odetchnie i zapomni o tych nowych porzondkach. Jedź,
choćby dziś
jeszcze!

— Szaleństwo! — zabrzmiał nagle młodzieńczy głos od progu. —
Przemawiając w ten

sposób, zapomina mama, że bądź co bądź, Ira jest jeszcze w swoim domu; że miałyby więc, wobec zachowania podobnego, wszelkie prawo, mamie z niego wyjść kazać.

I Dora, której policzki pałały oburzeniem, przypomniawszy sobie jeszcze, że wraz z wyjazdem bratowej straciłaby ostatni łącznik z Halińskim, podbiegła ku niej, a opasując kibić Iry opiekuńczym ramieniem, zwróciła się z ogniem do starego Korskiego:

— Jak ojcu nie wstyd ulegać do tego stopnia wpływowi matki? Słyszałam już przy śniadaniu ładne rzeczy. O cóż chodzi? Jeżeli o osobiste długi Henryka, pokryję część ich chętnie, z własnego mego posagu. Jeżeli o ową budę przekłątą...

Gniewne to określenie przywróciło głos Korskiemu.

— Fabryka to mój byt, mój honor — mówił.

— Jeżeli ojcu milsza nad szczęście dzieci, to proszę ją trzymać. I Henryk i ja za to dziedzictwo dziękujemy; niechże więc służy dla trzecich osób... Wzamian,

wolno nam chyba rozporządzać własnym życiem i własnym szczęściem. Przestrzegam też: Henryk mógł zbłądzić, ale Irę kocha w gruncie i rozstania z nią do śmierci wam nie daruje. Zyskacie garść grosza i zadowolenie mieszczańskich instynktów,

lecz stracie jedyne go syna na zawsze

— Ja nie chciałem pani synowej ubliżyć — tłumaczył się Korski, sądząc jednak, że Henryk sam wyjazdem swoim...

— Potargał łączące go ze mną węzły — uzupełniła Ira. — Tak; targał je zresztą nieraz... Uznając też słusność żądania rodziców, dziś jeszcze dom ten opuszczę.
Staremu Korskiemu serce załomotało nagle.

— A dziecko? A Heniuś? — rzucił głosem niepewnym, jak gdyby wstydząc się własnej słabości.
Ira wyprostowała się z godnością.
— Syn mój — odparła — staje się od tej pory moją, wyłącznie własnością i, rzecz prosta, wraz ze mną opuści na zawsze te progi.
Pewność czystego sumienia, oraz poczucie doznanej krzywdy, dziwny nadawały jej majestat.
Skłoniła się i, bez jednego słowa, bez jednego spojrzenia, ze spokojem królowej opuściła salon.
Wśród pozostałych, przez chwilę, głęboka panowała cisza.
Rzecz niesłychana: zwycięzcy, zdobywszy plac boju, mieli miny upokorzone i przestraszone zarazem.
Doniosłość zaszłego faktu przerażała ich nieledwie.
Zmieszani, jak gdyby to oni doznali porażki, jak gdyby ich wypędzano, Korscy podnieśli wreszcie ku sobie zawstydzone spojrzenia.
W pośrodku salonu stała własna ich córka, mierząc oboje starców pogardliwym nieledwie wzrokiem.

— Ha! ha! ha! — zaśmiała się szyderczo. — Ogniuwo! Ira marzyła, że stanie się

organicznym ogniwem, łączącym szlachtę polską z niemieckim przemysłem kraju!

— Cudny los!

— Korscy tak dobrze posłannictwo to pojęli, że aby silniej ogniwo ze sobą spoić,
pieką je na rozżarzonych węglach i biją młotem: rodzice — egoizmu,
a syn ich —
zdrady i niegodziwości.

ROZDZIAŁ XXII.

Ojcie nasz, Ojcie, znowu dajesz wiosnę
Znów sypiesz skarby dłonią Twą rozrzutną
Wszystko dokoła wesołe radosne,
Nam tylko Ojcie, nam smutno!

Cienki głosik małego Henia, sepleniąc i mozoląc się, wypowiedział początek przepięknej "Modlitwy".
Był to pierwszy tryumf jego dziecięcej, przez ciągłe obcowanie z matką, przedwcześnie rozwiniętej inteligencji.

Dumny z pokonania trudności, zarzucił rączki na szyję Iry, tuląc do twarzy jej delikatną swą buzię, okoloną długimi, jasnymi puklami.

— Heniowi nie smutno, bo ma kwiaty i mamusię — poprawił tekst modlitwy. —

Ojcie, to znaczy tatusiu, a kiedy tatusia niema — szczebiotał dalej. Ira zamknęła mu buzię pocałunkiem.

— Gdzież ten tatuś? — dopytywał się z dziecinnym uporem.

— Daleko, daleko... Jak Heniuś urośnie i będzie grzeczny, to do niego pojedzie.

I, aby odwrócić uwagę dziecka, od drażliwego przedmiotu, Ira, zręcznym ruchem,

piłkę leżącą na stole, przerzuciła za balustradę na trawnik.
Malec, zeskoczywszy z jej kolan, pobiegł radośnie za ulubioną
zabawką.
To dopytywanie o ojca, ta bezdomność jej dziecka, była
najciemniejszą stroną w
obecnym życiu Iry Korskiej.
Własne, złamane istnienie, mniej ją bolało; przyszłość dziecka jednak
ostrym
cierniem wpajała się w duszę.
Starła się też, na razie, nie myśleć o niej, odpychając marę tę groźną
do
czasu, w którym własny jej organizm odzyska zupełnie moralną i
fizyczną
równowagę.

Dokoła wiosna czarodziejska, o której dziecko deklamowało przed
chwilą, stroiła
pałac i park borowski w najponętniejsze swe czary.
Bujność kwiecica; i zieleni, szafir nieba i woń balsamiczna,
orzeźwiająco a
ożywczo działały na Irę, boska zaś cisza, panująca do koła, po
zgiełkliwym życiu
poprzednim, nektar ukojenia wlewała jej do duszy.
Gdy 'przed paru miesiącami, wykolejona i wyrzucona z gniazda,
przyjechała tutaj,
Boreccy z otwartymi przyjęli ją rękami i jak własne przygarnęli
dziecko.
Nawet wujenka, tak niechętnie usposobiona niegdyś dla niej, dziś, gdy
wracała
tu, nie jako piękność tryumfująca, a współzawodnicząca z jej córkami,
lecz jako
życiowy rozbiitek, okazywała jej wyłącznie wzorową uprzejmość i
słodycz.
Być może, iż wpływało na to ustalenie ich finansów, dzięki pomocy
Alfreda

Halińskiego oraz zapewnienie losu jednej z córek, zaręczonej już od paru miesięcy; być może, iż mały Heniuś, bądź co bądź przyszły dziedzic fortuny Korskich, zmniejszył też troskę o koszty instalacji swojej i matki, dość, że dla tych, czy

dla innych powodów, Ira najserdeczniej przyjęta, została. Zajawszy dawne swe pokoje, otoczona wszystkim, co od dzieciństwa kochać i wielbić zwykła, mogłaby się łudzić wrażeniem, że przeszłość była tylko cczą marą, snem przykrym, gdyby srebrny głosik Henia nie budził jej do rzeczywistości. Niemniej ta cisza, ten spokój i wewnętrzne ukojenie, dawały jej, jak nektar czarodziejski, zmartwychwstanie serca i młodości. Że mąż jej bawił zagranicą, zapomniawszy o żonie i synu, to odkąd zdecydowała się na kroki rozwodowe, było jej zupełnie obojętnem. Uczucie doznanej obelgi i upokorzenia, straciło z biegiem czasu pierwotną swą gorycz, lecz i resztkę przywiązania do Henryka zniknęła bezpowrotnie. Po śmiertelnej zniewadze, jaką wyrządził jej tem nagłym opuszczeniem, tą niczem nieusprawiedliwioną, a bezprzykładną ucieczką, w sercu Iry powstała względem niego, nie uraza, nie chęć zemsty lub odwetu, lecz jakaś przerażająca próżnia. Nić uczucia i sympatii pękła wprost bezpowrotnie, niczem nawiązać się nie dając.

Złe, trywialne natury mszczą się w takich razach; dla gołębiej a
czystej duszy
Iry, obrażający ją człowiek przestał tylko istnieć, podległ śmierci
moralnej.
Serce jej, tak wrażliwe i tkliwe, przed nim jednym zamknęło się
bezwiednie, na
zawsze skamieniało poprostu.
Na zwrot ten, w jej uczuciach, nie wpływała bynajmniej idealna i
idealistyczna
sym patya dla Halińskiego i ta bowiem, wskutek oddalenia i
wstrząśnień
doznanych, zbłękitniała, zamieniając się w cień wymarzony, a nie
pochwytny, w
podziw dla wielkiego artysty i szlachetnego, rozumnegoczłowieka.
Że, gdyby sobie
na to pozwoliła, mogłaby go kochać gorąco, o tem wiedziała bardzo
dobrze. Silna
jej wola wszakże, stanęła temu na przeszkodzie, a późniejsze wypadki
złamały w
niej wprost zdolność kochania, zniweczyły nerw młodości i chęć
życia.
Spokoju, spokoju, spokoju, tego tylko pragnęła i ten wśród czarów
wiosny i ciszy
wiejskiej odzyskiwać stopniowo zaczęła.
Po paru miesiącach oczy jej pociemniały napowrót, dawnego
nabierając blasku, a
lica zaróżowiły się nawet lekko.
Siedząc na tarasie, zapatrzona w zielen parku i cudny popołudniowy
błękit nieba

mogła była prawie wyobrazić sobie, że minione lata były urojeniem,
że jest
jeszcze dziewczątkiem młodem, które tu tyle godzin rozkosznie
prześniło.

I przez skojarzenie myśli z ową "Modlitwą", wypowiedaną przed chwilą ustami jej dziecka, przypomniał się trze wiersz, spotkany w ostatnim numerze Kuryera, a tak dziwnie odpowiadający potrzebom jej duszy. Sięgnęła po leżący obok dziennik i czytała raz jeszcze:

"Spłyńcie wy do mnie z powrotem,
Myśli moje,
Srebrne źródle
Myśli wiosny! Śnione pod tęczą namiotem,
Dzierzgane zorzą i złotem,
Na sztandar życia radosny!
Olbrzymy wiaty w bezsile,
Spłyńcie wy do mnie z powrotem

Myśli moje.
Srebrne źródle,
Na jedną chwilę!"

— Na jedną chwilę! — powtórzyła boleśnie i głośno już czytała:

"Wróćcie!... Jedyne pragnienie
Opowiedzieć duszę w złudzenie, Że, co minęło, powstanie, Że co zamarło —
znów
wskrześnie...
Wróćcie na chwilę... na mgnienie...

Jak kwiat wonny,
Jak ptak dzwonny,
Wróćcie choć we śnie!" ()

— Bańka mydlana, jak i sny i marzenia i nadzieja szczęścia w życiu; wszystko to ułuda, jedna tęczowa bańka mydlana — myślała z goryczą.

Na stopniu tarasu ukazał się w tej chwili wuj jej, Borecki, o tej samej
zawsze,
na wskroś szlachetnej postaci i dużych, siwiejących już wąsach.
Objął ją serdecznem spojrzeniem i zawahał się chwilę. Poczem
przystąpił żywo:
— Iro — mówił bez żadnych przygotowań, — zdaje mi się, że ci złą
przynoszę
wiadomość.
— Dziecko? — zapytała, blednąc.
— Nie; telegram.

() Wiersz Laskowskiego.

Rozerwała podaną sobie depeszę. "Henryk w Warszawie.
Sparaliżowany.
Dogorywa.
Dom."
Niedowierząc własnymi oczom, czytała głośno, raz, drugi:
"Sparaliżowany. Dogorywa". Tak; to Dora donosiła jej o nagłym,
widać
nieszczęściu.
Gdy pełna świadomość faktu tego doszła do jej mózgu, z serca, które
przed chwilą
za skamieniałe miała, wysoczyła się para kropel krwi gorącej i, w
postaci dwóch
łez grubych, po policzkach jej spłynęła.
Po pierwszych tych perłach, toczyły się "łzy czyste, rzęsiste", jak
groch duże,
ust jej dosięgając. Smak ich gorzki oprzytomnił ją dopiero.
— Sparaliżowany — szepnęła. — Boże, co za cios...
Borecki patrzył na nią ze współczuciem.
— Iruś, co zrobisz? — zapytał wreszcie.
— Jadę natychmiast.
— A rozpoczęte kroki rozwodowe?

— Co Bóg złączył, tego snąć ludzie rozłączać nie powinni. Nie czas
teraz na
sądy i urazy. Moje miejsce tam: wiozę mu syna.
— Jedź, moje dziecko, i niech ci Bóg sił doda!

A przypominając sobie własne określenie, dodał w myśli:
— Biedne ogniwo, obyś sobie kajdan nie przykuło czasem!

ROZDZIAŁ XXIII.

Słoma grubo rozłożona na ulicy, i story zapuszczone we wszystkich
oknach,
wskazywały przechodniom, iż w mieszkaniu Korskich jakieś
nieszczęśliwe życie
pasuje się ze śmiercią.
Uratowane, dzięki staraniom Dory, lecz ogołoczone z obrazów i
dywanów, z portyer,
firanek, oraz wielu kosztownych sprzętów i drobiazgów, dawne
zbytkowne, a urocze
gniazdko Iry, dziwnie martwy przybrało charakter. Czułeś, że tam,
gdzie przez
długie miesiące nikt nie mieszkał, dziś szara niedola obrała sobie
siedlisko.
Gdy na zewnątrz wiosna, śmiała się w całym bogactwie barw i
królewskim
przepychu, tu, w przycmionem świetle, snuły się wszędzie

opary lekarstw, a po kątach choroba i nieszczęście rozpościerały swe
skrzydła.
W przyciemnionej sypialni, na dużem, ku środkowi wysuniętem
łożku, spoczywało
bezwładne ciało Korskiego.

Gdyby nie szeroko otwarte, lecz błędne oczy i nerwowy ruch palców
na kołdrze,
możnaby tę bryłę zmartwiałą, za trupa już poczytać.
Młode życie, jak piorunem, gwałtowną chorobą, porażone, tem
boleśniej
uwydatniało niepowetowaną wyrządzoną mu krzywdę.
Bujność sił, hulaszczem życiem podniecana i apoplektyczna
kompleksya,
odziedziczona po ojcu, pogorszyły jeszcze gwałtowne, a nagle
uderzenie krwi na
mózg.
W pierwszej chwili nie zdawano sobie sprawy z całej grozy ataku.
Stary Korski, wyjechawszy z Warszawy za interesami, nieobecny był
na razie;
matka Henryka wśród łamań rąk, wyrzekan i okrzyków, więcej robiła
zamętu i
hałasu, niż niosła pomocy.
Dora, bardzo ciosem tym dotknięta i bezradna, zrozumiała tylko rzecz
jedną, że
pomimo krzywd wszystkich, wyrządzonych Irze, należy natychmiast
zatelegrafować
po nią.

Przybywszy w kilka godzin później, Ira, cicho i spokojnie zajęła
miejsce u
wezłowie chorego.
Tu już zastał ją pan Wilhelm Korska, a ujrawszy kobietę tę, którą
niedawno
wypędzili przecież, na strażnicy najwyższego swego dobra, na
stanowisku, które
mogło stać się moralną kazią dla niej, w pokorze pochylił przed nią
głowę.
— Ratuj go, jeżeli możesz — wyszeptał ze łzami. — Doktorzy tracą
wszelką
nadzieję.

Nie miała siły uśmiechnąć się nawet na ten zwrot w uczuciach
nieszczęśliwego
starca. Nie miała siły; widok bowiem Henryka, niepoznałego jej
wcale, widok
tej ruiny, która do niedawna mężem jej nazywała się, do głębi duszy
nią
wstrząsnął.
Pamiętała, go pięknym, promieniejącym młodością i zapałem, gdy
tam, w Borowie,
na tle zieleni parku, fortunę swą i nazwisko w ręce jej składał.
Pamiętała, w
otoczeniu salonów warszawskich, strojnego i uśmiechniętego, gdy w
pierwszym roku
po ślubie, dumny i szczęśliwy, upajał się towarzyskimi jej tryumfami.
Pamiętała,
jak później jeszcze widywała go, w przelocie tylko, porwanego
szaleńcem życia, w
gronie kobiet, z kielichem w ręku, lub przy zielonym stoliku... A
dalej, nie był
to już jej Henryk... Wir unosił go coraz

silniej, coraz potężniej, aż zdruzgotawszy, rzucił tu, na pastwę bólu i
niedoli,
nałup śmierci duchowej.
W podciętym organizmie tłała wprawdzie reszta życia, lecz iskra
Boża, która niem
kieowała, na zawsze zagasła.
Nie poznał Iry i dziecka swego, tak, jak niepoznał nikogo, jak
zdawał się nie
spozstrzegać wcale, co się dzieje dokoła i nie zdawać sobie sprawy ze
wszystkiego, co go otacza.
Przytomność Iry zdwoiła ratunek.
Najpierwsze sławy medyczne otoczyły łóżko Henryka. Wyrok ich nie
wróżył nic
dobrego.

— Stan groźny, bardzo groźny — mówili jednozgodnie. Nie można jednak nic przesądzać. Należy czynić wszystko, co jest w ludzkiej mocy, celem przyniesienia mu ulgi i czekać, cierpliwie czekać. Mijały wszakże długie dni i noce, a chory prócz nerwowego poruszenia szczękami i bezustannego drgania palców, innych oznak życia nie dawał. Wtedy, na żądanie Iry, zawezwano pierwsze powagi medyczne Wiednia i Berlina. Narada ich z miejscowymi lekarzami nie dodała nikomu otuchy. Wyrok zagadkowy mówił znów: czekać, czekać, czekać.

Czas i siły żywotne miały rozstrzygnąć o losie chorego. Dnie tymczasem zmieniły się w tygodnie, miasto pustoszało, a szpitalna atmosfera domu zabójczą stawała się dla dziecka i Iry, nie opuszczającej na chwilę chorego. Nowe konsylium, ze sław doktorskich miejscowych i zagranicznych złożone, zakończyło wreszcie niepewność", wydając orzeczenie, zabójcze w swem bezlitośnym okrucieństwie. Nie chciano prawdy ukrywać dłużej przed rodziną. Nauka, dokazując cudów, zwalczy chorobę. Henryk Korski — zapewniono — nietylko żyd będzie, lecz z bezwładu paralitycznego zupełnie uleczonym zostanie. Wskutek wszakże uderzenia na mózg, musi mu pozostać lekki mrok na umyśle, przyczem wisi nad nim., groźba ociemnienia. Wieść ta, jak grom, uderzyła w dom cały, rozbijając wszystkie żywione dotychczas nadzieje.

Pomimo oswojenia się z nieszczęściem, widok tej strasznej niedoli człowieka
młodego, na którego płakała przecież tyle razy, wstrząsnął Iry do
głębi,
poruszając wszystkie szlachetne pierwiastki w jej duszy.
Zapatrzona w zmienione do niepoznania rysy męża, nie czuła, jak z
serca jej
oderwą-

ły się znów dwie krople krwi serdecznej i w dwóch łzach grubych z
oczów się
stoczyły.

— Proszę pani, papiery jakieś do pana — meldował w tejże
chwili lokaj,
podając jej na tacy dużą kopertę.

Ira list ujęła i... zbladła bardzo.

Papier nosił u góry drukowany napis: "Konsystorz rzymsko - katolicki
w
Warszawie".

Wszystka krew zbiegła jej raz jeszcze do serca, pozostawiając lica
zbielałe, jak
kreda.

Był to pozew w sprawie seperacyi, którą ona, przed przyjazdem tutaj,
rozpoczęła
w sądzie arcybiskupim.

Odbierając go, w imieniu Henryka, tu, w chwili takiej, przy jego łożu
śmierci
nieledwie, Ira stała, jak pod uderzeniem gromu.

Po drugiej stronie łóżka, ciemne oczy Dory śledziły ją z najwyższym
niepokojem.

Wiedziała, że się stało coś ważnego, że list ten musi mieć
rozstrzygające na

losy ich znaczenie, skoro w zrenicach Iry taki skoncentrowany ból, a
w rysach

jej taką zmianę wywołał.

W duszy młodej kobiety, przez krótką chwilę, zacięta wrzała walka.

Obracając złowieszcze to pismo w rękę, zdawała sobie dokładnie sprawę z jego zna-

czenia. Z jednej strony, niosło jej ono, po kilku latach udręczeń i niedoli: spokój, swobodę wolnego człowieka, a może — szczęście. Z drugiej strony ten, który ją, niejednokrotnie znieważał, w godności kobiety i małżonki, ten, który sam, jako ostatnią zniewagę, rzucił jej żądanie rozstania, którego nazwisko okowami się dla niej stało, miał pozostać na resztę życia samotny, opuszczony, jak Łazarz, żywcem nieledwie złożony do grobu niedoli i zapomnienia. Tam jasność, słońce i wesele; tu wieczna żałoba, nie ozłocona nawet ideą obowiązku, bo przecież, wskutek jego własnej, a wyraźnie zaznaczonej woli, rozłączyli się przedtem. Ira nie wahała się dłużej. Z piersi jej głębokiej wybiegło westchnienie, lecz palce przedarły równocześnie i odrzuciły precz pozew. Rozhukanego odtrącała, nieszczęśliwego do śmierci strzedz już będzie. Była to czarna pieczęć, położona na grobie własnego istnienia. Dora, śledząca z napięciem walkę śmiertelną, odzwierciedloną w bladych i wychudzonych czuwaniem, lecz tem idealniej pięknych rysach bratowej, wstała pocichu i podjęła rozdartą kopertę. Jeden rzut oka, na adres i na -

pisy, wystarczył jej do zrozumienia doniosłości chwili.
Zazdrość, szarpiąca jej sercem oddawna, umilkła nagle. Zrozumiała dopiero, że krzywdziła Iredę niegodnym posądzeniem, że rozłączyła się ona z mężem nie dla Halińskiego, lecz dla podstawowej różnicy poglądów i zasad. Przysunęła się, obie ku niej wyciągając ręce.
— Ireda — szeptała ze wzruszeniem — zrozumiałam wszystko!... Ty jesteś istną kapłanką poświęcenia i obowiązku! — dodała z zapałem.
— Nie — brzmiała odpowiedź. — Pozostaję tylko, jako kobieta, wierna wrodzonym instynktom własnego ducha... Urazy milkną w chwilach podobnych. Gdy ojciec mego syna zostaje żywcem pochowany, gdzież miejsce moje, jeżeli nie przy grobie, który się nad nim zamyka?

ROZDZIAŁ XXIV.

Similia similibus curantur, powtarzała sobie Dora Korska, patrząc obecnie z bliska na postępowanie i życie bratowej. Wiedziała teraz, z jakąd pochodzi to głębokie, miękkie uczucie, ta cześć szczerą, jaką Alfred Haliński żywi dla stryjecznej swej siostry; wiedziała, czemu Ireda nie znalazła szczęścia, w związku z powierzchowną, zmysłową naturą Henryka. Dla niego dobry interes, dobry obiad, dobra po nim zabawa, błyszczenie i wywyższenie się nad innych, były celem istnienia; dla niej stanowiły tylko złe konieczne, brzydką materyalistyczną, stronę życia, którą chciała okupić dążeniem do wszystkiego, co dobre i szlachetne

Oni, Korscy, uważali siebie i swój majątek za oś, około której
wszystko winno
się było obracać. Ira i Haliński mieli się tylko za drobne ogniwa w
łańcuchu
społecznym. Henryk uważał bogactwo za źródło użycia; Ira — za
źródło obowiązków
obywatelskich.
Zaiste więc, dziwnem byłoby, gdyby ci ludzie nie lgnęli nawzajem do
siebie,
gdyby Ira,

obca najzupełniej duchem mężowi, a opuszczona przez niego, nie
czuła do tej
duszy bratniej gorętszej i żywszej sympatii.
Tem mniej też zdziwiło ją, iż wieść o nieszczęściu, jakie dotknęło
Korskich,
sprowadziła Halińskiego do Warszawy.
Ira przyjęła go u wezłowania bezwładnego męża, z synkiem swym u
kolan.
Spojrzeli sobie w oczy, przeciągle i smutno.
Spojrzenie to mówiło wyraźnie: Tak życie spełnia nadzieje, śnione za
młodu.
Obraz Henryka, o wykrzywionej na zawsze twarzy i błędnem
spojrzeniu,
wstrząsające czynił wrażenie.
— Czy jest najślabsza nadzieja ratunku? — pytał Haliński.
— Żadnej.
— I ty, ty, dla której życie zaczyna się dopiero, chcesz pozostać tutaj?
— Zostanę — odparła z prostotą. Syna tylko mego usunę stąd z
czasem, by nie
wzrastał w atmosferze bólu i cierpienia. Dzieciństwo winno być sielskie
—
anielskie, łzami nie zaćmione. Wszak to, wśród szyderstw życia,
jedyna krynica
sił na późniejsze, ciężkie nieraz istnienie.

— W takim razie — mówił gorąco — pozwól, że ci pomogę dźwigać to brzemię.

Wstrząsnęła przecząco głową.

— Każdy krzyż swój sam nieść powinien. Ludzie stworzeni są dla świata, do życia i do czynu. Gdy więc siostrę twoją, Alfredzie, spotkało nieszczęście, usuwające ją z grona czynnych sił społeczeństwa, ty powinienes, tem więcej, wrócić do życia i jego obowiązków.

Przeczytał w tonie jej i spojrzeniu nieodwołalny wyrok wygnania, jedno z tych postanowień, których nic złamać nie zdoła.

— Obowiązek — rzucił z goryczą, to czczy paradoks, gdy się w niego duszy nie kładzie. Jedna tylko sztuka nieśmiertelna nie zdradza i nie zawodzi... Mam też zamiar, służąc jej, wiernie, wkrótce na czas dłuższy do Włoch wyjechać.

Ira popatrzyła na niego długo i przeciągle.

— Do Włoch? — powtórzyła. — Do Włoch, Alfredzie, gdy ztamtąd wracasz niedawno? A ja sądziłam, że zaczniesz na seryo w kraju pracować, że w każdej cięższej chwili znajdę cię niedaleko. W osamotnieniu moralnej żałoby, krzepiłaby mnie myśl, iż wszelkie plany, wspólnie przez nas prześnione, ty teraz wprowadzasz w czyn, że przecież nie wszystkie siły, w naszej rodzinie, poszły na marne... Mieć swój własny kawał ziemi i królestwo wielkie-

go talentu, mieć tu serca kochające i mieć bogi swoje, a szukać
cudzych, pod
obcem niebem, czy to ideał godny ciebie?
— A ty, Iro — podjął z bólem, a ty, jakimż będzie twoje życie?
Pochyliła się. ku wspartemu o kolana jej synkowi.
— Małżeństwo, Alfredzie, bywa często dla kobiety śmiercią cywilną.
Istnienie
więc moje, może dziś mieć jeden już cel tylko: Oto powinnam w
dziecko to, jako
ogniwo dwóch ras i dwóch światów, tchnąć tyle siły ducha, aby, gdy
dorośnie,
potrafiło nią zwalczyć filisteryzm mieszczańsko - kupiecki,
przeciwstawiając mu
cześć ideałów i kult bogów, którym przodkowie jego zawsze wierni
byli.

KONIEC.